





*405*

|                                 |            |
|---------------------------------|------------|
| BIBLIOTEKA                      |            |
| Polskiego Towarzystwa „Oświata” |            |
| w Poniewieżu                    |            |
| Katalogowy Nr.                  |            |
| Inwentarzowy Nr.                | <i>156</i> |



WIKTORIJA REGINA.

Wydrukowano w...

OWANEGO.



WYDAWNICTWO GEBETHNERA I WOLFA

WYBÓR PISM

JANA ZACHARYASIEWICZ.

IX.

WIKTORIA REGINA.

Wydanie nowe.

WARSZAWA.  
TYGODNIKA ILUSTROWANEGO

1888.

~~405~~ B9338  
WIKTORIA REGINA.

ZE WSPOMNIENIEN NARZĘCZONEJ.

24352  
NAPISAŁ

1823-1906  
JAN ZACHARYASIEWICZ.

|               |           |
|---------------|-----------|
| BIBLIOTEKA    |           |
| Polskiego     | „Oświata” |
| w Warszawie   |           |
| Wydanie nowe. |           |
| Katalogowy    |           |
| Inwentarzowy  | 156       |



WARSZAWA.  
NAKŁAD TYGODNIKA ILUSTROWANEGO.

1888.





268801/9

Дозволено Цензурою.  
Варшава, дня 22 Декабря 1887 года.

BIBLIOTEKA UNIWERSYTECKA  
im. Jerzego Giedroycia w Białymstoku



FUW0145600

W/163/03



Sędziwa matrona wysłuchiwała mnie z uwagą,  
a potem rzekła:

Do szczęścia wiele ci jeszcze brakuje!  
Abyś to uzupełnić mogła, potrzeba ci być  
narzeczoną!... Niech cię to bynajmniej nie za-  
dziwiał! Nie każda kobieta wie, jaką ma wła-  
dzę, gdy jest narzeczoną! Są to najpiękniej-  
sze dni jej panowania — w nich może cudów  
dokazać! Z pospolitego mężczyzny może zro-  
bić — bohatera!... Niewierny i obojętny czło-  
wiek wchodzi nieraz ze zwyczaju tylko w pro-  
gi świątyni; wzniosły jednak hymn ludu, po-  
bożne modły wiernych, oraz cudami wiary  
napęczniona atmosfera świątyni działa zwol-  
na na niego... Korzy głowę, modli się i dzi-  
wi, że dotąd nie znał rozkoszy wiary i mod-  
litwy!... Taką świątynią powinna być dusza  
kobiety, gdy jest narzeczoną: wtedy obojętnego  
i niewiernego zmusi do wiary i modlitwy!... —  
Ale ileż to kobiet marnuje ten czas drogi  
i niepowrotny, czas bezwzględного panowa-  
nia nad sercem mężczyzny, na błahe zabawki  
i rozrywkę!...

(Urywek z powieści).

## I.

Było to w maju. Już nad samym wieczorem zaje-  
chał przed ganek duży, opakowany powóz. Oj-  
ciec mój i ja wybiegliśmy na powitanie drogich  
i upragnionych gości.

Sześć lat nie widziałam stryjenki. Powitanie



jednak nasze nie trwało długo. Rzuciła się między nas Ewunia, towarzyszka moich lat najmłodszych. Zawołała prawie ze łzami:

— Niech mi mameczka odda moją Renię — tak nazywano mnie drugim moim imieniem, — muszę ją za wszystkie te długie lata serdecznie wycałować.

Nie miała to była zaległość. Przed sześciu laty mieszkała stryjenka z Ewunią w bliskim naszym sąsiedztwie. Ewunia była w równym wieku ze mną: marzyłyśmy razem i zwierzałyśmy się wzajemnie. Później sprzedał stryj majątek i przeniósł się za Wisłę. Od tego czasu zerwały się prawie nasze stosunki. Zrazu pisywałyśmy do siebie, lecz po kilku latach ustała nasza korespondencya. Ewunia odpisywała mi coraz krócej, coraz rzadziej. Weszła w nowe stosunki, a już to do jej usposobienia należało, że więcej poświęcała się tym, z którymi mogła mówić, niżeli oddalonym, do których pisać musiała! Nie brałam jej tego za złe: miałam nawet ztąd naukę, że człowiek sam sobie wystarczać powinien.

Po pierwszych przywitaniach, po tysiącnych wzajemnych zapytywaniach bez odpowiedzi, nastąpiła długa pauza. Zajęłyśmy się uporządkowaniem zasiedlonych kufrów i łomoków. Ewunię przyjął moich pokoiów.

Po małym posiłku wzięła mnie Ewunia za rękę i rzekła:

— Chodźmy, bo mam z tobą wiele do mówienia. — Zaprowadź mnie do najcichszego zakątka dworu, aby nam nic nie przeszkadzało w zwierzeniach się wzajemnych.

Zaprowadziłam ją do mojej biblioteczki.

Ewunia spojrzała z uśmiechem po cichych, rzędem stojących książkach, i rzekła:

— Chciałam, abyśmy były same. Towarzystwo tytuł znakomitych niepokoi mnie. Wobec nich tracę odwagę. Czémże wobec tych mądrych książek będzie szczebiotanie o wszystkim i o niczym?...

— Nie lękaj się. Wszystkie te książki i znakomici ich autorowie są to dobrzy moi znajomi. Do nich udaję się, gdy mi smutno w życiu, i od nich uczę się, jak ten smutek znosić lub go na radość zamienić.

— Jak dawniej tak i teraz wszystko egzaltujesz — odparła Ewunia z chmurką na twarzy.

Wzięłam ją za rękę, i zaprowadziłam do małej sofki. Gdyśmy tam usiadły, rzekłam do niej:

— Zaraz na wstępie muszę się wytłumaczyć przed tobą z tej mniemaną egzaltacji. Wiiesz, że matka mnie odumarała, gdym zaledwie miała lat dwanaście. Wiiesz także, iż matka moja pięć lat była obłożnie chora. Choroba jej była nieuleczalną i z każdą wiosną groziła jej śmiercią. Wiedziała dobrze, że przedź czy później zostawi mnie sierotą, i to jeszcze w takim wieku, w jakim najwięcej potrzeba opieki rady macierzyńskiej!.. W takim razie obiera się zawsze kogoś z najbliższych krewnych lub przyjaciół, którym porucza się opiekę nad osieroconą dziewczyną. Wprawdzie pod pewnym względem wystarcza opieka drogiego ojca, który mnie kocha całą duszą; mimo to, matka moja była tego zdania, że dla serca osieroconej dziewczyny potrzeba było czegoś, żeby jej matkę w każdej chwili życia zastąpić mogło...

W rozmowie zaszła nastąpiła pauza. Łzy cisnęły się do oczu. Po chwili mówiłam dalej:



— Ojciec był zatrudniony gospodarstwem i innemi obowiązkami. Z najbliższych krewnych i przyjaciół nie było nikogo, ktoby przy mnie mógł zostać w miejsce matki. W takim razie powzięła matka myśl prawdziwie macierzyńską, aby po swoim zgonie zostawić mnie pod opieką dobrych, przez nią wybranych przyjaciół i doradców!...

— Więc te szafy z książkami...

— Jest zwyczaj w Ameryce i Anglii, że matka daje córce w posagu biblioteczkę. Zaprawdę, jest to zwyczaj piękny i praktyczny: jest to dla kobiety kapitał na całe życie. Z niego czerpie zrazu naukę i rozrywkę dla siebie, a potem przenosi tę naukę na całe kółko rodzinne. Powiedz sama, czy to nie lepsze nad klejnoty, albo tuziny sukni i szalów?...

Ewunia namarszczyła czoło i zamyśliła się. Mówiłam dalej:

— Od tej chwili matka zaczęła zbierać książki. Czytała je sama, radziła się księdza proboszcza i innych wykształconych ludzi. Wszystko, co nasza i zagraniczna literatura najznakomitszego wydała, mieści się w tych szafach. A kiedy ojciec po niepogodnych żniwach czasami o znacznych wydatkach na książki mówił, matka odpowiadała z bolesnym uśmiechem: Nie żałuj na to pieniędzy, bo za nie nabywam opiekunów i doradców dla biédnej Wici, gdy mnie na świecie nie stanie!...

Po krótkiej pauzie mówiłam dalej:

— Ośm lat już mija, jak Pan Bóg powołał matkę do siebie, a ja nie zostałam sama. Ojciec prowadził dalej rozpoczęte dzieło nieboszczki matki, i z każdym rokiem przysparza mi opiekunów i doradców, którzy

są wtedy ze mną, gdy świat myśli, że jestem od wszystkich opuszczoną i w samotności zakopaną!...

Na tém skończyłam moje tłumaczenie się. Ewunia patrzyła na mnie czas niejaki. Potém wstała, przeszła się kilka razy po pokoju, a stanąwszy przedemną rzekła:

— Teraz jasną mi jest zmiana, jaką widzę w całej twojej postaci. W towarzystwie tych nowych przyjaciół i opiekunów wyrosłaś nieco odmiennie od zwykłych dzieci światowych. Wzrost twój wysoki i wysmukła kibić czyni cię podobną do jakiegś kapłanki. Czarna, fałdzista suknia nie ma w żadnym dzienniku mody odpowiedniego wzoru. Czarne, obfite włosy twoje, puszczone nieco na skronie, a w tyle w grubym węzle związane, przypominają kobietę spartańską. Rysy twarzy znacznie się przedłużyły, a szafirowe oko oceniło się grubą czarną brwią, przedzieloną małym fałdzikiem zamyślenia. Słowem, podobną jesteś do bohaterki Homera lub tragedyi Sofoklesa... Kiedy przy tobie stanę, to podobną jestem do kobiety dzisiejszej, która podziwia posąg starożytny!

Mówiąc to wzięła mnie Ewunia za rękę i obie zbliżyłyśmy się do dużego zwierciadła. Gdy spojrzałam w zwierciadło, uderzyła mnie rzeczywiście różnica naszych postaci.

Ewunia była małego wzrostu, kształty miała okrągłe, jakby utoczone. Rysy twarzy były wszędzie zaokrąglone. Artysta byłby w wielkim kłopotcie, gdyby w konturach chciał jej wizerunek narysować. Zdaje się, że nie stworzyłby nic pięknego. Nosek mały i nieco zadarty, usta może za szeroko wykrojone, twarz zaokrągła, oczy nijakiego koloru. A jednak była to



twarz pełnażywienia, bogata w jakąś niewysłowioną pojętę. Oczy świeciły ciepłem, a czerwone usta obiecywały wiele słodczy. W całej postaci widać było królowę ziemi.

Smutna, posępna odbijałam od niej jak zimny posąg kamienny, postawiony na grobie zawiedzionych marzeń i nadziei. Ubiór mój mógł może służyć jakiemu rzeźbiarzowi za model do spokojnej draperyi, ale z poważnych fałdów nie wyglądało nigdzie owo psotne dziecko z łukiem i kołczanem, jakich pełno było we wszystkich najdrobniejszych fałdzikach mojej towarzyszki!...

Zasmucił mię ten widok. Podobieństwo do tragicznej bohaterki Homera lub Sofoklesa nasunęło mi posępne myśli i rozbudziło w duszy przykre uczucie...

Czytałam nieraz, że są ludzie, których postać zewnętrzna mieści w sobie przyszłe ich losy. Niewinne dziecię rodzi się z piętnem smutku na twarzy, a dalszy żywot jego stwierdza, że piętno to było oznaką tego, co je w przyszłych losach spotkać miało!...

— Miałaby tylko cierpienia i zawody być przeznaczeniem mojem? Miałabym już dzisiaj sposobie się do jakiejś przyszłej roli tragicznej?

Takie myśli powstały w mej duszy, gdy porównywała w zwierciadle siebie z Ewunią.

— Ale zapomnialiśmy o właściwym celu, w jakim tutaj przybyliśmy, — rzekłam po chwili.

— Tak jest — smutno odpowiedziała Ewunia — ale już nic z tego nie będzie.

— Jako? Obiecałaś mi wiele rzeczy powiedzieć?

— Prawda, ale... twoi przyjaciele i opiekuni wszystko popsuli! Atmosfera tych uczonych i znako-

mitych książek odebrała mi humor. Gdy się jest narzeczoną i chce się mówić o narzeczonym, to w takim towarzystwie robi się nam ekliwo!

— A właśnie o twoim narzeczonym chciałam się czegoś dowiedzieć!

— Nie, nie... już dzisiaj nic się nie dowiesz! W tych oto książkach tyle różnych mieszka bohaterów, że mój Stasio stałby się w obec nich karłem!... Chodźmy lepiej do ogródka. Między jaśminem i bratkami może lepiej wyda się Stasierek, niżeli w tych niszach gotyckich i tej dusznej, tragicznymi bohaterami napełnionej atmosferze!...

— Żle, że się obawiasz moich przyjaciół i opiekunów!

— Bo twoi opiekunowie i przyjaciele nie są równie jak ty... z tego świata!

Rzekłszy, to pociągnęła mię za rękę. Poszłam za nią z jakimś dziwnym, przykrém uczuciem. Zdawało mi się, że we mnie i całém otoczeniu mojem jest coś tragicznego, co wesołej Ewuni nie dało mówić o najweselszych chwilach życia ludzkiego! Ewunia była narzeczoną!...



II

**W** ogródku ani jaśmin, ani bratki nie naprawiły Ewuni humoru. Wprawdzie mówiła mi coś o narzeczonym, ale z mowy jej widać było, że miała przygotowane coś więcej do opowiadania. Podobną była do autora, który zabrał się do czterotomowej powieści, a popadłszy w zły humor, skończył na szkicu.

Prócz tego nie długo byliśmy z sobą. Potrzeba było zająć się wieczszą. Potem towarzystwo ojca i stryjenki skierowało rozmowę na inne przedmioty; a gdyśmy wszyscy na spoczynek się rozeszli, i Ewunia ze mną do moich pokojów przyszła, czuła się tak zmęczoną przez podróż, że o dalszych zwierzeniach ani mowy być nie mogło.

Długo w noc zasnąć nie mogłam. Nie wiem, co było powodem tego dziwnego niepokoju i jakiegoś nieodgadnionego smutku. Tłumaczyłam to sobie w różny sposób. Czyniłam nawet krzywdę sobie, myśląc, że smutek mój pochodzi z egoizmu ludzkiego. Ewunia była narzeczoną, miała serce, które ją kochało. Do mego serca nikt się jeszcze w takim celu nie zbliżył. Byłam samotną, jak chmurka na niebie, i nie widziałam

jaki wiatr i w którą stronę mnie zanieśli! Ewunia już patrzyła otwartem okiem w pogodną przyszłość swoją..

Takie myśli mogły wprowadzić zadrasnąć serce egoistyczne. Mówią, że serce ma wiele egoizmu; ale z drugiej strony, nie mogłam sobie tyle krzywdy wyrządzić, by tylko w tém mętnej źródle szukać powodu swojego smutku. Ewuni życzyłam szczęścia z całej duszy, a jeśli ona w téj chwili szczęśliwszą była ode mnie, mój miły Boże! ileż to ludzi widziałam w życiu szczęśliwszych od siebie? Przecież nie zazdrościłam im nigdy!

Mimo to, między sobą a Ewunią widziałam jakąś dziwną, czarną przegrodę. Nawet w téj chwili, gdy na śpiącą spojrzęła, widziałam tę przegrodę. Księżyc świecił jasno w okna naszego pokoju. Promienie jego przemykały się pomiędzy liśćmi stojących na oknie kwiatów, i przenosiły fantastyczne ich kształty na ścianę, przy której spała Ewunia. Zdawało mi się, że na téj ścianie malowały się rozkoszne i pogodne sny Ewuni, że otaczały jej okrągłą główkę, igrały pomiędzy złotymi splotami włosów i kryły się figlarnie w miękkie przeguby puchowych poduszek!... Ściana zaś przy której stało moje łóżko, pogrążona była w czarnej ciemności. Księżyc nie zaniósł tam żadnego kwiatka, żadnego listka! Była tam noc ciemna, bezbarwna, jak przyszłość nieszczęśliwego człowieka, któremu Opatrzność łaskę wyświadcza, że mu téj przyszłości nie odsłania!...

Zkąd się wzięły te smutne myśli moje? Nie wiem. Było coś w głębi duszy mojej, co mi kazało przygotować się na jakieś niezwykle wypadki życia. Dusza



moja widziała tajemniczym okiem ciernie i osty, przez które iść miałam. Tak mi się przynajmniej wydawało.

Wreszcie sen skleił me powieki, lecz niepokój, jaki trapił, gdym czuwała, nie opuścił mnie i w snach moich. Miałam sny dziwne, nieprzyjemne.

Raz śniło mi się, że po jasnym, majowym niebie płynęłam jako ciemna, nieprzejrzysta chmura. Cień mój sunął się powoli po kwietnych łąkach i rozkosznych falach, zielonym zbożem pokrytych. Kędy mój cień się przesunął, tam chyliły się ku ziemi i zamykały kielichy kwiatów. Żółty jaskier tracił połysk, stokrotki bladły, maczek szkarłatny odwracał odemnie wiotkie swe listki. Trawki zboża kurczyły się i tuliły do siebie, wyczekując powrotu ciepłego słońca...

Drugi raz znowu zdawało mi się, że wchodzę między ludzi wesoło bawiących się. Uśmiech i wrzawa towarzyszą zabawie; wesołe twarze świecą pogodą i szczęściem. Za moim zbliżeniem się wszystko to cichnie. Twarze układają się do masek poważnych. W oczach gaśnie promienne życie. Za mną biegnie jakiś zimny prąd wiatru. Obnażone ramiona okrywają się przedemną. Czyż weszłam między nich jako widmo nie tego świata?...

Kilka twarzy odważniejszych wychyliło się do mnie. Podawano mi kwiaty świeże i woniejące. Brałam je do ręki, ale w ręku moich więdły, a woń ich nagle nikła. Przestraszyłam się sama siebie...

Potem zdawało mi się, że jestem czarną ptaszyką. Krążąc w wysokich obłokach, widziałam pod sobą gromadki wesoło świergoczących towarzyszy. Wśród szeroko rozlanej wody majaczyły rozkoszne, zielone

ostrowa. Wesołe ptastwo przelatywało tam z krzaków leśzczyny na zwieszane gałązki brzoźek.

Chóralny świergot był pełen harmonii. Zniżyłam się do jednego ostrowu i wmieszałam się do śpiewających; ale głos mój dziwnie się wydał, popsuł śpiewakom harmonię. Uciekli nagle i z zadziwieniem zapytali mi się przypatrywać. Potem rzucili się wszyscy na mnie, wyrzucając mi, że nie śpiewam jak oni. Od chybniej śmierci uratował mnie tylko lot mój chyży. Wylazłam się znowu pod chmury, i wszystko co było na dole straciłam z oczu!...

Sen tak okropny zmęczył mię. Otworzyłam powieki.

Ewunia stała przedemną w zgrabnym negliżyku i ciężko wstażki prześlicznego czépeczka. Oczy śmiały się szczęściem i zadowoleniem, bo bocznicie powiedziało jej, że może być z siebie wolona.

Po kilku słowach i dowcipnych zarcikach, które ze ma na ustach kobieta szczęśliwa, wróciła Ewunia do gotowni, aby się do śniadania ubrać; słońce nadem ubiegło już kawał nieba, a na dziedzińcu słyszemy głosy służby, która już część dzienną pracy ukończyła.

Wypoczywając jeszcze przez chwil kilka po tych niespokojnych, przypatrywałam się pilnie Ewunii. Chciałam koniecznie we wszystkich drobnostkach uchwycić różnicę, jaka nie tylko na jawie, ale nawet w snach między mną a nią zachodziła. I rzeczywiście z każdą chwilą większą różnicę widziałam.

Ewunia ubierała się z takim zajęciem, jakby te drobne ozdóbki wdzięków naszych nic innego



na świecie nie było. Nie wiem, czy myślała w tej chwili, że jest Bóg na niebie; ale rzecz pewna, iż uśmiechając się, wyobrażała sobie, że Stasio patrzy na nią, i że mu się podoba!

Każdej wstążeczce, każdemu świecidełku poświęcała całą uwagę. Widocznie poświęcała im część życia. Podzieliła sobie to życie na małe epizodziki. Jeden epizod zajmował zapewne przestrzeń czasu do obiadu, drugi od obiadu do herbaty, trzeci od herbaty do pierwszego snu. Brała z sobą to wszystko, co jej na jeden z tych epizodów potrzeba było. O dalszym czasie nie myślała. Żyła tylko obecnością, a obecność, to najwięcej dzień cały!...

I wstała od gotowalni szczęśliwa i zadowolona. Spojrzała do dużego zwierciadła, i uśmiechnęła się, widząc, że ma już wszystko, czego jej na pięć godzin życia potrzeba. Suknia jej tworzyła takie same dropy, jakie były na wzorze mody ostatniej. Kołnierzyk, spuszczone końcami z angielską głęboko na dół, był śnieżnej białości i takiego sztywnego charakteru, jakim jest charakter Albionczyka. Na białych rączkach zawisły czarne zławy wykute łańcuchy, takiego kształtu i materiału broszka odbijała na piersi od białych kołnierzyka końców. Szafirowy pasek z perłową klamrą dokonał uzbrojenia na całe pięć godzin życia. Więcej nie było jej potrzeba, a Stasia oczekiwała dopiero za dni kilka.

Te moje spostrzeżenia uwidomiły coraz bardziej różnicę, jaka zachodziła między nami. Smutno mi było patrzeć na tę różnicę. Nie lepiejże bowiem podzielić sobie życie na takie drobne odstępy i w tych

odstępach nie myśleć o niczym innym nad to, co nam sam odstęp daje?... Jeżeli życie ma być kwaśną potrawą, czyż nie lepiej podzielić je na drobne cząstki i zażywać co kilka godzin elegancką złotą łyżeczką, póki się nie wyczerpie?...

24352





III.

Kilka dni upłynęło. Nie przyniosły one nic szczególnego do zapisania. Połowę dnia zazwyczaj zbiegało nam przy zatrudnieniach domowych. Drugą połowę poświęcaliśmy rozmowie lub przechadzce po ogrodzie i lesie, który do ogrodu przypierał. Rozmowy nasze tyczyły się rzeczy obojętnych, codziennych. Mówiliśmy o znajomych i krewnych z tej i tamtej strony Wisły. Stryjenka opisywała nam towarzystwo swoje z za Wisły; ojciec mówił o tegoczesnych naszych stosunkach. Ewunia pobieżnie tylko wspominała kilka razy o narzeczonym. Zdawało jej się, że dobrze jej zrozumieć nie mogę. W wyobrażeniach naszych była widoczna różnica, wołała więc milczeć, niżeli rozkładać przedemną najkosztowniejsze skarby swoje, których wartości nie znałam, a może nawet o niej jakimś niebaczniem słówkiem lub przypadkowym gestem powątpiewanie okazałam. Spostrzegłam tylko, że stryjenka z wielką uwagą mnie się przypatrywała, wszelkie moje kroki i słowa pilnie śledziła. Wzięłam to za oznakę przywiązania.

Czwartego dnia po obiedzie, który z poprzedniego róż-

nych przeszkód gospodarskich odbył się dosyć późno, uradziłyśmy z Ewunią zrobić wycieczkę do jednego z romantyczniejszych ostępów w lesie, który gajowy „Czarów“ nazywał. Bardzo lubiłam to dzikie ustronie.

Kiedyśmy tam we czworo przybyli, jeszcze dosyć dnia było na niebie, w kotlinie jednak lesistej zapadał już zmrok szary. Konary stuletnich sosen spłotyły się nad nami w nieprzebite sklepienie; czarne, ciemnozielonym mchem porośłe skaliste ściany zacięsnęły widnokrąg. Mały strumyk wił się spodem jaru i mruczał po ostrych kamykach, ptastwo już siadło w konarach na nocleg.

— Nie wiem doprawdy, co w tym widoku może być zabawnego!—zawołała Ewunia, patrząc smutno.

— Krenia ma zawsze gusta szczególnie!—dodała stryjenka z lekkim niezadowoleniem.

— Matka jej lubiła także to ustronie — wtrącił ojciec.

Słowa ojca działały magicznie. Czy to wspomnienie mojej nieboszczki matki, która od wszystkich była kochana, czy rzewny nacisk ojca na te słowa, które prawdopodobnie na moje usprawiedliwienie wymówił, czy zresztą sama potęga tego dzikiego ustronia tak czarowny wpływ na umysły obecnych wywarła: dosyć, że głębokie milczenie zapanowało między nami, którego, nikt pierwszy nie chciał przerwać. Strumyk tylko mruczał dalej, lekki wietrzyk szeleścił w iglastych konarach.

Ozwałam się pierwsza:

— Wprawdzie nie ma w tej dzikiej kniei nic



zabawnego; do tego jeszcze zapadł mrok szary i zakrył, co było do widzenia: ależ i w życiu naszym są podobne ciemne, nie bardzo zabawne knieje. W jednym i drugim razie potrzeba sobie jakoś radzić.

Rzekłszy to, stanęłam nad wysokim brzegiem strumyka i rzuciłam szal na ziemię. Stryjenka i Ewunia patrzyły na mnie z niejaką ciekawością. Z wesołym uśmiechem prawilałam dalej:

— Otoż zabierzemy się z Ewunią do dzieła. Ustronie to nie jest bez uroku. Gdy nam niebo światła odmówiło, trzeba własną pracą i własnym przemysłem stworzyć to światło, które nam, nawet w tym dzikim ostępie, okaże zachwycające piękności. I w życiu podobnie działać potrzeba!

Stryjenka patrzyła na mnie z pewnym zadziwieniem. Na twarzy Ewuni widziałam tylko ciekawość.

— Jakto? — zapytała po chwili Ewunia, — coś chcesz tu robić?

— Postaramy się o rozświecenie tego, co przed nami jest ciemnym — odpowiedziałam.

— Nie rozumiem cię!

— Rozniecimy ogień.

— Ogień! ogień! — krzyknęła Ewunia, klaskając w ręce, — to będzie pyszniel! To będzie jak w teatrze!

Zdjęłam rękawiczki i okrągły kapelusik. Ewunia patrzyła na mnie ciekawie!

— Trzeba zawołać Jędrzeja — rzekła po chwili, — niech nam nałame gałęzi i zapali. Przy koniach może sam Szymon pozostać.

Złożywszy kapelusz i szal na pniaku, zwróciłam się do Ewuni.

— Tak tanim kosztem — rzekłam do niej — nie przychodzi się do żadnej przyjemności. Nie sztuka spuścić się na innych i z założonemi rękoma czekać na skutek ich pracy, która nam przyjemność sprawia: trzeba umieć w każdej porze samemu sobie wystarczyć. To, co sami zrobimy, lepiej nam smakować będzie.

— Ach cóż chcesz! — odparła rozdąsana Ewunia, — chcesz abym sama wspinała się po gałęzie?

— Masz jelonkowe rękawiczki, które od sosnowej żywicy ochronią twoje wypieszczone rączki. W najgorszym razie rękawiczki można wyprać; ja zaś bez rękawiczek zwykłam to robić. Jestem do tego przyzwyczajona. Bierzmy się do roboty.

— A gdzież ogień?

— Mam zapalki przy sobie. Wybieraj tylko najprzód suche gałązki. Gdy się ogień rozpali, spłoną i surowe.

Rzekłszy to, zaczęłam z najbliższych sosenek odłamywać suche gałązki. Ewunia patrzyła na mnie czas niejaki z niedowierzaniem. Spojrzała na swoje żółtawe rękawiczki. Po chwili schyliła się po kilka suchych gałązek, które na ziemi u jej stóp leżały. Postąpiła kilka kroków naprzód, i zaczęła obłamywać małą, uschlą sosenkę.

Patrzyłam z uśmiechem na postępującą coraz dalej w robocie Ewunię. Odłamywała coraz większe konary, a nawet używszy wszystkich sił, wyrwała korzeniem uschły krzak jałowcu. Widać nawet było, że ją to bawi.

Za kilka chwil wznosił się już na brzegiem poto-



ku dosyć spory stos gałęzi. Ułożyłam go kunsztownie, aby płomień miał się gdzie przemykać. Potem uklęknęłam i wydobyłam z kieszonki pudełko z zapalnikami. Ewunia przykucała przy mnie i przypatrywała się z ciekawością.

— Widzisz moja siostruniu—rzekłam pocierając zapalnik,—trzeba sobie w każdym razie umieć poradzić. Ta smutna i pępna knieja rozwidni się wkrótce przed nami i zachwyci nas swoją pięknnością. W wielu rzeczach od nas samych zależy upiększyć sobie to, co nas otacza. Ale na to trzeba mieć zawsze środki przy sobie, samemu ręki do tego dołożyć.

W tej chwili mały płomyczek, jak długa czerwona wstążka przebiegł w najrozmaitszych splotach pomiędzy suchymi gałązkami, a światło jasne rozlało się po całej kniei.

— Ach, jakież cudowny widok!—krzyknęła Ewunia, i zatopiła się cała w admiracyi tego, co ją otaczało.

W miarę tego jak ogień coraz więcej się rozszerzał, występowały coraz potężniejsze widoki tego dziwnego ustronia. Naprzód zarysowały się przed nami dwie olbrzymie ku sobie pochylone sosny z połamanymi konarami. Wyglądały dziwnie fantastycznie: był to bohater i bohaterka całego obrazu, stojący na pierwszym planie. Wyższa stała po stronie północnej i szeroko rozwartymi gałęziami zasłaniała siostrzyczkę od wichrów zimnych i burz gwałtownych. Widać było, że w tej obronie straciła kilka potężnych konarów. Kilka pniaków i pniów połamanych słało się pod ich stopami. Po za niemi rozwidniły się zwolna przedmioty drugiego planu. Wreszcie uwydatniła się ścia-

na nasrożona skałami i karłowatym zaroślem, jako tło tego fantastycznego obrazu.

Wszyscy w milczeniu patrzyliśmy na rosnący widok. Każdy nowy płomień oświecał jakiś nowy niespodziany przedmiot i wiązał go harmonijnie do wielkiej całości. Żółte kłęby dymu wily się pomiędzy iglaste konary i sprawiały jakiś dziwny ruch pomiędzy cichą, nieruchomą naturą...

Stryjenka i ojciec usiedli na wywróconym pniu i patrzyli to na nas, to na rozciągające się widoki. Ewunia zapalała się coraz bardziej, wreszcie po kilku wykrzyknikach pograżyła się w podziwieniu. Tymczasem trawił płomień ostatki przygotowanego stosu.

— Ewuniu! — zawołałam — w pracy ustawać nie można. Za kilka chwil zabraknie płomienia, a wtedy będzie jeszcze ciemniej przed nami niżeli przedtem!

Ewunia rzuciła się znowu do zbierania gałęzi: skakała przez pniaki, wspinała się po grubsze konary i łamała z coraz większą wprawą; wreszcie zdjęła rękawiczki, które jej już zaczęły przeszkadzać, i razem ze mną na wyścigi biegała od sosny do sosny.

A gdyśmy już na stos płonący dosyć drzewa nakładły, i kiedy płomień czerwony najwyżej bucha i najdziwniejsze tworzył przed nami obrazy, zacierając je, podnosząc magicznym oświetleniem drugie rzekła do nas Ewunia:

— Teraz wracajmy do domu. Ogień ten wystarczy do odwrotu, a potem?..

— Cóż potem?—zapytałam ze śmiechem.



— Potém, mniejsza o to, że zagaśnie, i wszystko ciemność pokryje — odparła Ewunia zaciągając rękawiczki.

Rozśmiała się na te słowa Ewuni, wzięła ją za rękę i rzekła:

— Jesteś niebaczna a nawet niesprawiedliwa. Roznieciwszy płomień, pobawiłaś się nim chwilkę, a teraz chcesz go porzucić, nie myśląc o tém wcale, co za zniszczenie jedna iskra sprawić może!

— Dziwnie mówisz — odparła Ewunia z lekkim kaprysem. — Słuchając ciebie, nie wiem czy mówisz o małych, nie prawie nie znaczących rzeczach, czy też o wielkich! Podobną jesteś do starożytniej Sybilli!

— Ja to po swojemu sobie tłumaczę — rzekł ojciec z uśmiechem: — że ognia w lesie zostawiać nie można, bo mogłoby się stać nieszczęście. Renia miała zapewne to na myśli, bo i tak niedawno pastuchy las mi zapaliły.

— W każdym razie Renia ma oryginalny sposób mówienia i zastanawiania się nad wszystkiemi! — zauważyła stryjenka, i podniosła się z pniaka, aby się przygotować do powrotu.

Jeszcze chwil kilka staliśmy koło ogniska. Powoli zapadły spalone węgle i rozsypały się w biały popiół. Głowienki dopalały się słabym płomykiem, a olbrzymie przed chwilą obrazy niknęły nam coraz więcej z przed oczu, zostawiając miejsce małym, karłowatym krzakom, które teraz najlepiej się wydawały.

— O czém teraz myślisz? — zapytała mnie z uśmiechem stryjenka, położywszy rękę na mojem ramieniu.

— Myślę o tém; — odpowiedziała, — że gdy wielka myśl, wysoka idea nam świeci, to tworzy wielkich, olbrzymich bohaterów. Przy małych, skarłowaciałych ogniskach rosną w dumę i pychę tylko karły!...

W téj chwili zajęchały bryczki z zapalonemi latarniami.



#### IV.

**H**erbata odbyła się bez żadnych ważniejszych szczegółów. Zresztą w obec krzątającej się służby trudno było potrącić o jakąś ważniejszą rozmowę. Wprawdzie jest zwyczaj po dworach naszych, że służbę obecną uważa się za głuche automata, zwyczaj ten jednak nie jest ani rozumny, ani ludzki. Pominąwszy to, że tym sposobem rozechodzą się po sąsiedztwie najrozmaitsze plotki i tajemnice rodzinne, uwzględnić jeszcze i to należy, że stan umysłowego uposażenia sług naszych nie pozwala im zrozumieć należycie rzeczy, o których mówiono. Ztąd wyradzają się u nich dziwne pojęcia i wyobrażenia. Rzeczy wielkie ukazują się w świetle śmieszném, a drobne i żartobliwe nabierają niewłaściwego znaczenia. Cierpi na tém poszanowanie dla ludzi wyższych zasługą i stanowiskiem, i stosunki sąsiedztwa odnoszą nieraz szwank nie mały. Nie wychodzą też na tém do brze ani moralność, ani religia.

Nieboszczka moja matka miała zwyczaj przestrzegać w obec służby wszelkiej przyzwoitości tak dla spraw rodzinnych, jak i sąsiedzkich. Ojciec zga-

dzał się zupełnie z tém zapatrywaniem matki. Dlatego przy obiedzie lub herbacie nie wytaczano żadnej ze spraw, która dla służby była niepotrzebną lub mogłaby przez nią być źle zrozumianą.

Mówiono przy herbacie o rzeczach codziennych. Dopiero gdy służba ze wszystkiém się uprzątnęła, stryjenka usiadła na sofie tuż przy ojcu, przypatrując się mnie i Ewuni, i uśmiechając się, jakby dla nas coś miała w zanadru.

Nie łatwo było jój jednak przyjść do słowa. Wesola Ewunia, która jutro przybycia narzeczonego oczekiwiała, była dzisiaj niewyczerpaną w conceptach. Mówiła coś o podstępie czarnego kotka, który przy herbacie skradł jój kawałek bułeczki z masłem, a teraz siedział u jój nóg z takim czystém i spokojném sumieniem, jakby spełnił najlepszy uczynek.

Po chwili, kiedy już wątek rozmowy zaczął dobiegać do końca, poskoczyła Ewunia do fortepianu i uderzyła kilka wesołych akordów. Stryjenka zatrzymała widocznie słowo, które z pewną powagą z ust jój wyjść miało. Wesołe akordy jakoś nie stosowały się do jój myśli.

Z pod drobnych rączek Ewuni wypłynęła skoczna a pieszczotliwa polka, podobna zupełnie do czarnego kotka, który w tej chwili wesołe skoki wyprawiać zaczął.

Ewunia była cała zajęta swoją muzyką, i wszyscy słuchaliśmy pozornie z uwagą tej jednostajnie wracającej melodyi, która wcale bogactwem nie grzeszyła. Mimo to była w atmosferze naszej jakaś powaga, która polce bynajmniej nie sprzyjała.

— Wygrałam moje, — rzekła Ewunia, wstając od



fortepianu,—więcej nad to nic w tej chwili nie ma we mnie. Kolej teraz na ciebie. Okaż nam coś ze swych myśli i uczuć.

Mimowoli i z uśmiechem zbliżyłam się do fortepianu. Zagrałam Modlitwę Mojżesza.

Zdawało mi się, że podczas mojej gry większa cisza panowała w salonie niżeli przy grze Ewunii. Stryjenka zwróciła twarz ku mnie, jakby nie tylko słuchać, ale i widzieć mnie chciała. Ojciec podparł ręką głowę i zamyślonem okiem patrzył przed siebie. Ewunia rozskubywała koniec wstążki, a czarny kotek zaprzestał figlarnych skoków. Wziął łapki pod siebie, najeżył sierć i zaczął cicho mruczeć, jakby chciał mi wtórować. Siedział na mojej sukni i okrągłe oczy wlepił we mnie.

Gdym grać przestała, panowało w salonie głuche milczenie. Zdawało się, że Modlitwa Mojżesza rozbudziła u wszystkich poważniejsze myśli. Nie przerywałam tego milczenia: przeczuwałam, że coś niecodziennego w sobie mieści.

Jakoż przeczucie nie omyliło mię. Stryjenka patrzyła czas niejaki z uwagą na mnie, a potem rzekła:

— Kiedy wątek weselszej zabawy jakoś się urwał i wszystkich was zamyślonych widzę, pozwólcie, że dotknę rzeczy, która mi od kilku dni leży na sercu. Nie weźmiesz mi tego za złe panie bracie — (tu zwróciła się do ojca), — że wejść nieco w sprawę twego domu. Mam do tego pewne prawo, jako najbliższa krewna.

— I owszem — odpowiedział ojciec, — nawet wdzięczny ci za to będę, bo przeczuwam, że to nie bę-

dzie kwestya gospodarska. Bratowa masz w tym względzie pierwszy głos po nieboszczce żonie mojej.

Serce mi zadrżało na te słowa. Nawet Ewunia upuściła koniec wstążki i poważnie spojrzała na mnie.

— Zapewne się domyślasz, panie Janie, — mówiła dalej stryjenka, — że mówić będę o Reni.

Ojciec skinął głową i czekał dalszych słów stryjenki.

— Naprzód powiedz mi bracie — ozwała się po chwili stryjenka, — że się nie mylę twierdząc, iż Renia ma rok dwudziesty.

Ojciec przyznał to w milczeniu.

— Czy dotąd nie miała żadnego konkurenta?

— O ile wiem — odparł smutno ojciec, — nie było dotąd żadnego.

— Wszak majątkowe wasze interesa w dobrym są stanie?

— Nie mam żadnych długów, a nawet mogę powiedzieć, że Pan Bóg błogosławi mą pracę!

Nastąpiło milczenie, które było dla mnie nieznośnem. Ewunia mierzyła mnie od stóp do głowy, jakby szukała przyczyny, dlaczego żaden z konkurentów dotąd nie pokusił się o moją rękę i dwie czyste wioski.

Nie mogłam dłużej znieść tych badawczych oględzin. Panując nad wzruszeniem, rzekłam:

— Widać, że się nikomu nie podobam!

— Właśnie to mnie zastanawia — odparła stryjenka — i nie weźmiesz mi tego za złe, moje dziecię, jeśli jak matka przyłożę rękę do twego serca... Niepodobna, aby to serduszko dotąd kiedykolwiek żywił nie zabiło?



— Zdaje mi się—odparłam,—że serce kobiety tylko wzajemnością żywić uderzyć może!

— Jakto? Nie znalazłaś dotąd mężczyzny, któryby choć zdaleka nie dał ci do poznania...

— Zdaje mi się... że nie!

— Czyż to być może?... Przy twojej urodzie, twojem wykształceniu, a nawet przy niepoślednim majątku?

— Co do ostatniego przymiotu... nie pozwoliła-bym sobie żadnemu mężczyźnie w taki sposób ubliżyć!

— Nie rozumiesz mnie.

— Gdyby przy posagu ktoś chciał mnie wziąć w dodatku?

Rozśmiała się stryjenka z mojej indygnacji.

— Zle sobie moje słowa tłumaczysz,—rzekła po chwili.—Nie kładę majątku na pierwszym miejscu, choć cały prawie świat to czyni. Majątek jednak jest zawsze piękną złotą ramą, która na wewnętrzny obraz oczy zwraca. Przynęceniu ramą, wpatrujemy się w obraz, poznajemy mistrza i w admiracji sztuki zapominamy o złotych ramkach. Bez tej świecącej ponęty, może byśmy nie spojrzeli na arcydzieło! Jest to los prawie wszystkich lepszych rzeczy na świecie!

— Tém smutniej dla mnie — odpowiedziałam z uśmiechem,—że i złote ramki nie zwracają na mnie uwagi!

— W tém już twoja wina — żywo wpadła stryjenka.

Zdawało mi się, że te słowa stryjenki ubliżały mi. Wstałam z krzesła, i postąpiłam na środek pokoju.

— Jakto?... więc stryjenka każe mi być zaczepną? Nie otrzymałam na to żadnej odpowiedzi

Wszyscy patrzyli na mnie. W ich oczach widziałam przyjazne dla mnie uczucie. Zdawało mi się, że studyowali mnie jak artysta swój model. Czulałam, że mi krew do twarzy uderzała.

— Jesteś nieocenioną w tej chwili,—rzekła po niejakiem czasie stryjenka,—bo dajesz się nam poznać, czém jesteś. Jesteś dumną i hardą.

Zarzut ten ugodził we mnie po raz pierwszy. Pochodził z ust najbliższej krewniej, której nie mogłam podejrzewać o fałszywe oskarżenie. Pochyliłam głowę na piersi, i odparłam półgłosem, jak tłumaczący się winowajca:

— Nie wiedziałam, że to ma być dumą lub wymiosłością. Sądziłam, że to godność kobieca!

Stryjenka patrzyła na mnie z uwagą. Po chwili złożyły się jej usta do uśmiechu.

— O godności kobiecej,—rzekła do mnie,—masz dziwne wyobrażenie, moje dziecię. Uprzejma gospodyni przyjmuje w swoim salonie każdego wchodzącego gościa z dobroliwym uśmiechem. Nikomu nie ubliża, każdego gościnnie podejmuje. Nie każdy jednak wraca do niej: poznaje, wśród największych z jej strony uprzejmości, że się niczego spodziewać nie powinien. Odchodzi i nie gniewa się nawet, co dziś jest wielką rzadkością!

— Coż mi stryjenka zarzuca?

— Zamknęłaś się szczelnie, w przedpokoju postawiłaś sługę i albo każesz wchodzącego gościa wprost odpędzać, albo chcesz, aby się za drzwiami legitymował. To nie znamionuje godności kobiecy!

Nie przemawiało to do mojego przekonania. Nie



jednak nie odpowiedziałam, bo trudno mi było spiérać się ze stryjenką.

Przyjmując to za oznakę, że się z jój zdaniem zgadzam, mówiła dalej stryjenka:

— Nie bez celu to mówię, moje dziecię. Przez kilka dni obserwowałam cię i rozjaśniło mi się wiele, co dotąd było dla mnie zagadką. Nawet Ewunia przeczuła instynktem, że te sześć lat sprawiły między nami wielką różnicę!

— I ja widzę tę różnicę,—ozwał się ojciec—i zaraz powiem bratowej, skąd się ona wzięła. Ewunia dorosła pod opieką matki; Reginie zabrakło tej opieki!

Słowa ojca wywołały w nas wszystkich smutne uczucia. Mnie cisnęły się łzy do oczu. Ewunia nachmurzyła czoło i zaczęła znowu wyskubywać koniec wstążki. Stryjenka westchnęła, a ojciec powstał z sofki, i żywym krokiem począł się po pokoju przechadzać.

— Nie miejcie mi za złe,—mówiła po długim milczeniu stryjenka,—żem wprowadziła do rozmowy rzeczy, które budzą smutne wspomnienia. Uczyniłam to z przywiązania i troskliwości. Nie mogłam sobie tego wytłumaczyć, dla czego Regina dotąd nie miała nikogo, któryby jój serce i rękę kuśił się posiąść. Regina ma więcej urody od Ewuni, więcej jest czytana, ma bystry rozum i umysł bogaty, posag jój będzie trzy lub cztery razy większy od naszego mienia; a przecież nie uderzył dotąd do niój żaden konkurent, choćby nawet jaki zbankrutowany próżniak ze szkiełkiem w oku! Ewunia od tego czasu miała dwudziestu konkurentów, z których dziesięciu było wcale nie do odrzucenia. Nie

mówię już nic o studenckich holdach gołobrodj młodzi, która jak chmura trutniów, okrażała ją na każdym baliku, wieczorze lub wreszcie na jarmarku w Sośalu.

— Widać że Ewunia była szczęśliwszą odemnie!—rzekłam z dziwném uczuciem, któremu nazwy dać nie umiem.

— To nie jest szczęście wypływające z przypadku, moje dziecię, ale stosowne użycie darów, jakimi obdarzył nas Opatrzność. Przedewszystkiém kobieta powinna być na każdym kroku—kobietą!

— Czy to już wystarcza?—zapytałam z ironicznym uśmiałem.

— Nie, dziecię, to nie wystarcza! Nie dosyć być kobietą, ale trzeba być—kobietą swego czasu!

— Ach to tak łatwo!—odparłam,—zaabonować „Bazar“...

— Ty w śmieszność moje słowa obracasz—przerwała stryjenka,—a ja ci mówię, że z twoją teorią daleko nie zajdziesz. Niestety to twoje, że nie miałaś matki. Nieboszczka wprawiła cię do czytania książek, zebrała dla ciebie bibliotekę i odwróciła cię od świata rzeczywistego. Patrzę na ciebie od kilku dni i widzę, że nie jesteś jak zwykle kobiety. Pomiedzy książkami i bohaterami, którzy zawsze na szczytach chodzą, ukształcił się twój umysł jak wysoko wyprowadzona wieża gotycka. Na wszystko patrzysz z tój wysokości, jakbyś była na tój wieży zaklętą księżniczką z niemieckich romansów rycerskich, drobności życia, które właściwie kobiety świat stanowią, są ci zupełnie obce, i nie masz o nich nawet wyobrażenia. A ja ci powiadam, że tylko w tych drobnych



akcesoryach życia może być kobieta mistrzynią! Tylko panuje ona nad drugą połową rodzaju ludzkiego!...

Słuchałam tych słów z uwagą, ale nie wszystkie z nich mogłam rozumieć. Stryjenka mówiła dalej.

— Radząc się we wszystkich książkach i ich uczonych autorów, pozbyłaś się najpojętniejszego przymiotu, to jest kobiecości! Masz postać kapłanki starożytności, westalki albo przynajmniej Siostry Miłosierdzia. Marzysz zapewne o ranach chorującej ludzkości i rejesz poświęceniem leczenia. Tymczasem sama twoja jest źle wykrojona w staniku i tworzy fałdy, jak egipskiej skulptury. Kołnierzyk pracownicy obrobiony, ale w żadnym żurnalu nie znajdziesz podobnego. Cała postać twoja może wprawdzie przypominać kolumnę Fidyasza, ale w salonie dzisiejszym nie wytrzymasz konkurencyj z subretką, która wdziękiem kobiecym lepiej od ciebie gospodarować potrafi!...

Żyły puściły mi się z oczu. Zakryłam twarz rękoma i usiadłam na krześle.

— Mój Boże! — pomyślałam sobie, — jeżeli wszystko prawda, co stryjenka mówi, jakże nędzną jestem istotą! Prosta subretka ma u mężczyzny pierwszeństwo przedemną, dlatego że w jej ślady iść nie chcę i nie mogę!...

— Masz tylko wyobraźnię rozbudzoną, — mówiła dalej stryjenka, — a serce pozostawiłaś martwe. Są to skutki twoich książek. Od kilku dni widzę cię zawsze jednaką. Mówisz aforyzmami i sentencjami, jak profesor niemiecki. Zamiast drobnych zabaw kobiecych, lubisz iść do lasu, i w dzikiej kniei, rozpaliwszy ogień, przypatrujesz się fantastycznym półcieniom!

Nie dziw, że mężczyzna czując w tobie tylko chłodną, rozbudzoną wyobraźnię, cofa się, jak się cofamy przed tchnieniem mroźnego wiatru!...

— Więc jestem paryą! — rzekłam załamując ręce, — paryą towarzystwa, dlatego, że mnie matka w świat wprowadzić nie mogła?

Słowa te rozczuliły obecnych. Najprzód wstał ojciec i na czole mojem wycisnął pocałunek. Równocześnie wzięły mnie w objęcia i ucałowały stryjenka i Ewunia. Ewunia uczyniła to nawet ze łzami. Liutowała się nademną, jak nad biędną, upośledzoną istotą. To wycisnęło mi z oczu łzy prawdziwie bolesne!

— Bóg czuwa nad nami! — zawołał ojciec, — a Jego miłosierdzie i ciebie nie opuści!

— Ewunię będziesz miała blisko siebie, — dodała stryjenka; — a ona nie da ci dalej dziczyć, jak dotąd dziczyłaś!

— Bo wiedzieć ci trzeba, moja Reniu, — szczebiotała szczęśliwa Ewunia, — że Stasio, połączywszy swój kapitał z moim posagiem, chce napowrót odkupić rodzinny nasz majątek obok was. Niemiec tylko droży się teraz, bo powiada, że poczynił wkłady.

Ocierając oczy, rzekłam prawie bez myśli:

— Tak to zawsze bywa, jeśli lekkomyślnie pozbywamy się tego, co nam było dane, potem, chcąc je napowrót odebrać, musimy dwa razy więcej zapłacić!

— Czy mówisz o Brzozówce, moje dziecię? — zapytała stryjenka z dziwnym uśmiechem.



V.

Nazajutrz przyjechał narzeczony Ewuni. Byłam jakoś dziwnie rozstrojona. Rozmowa wczorajsza sprowadziła mi noc bezsenną. Jakiś żal ogarnął duszę moją: nie mogłam się pozbyć smutku, który, mię uciskał. Stryjenka wypowiedziała mi rzeczy, o których przedtém nie myślałam. Podobna byłam do malarza, który w ustroniu tworzy różne obrazy, a nie widział nigdy Rafaela, Rubensa, Van Dyka lub Verneta. Zdawało mu się, że roboty jego są mistrzowskie, wiedział bowiem, jakie trudności przełamywał, i do jakich rezultatów przyszedł własną pracą; tymczasem przyszedł ktoś ze świata, który wszystkie arcydzieła widział i powiedział mu, że jego robota jest lichal...

Trudno pozbyć się naraz myśli, którą pieściliśmy się przez część żywota. Jak ów malarz nie uwierzył zaraz surowej krytyce, tak i mnie ciężko było zrzucić z siebie to wszystko, z czém wzrosłam. Powstał w duszy mojej jakiś rozstrój, który był przyczyną, że narzeczony Ewuni przedstawił mi się w inném świet-

le, niżeli było to, wjakim widziała go szczęśliwa Ewunia.

Był to sobie człowieczek dobry i pocziwy, ale zupełnie pospolity. Otoczył się mnóstwem fraszek, które dobry byt znamionować miały. Zdawało się, że w obec narzeczonej okazywał ten dobry byt z pewną ostentacją. Dawał jęj tém do zrozumienia, że i ją temi wszystkimi fraszkami otoczy, co jęj szczęście stanowić będzie.

Ewunia przyjmowała to wszystko z największą rozkoszą. Mówiono o Paryżu, Dreźnie, Berlinie i Wiedniu. Pan Stanisław opisywał z całą erudycją jakiś szal perski, który widział na ramionach księżniczki Matyldy. Znane mu były wszystkie wykwentne akcesorya tualety i gotowalni. Przywiózł z sobą rysunki powozów, karet i faetonów z fabryk wiedeńskich, i tłumaczył obszernie wszelkie ich szczegóły i zalety. Ewunia z rozjaśnioną twarzą słuchała narzeczonego. W oczach jęj paliło się szczęście, a na ponętném czole rysował się fałdzik marzenia o rozkosznej przyszłości.

Stryjenka miarkowała nieco tę przemysłową rozprawę moralnemi sentencyami. Mówiła o skromnym życiu, a z rysunków powozów i mebli chwaliła najtańsze. Widać jednak było po jęj twarzy, że to wszystko sprawia jęj niewymowne zadowolenie. Przy każdym zwrocie w rozmowie o nowych przedmiotach wygód życia, patrzyła na mnie z pewnym tryumfem a uwielbieniem dla pana Stanisława. Oczy jęj zdawały się mówić:

— Patrzej, jak Ewunia będzie szczęśliwa! Tobie



daleko jeszcze do tego szczęścia! A kto wie, czy kiedy nawet będziesz tak szczęśliwa!...

Patrząc na to wszystko, utrwalalam się w dawniejszych moich przekonaniach. Nie zazdrościłam Ewuni, bo o miłości miałam inne wyobrażenia. Przeciwnie, litovalam się nad dwójgim szczęśliwych ludzi, którzy jak dzieci bawili się błyszczącymi cackami, nie wiedząc, że one takkruche i słabe!...

Została mi jednak jeszcze jedna nadzieja. Myślałam, że w liczniejszym towarzystwie nie mogą narzeczani inaczej z sobą rozmawiać. Zachować muszą konwencyonalność towarzyską i snuć rozmowę z takiego materiału, jaki mają pod ręką. Czekałam więc sposobności, kiedy niekrępowani żadnymi względami do siebie przemawiać będą; serce bowiem jest jak kwiat mimozy, który się zamyka, gdy obcy wietrzyk po jego listkach muśnie.

Sposobność ta wkrótce mi się nadarzyła. Byłam z Ewunią w ogródku. Szłyśmy ocienioną aleą ku altanie, dzikim winogrodem okrytą. Boczna ulica zmierzała ku nam pan Stanisław.

Narzeczony Ewuni był świeżo ubrany, jakby dopiero co od krawca wyszedł. Na przekorę balsamicznej woni i orzeźwiającemu powietrzu, które przy końcu maja od gór karpackich w dolinę zawiewa, był oblany jakąś wykwintną perfumą, która z żywym zapachem rezedy, jaśminu i hiacyntów najmocniej kontrastowała.

Obaczywszy go, Ewunia, rozwinęła również bastykową chusteczkę, przesiąkniętą kwaskowatą wonią, a wiejąc wkoło siebie kilka razy, otoczyła się kunsztowną atmosferą. Zdawało się zapewne narzeczonym,

że tylko w takiej atmosferze mogą dwa serca szczęśliwie bić do siebie...

Pan Stanisław przyłączył się do nas, i rozpoczął najzwyczajniejszą rozmowę. Sądziłam, że to się dzieje z powodu mojej obecności. Doszedłszy więc do altany, dałam im sposobność swobodniejszego udzielania się sobie. Pod pozorem admiracji szafirowych hiacyntów zatrzymałam się przed altaną, do której oboje szczęśliwi weszli.

Długi czas chodziłam pomiędzy grządkami kwiatów. Od czasu do czasu patrzyłam nieznacznie na altanę. Ewunia siedziała w jasnej sukni po jednej stronie, a narzeczony zajął stanowisko po drugiej, z takim komfortem, jakby był w salonie wśród najliczniejszego towarzystwa.

Gdym się po jakimś czasie z zerwanym hiacyntem do nich zbliżyła, słyszałam, że ciągnęli dalej rozpoczętą przy mnie rozmowę, o przedmiotach tak obojętnych, jakie w najobojętniejszym nawet towarzystwie znudzić mogą. Zdaje mi się, że nawet nie patrzyli na siebie.

Kilka dni bawili u nas nasi goście. Przez ten czas nie spostrzegłam między narzeczonymi żadnej zmiany. Grzeczność z jednej i drugiej strony, podawanie robótki lub parasolki, rozmowa obojętna, czasami wesoła i dowcipna,—oto było wszystko! Nie szukali nawet wzajemnie siebie na kilka kroków od towarzystwa, aby bez świadków choć inaczej spojrzeć na siebie...

Ewunia ubierała się trzy razy na dzień. Była w tym względzie prawdziwą mistrzynią. Zdawało się, że trzy razy na dzień zmieniała swą całą istotę.



Jedna nie była do drugiej podobną. Ktoby jęj dobrze nie znał, lub z odległości kilkunastu kroków na nią patrzył, myślałby, że widzi trzy różne kobiety!

Pan Stanisław każdym razem egzaminował ją okiem, i zdaje się, że był zawsze z nowęj metamorfozy zadowolony. Chwalił jęj gust, raz nawet podziwiał wyroby fabryk i modniarek. Przed ojcem moim się wymówił, że Ewunia będzie umiała godnie dom jego reprezentować!

Podczas wycieczek w sąsiedztwo odbierali narzeczeni tysiączne powinszowania. Kobięty w ogóle uznawały małżeństwo za dobrze dobrane. Pan Stanisław wszystkim się podobał. Matki, ciotki i córki zazdrościły Ewuni. Pan Stanisław wszedł w targ z Niemcem o Brzozówkę, a cała okolica cieszyła się z nadziei tak przyjemnego sąsiedztwa.

Po kilku dniach tyle rzeczy zaczęło się spięrać w mojęj głowie, że zapragnęłam gorąco samotności. Chciałam przyjsć do porządku z tēm wszystkiē, co widziałam i słyszałam, jak niemniēj i z tēm, co się w tēj chwili głośno w mojęm sercu odezwało.. Nie spodziewałam się, że i z tēm trzeba się ściśle obrać.

Pożądana samotność wkrótce nadeszła, a z nią także i obrachunek.

## VI.

**P**o odjeździe Ewuni głucha cisza osiadła w naszym domu.

Majątek nasz mieścił się w kotlinie jednego z pasm przedgórzy karpackich. Była to lekka pochyłość ku południowęj stronie. Samym środkiem doliny wił się głębokiem korytem potoki. Nad potokiem stały dwie grupy wiejskich chat i zabudowań. Były to dwie wioski, ale tak wzdłuż potoku rozciągnięne, że prawie się razem z sobą stykały.

Pośrodku tych osad stał duży, stary dwór, zbudowany przed dwustu laty. Za lat dawniejszych chciał ojciec zamienić to gniazdo rodu naszego na jaki użytek gospodarski, a nad brzegiem potoku wymurować coś w nowszym guście. Matka jednak niechciała na to przystać. Utrzymywała, że nowe dzisiejsze pałacyki podobne są do jadowitego grzyba, który z czasem całą budowę niszczy. Twierdziła, że odkąd zaczęto stawiać zameczki i wille włoskie, upadły majątki ziemskie; pałacyk bowiem wymaga innęj służby i prezentacyi, a górska ziemia nie zawsze dopisuje.



Sama konserwacya pożera znaczne pieniądze, a cóż mówić o stosownych potrzebach mieszkańców?

Ojciec usłuchał rad matki; przydał tylko starowinie sił nowych, i nieco go dla oka i wygody oporządził. Płot ogrodowy przeszedł na drugą stronę potoku, tak że potok obciążony kilku mostkami płynął w ogrodzie. Oprócz romantycznej roli, jaką mu tutaj nadano, kwiatkom moim podczas skwaru dostarczył chłodzącego napoju.

Sam dwór tworzył podłużny czworobok z ganikiem śmiało wystającym. Po ścianie do południa zwróconej pięły się brzoskwinie i morele, i gęstym liściem chroniły nasze pokoje od skwaru letniego słońca.

Tuż za ogrodem, ku stronie północnej, zaczynał się las sosnowy, i pnać się coraz wyżej, niknął na szczycie góry we mgle błękitnej. Nie tu jednak był jego koniec: spuszczał się za górą jeszcze kilka razy i nieprzerwanem pasmem szedł aż na sam grzbięt Karpat.

Z najwyższymi górami kraju naszego mieliśmy przeto związek bezpośredni. Nie wiem czy nie powiem za wiele, twierdząc, że ta smuga zielona, jak drut elektryczny, łączyła nas z naszymi górami i przez nią działały niewidomie na nasze usposobienia tajemnice gór olbrzymich.

Najprzód, bezpośredni między nami związek był za pomocą dzikich zwierząt, które z ostatnich, niedostępnych wyżyn schodziły nieraz do nas, niosąc z sobą coś z fantastycznych tajemnic kniei, hal i połonin. Zielona, osłonięta smuga lasu była ich gościńcem, lub

raczej szlakiem, którym wędrowały bądź gromadnie, bądź pojedynczo.

Niektórym gościom górskim służyły także i konary drzew za środek komunikacyjny. Wiewiórki wesołe spuszczały się po gałęziach coraz niżej w dolinę, i ciekawém okiem przypatrywały się naszej pracy, aby o niej tam na wysokich górach wiele opowiadać!...

Był i trzeci autorament potrzebujący tylko dla wypoczynku lub noclegu tej zielonej smugi. Płynął on powietrzem trzymając się jednak zawsze szczytów sosen, gdzie tych wędrowców przygotowała Opatrzność jadło i spoczynek. Szczebiotliwe sroczki z podniesionym do góry ogonkiem przychodziły tą drogą, i zapowiadały nam nieraz upragnionych gości. Wrony i gawrony napadały nas z krzykiem i wrzaskiem, opowiadając niezrozumiałym językiem coś strasznego o skałach karpackich!...

Czasami po nad szarą smugą lasów pojawił się na jasnym niebie mały, szary punkcik. Stado dzikich gołębi niepokoiło się tym ledwo dojrzanym punktem. I kogut grzebiący w kłombie spostrzegał niebezpieczeństwo. Napominał więc matkę z kurczętami a sam jeżył pióra na znak odwagi niekłamanej. Tymczasem czarny punkcik zaczynał się poruszać. Zwiększał się i przedłużał coraz więcej. Nagle jak kawałek ołowiu spadał gdzieś za lasem. Kogut odwoływał „pogotowie wojenne“ i rozpuszczał młódź z pod skrzydeł matki na trawę. Tylko stado dzikich gołębi przelatowało strwożone po nad dworem. Między niemi brakło jednego...

Wśród takich obrazów dojrzywało serce moje;



wystarczały mi one do téj pory. Kto umie w obraz natury patrzeć, ten zobaczy tam więcej ruchu i życia niżeli na bulwarach paryzkich!

Patrzyłam w ten obraz, i tak dzień po dniu scho-dził. Wprawdzie sama natura dostarczała mi często tylko tła, na którém snułam moje własne obrazy. Często się jednak działo, że moje obrazy blakły i niknę-ły, a na ich miejsce występowała wiecznie młoda i wiecznie silna natura, i za utratę rojeń moich stawiała się jedyną moją pocieszycielką!... Tło natury górowa-ło nad moją niudolną pracą!

Mimo to były chwile, w których budził się niepo-kój serca. Po domowych zatrudnieniach, wypoczy-wając w ganku ocienionym dzikim winogradem, my-ślałam nieraz o przyszłości, która dotąd była ciemna i próżna dla mnie...

Czułam się osamotnioną i nie wiedziałam, kto mi na całą podróż życia dłoń poda!

Nie wiedziałam czyje serce uderzy żywiej dla mnie i bić będzie razem z mojem... Kogo wprowadzę do pałacu marzeń moich, i okażę mu skarby, które tam dla niego przygotowałam!...

Trapiła mię myśl, czy te skarby nie zmarnieją, jak marnieją u tysiąca moich rówieśniczek, lub czy ich nie zabierze jaki zły człowiek, który ich ocenić nie potrafi!...

Budziło się we mnie pragnienie przyjaźni, miło-ści, i roiłam sobie wielkie rzeczy o sercu, które mnie ukocha!

Takiego serca nie spotkałam dotąd w życiu. Wi-działam wprawdzie różnych ludzi, słyszałam od nich

jakieś stereotypowe frazesa, według jednego modelu przykrojone, ale serce moje pozostało zimne, niewzru-szone.

Większa zmiana zaszła we mnie po odjeździe stryjenki i Ewuni. Przyczyniły się do tego słowa stryjenki i widok narzeczonej Ewuni. Słowa zraniły serce moje, odmówiły mi wręcz wymarzonego szczęścia. Widok szczęśliwej Ewuni rozbudził w mojej duszy żal; że mam już rok dwudziesty, a dotąd nikt nie pokusił się o serce moje! Jest to dla kobiety w każdym razie rzecz bardzo bolesna. Czułam się upokorzoną, osamot-nioną więcej niż kiedykolwiek!

Zrazu we łzach szukałam ukojenia; potem stara-łam sobie to jakoś wyrozumować.

Takie szczęście, jakiego pragnęła Ewunia, nie mogłoby mnie zadowolić. Pragnienia moje nie były, jak się stryjence wydawały, zbyt romantycznymi. Nie chciałam naśladować żadnej z owych idealnych boha-terek romansów, które otoczone narkotyczną atmosf-e-rą, podobne są do efektownych cieni z latarni magicz-nój. Pragnęłam tylko, aby serce moje nie było milezą-ce gdy usta wypowiedzą słowa przysięgi... Pragnęłam, aby ten, któremu na całe życie się oddam, nie brał mnie, jak się bierze worek złota, który o tyle tylko ma wartość, że mieści w sobie zdawkową monetę życia!...

Sądzę, że to nie było zbyt wiele. A przecież sło-wa stryjenki kazały mi się domyślać, że to było pra-wie niepodobnem! Jakież więc mogły być nadal moje nadzieje? Czyż miałam się nawrócić do zasad stryjen-ki i pójść szerokim gościńcem życia? czy też błąkać się po ścieżce samotnej, na której nikogo spotkać nie można?...



Pierwszy raz może w życiu uczułam w duszy pragnienie zemsty...

Dziwne ogarnęło mię uczucie, gdym się dowiedziała, że dzisiaj odbędzie się wielka obława, na którą wszystkie wsie okoliczne były wezwane. A kiedy ojciec mój już we wszystko się zaopatrzył, co mu do tej wyprawy potrzebnem było, uderzyło serce moje dziwną radością. Zdawało mi się, że zabójstwo, popełnione na mojej biédnej sarneczce, będzie pomszczone, i że nieznany złoczyńca z okolicy otrzyma zasłużoną karę. Uściskałam ojca i odprowadziłam go oczyma, z jakimś dziwnem, nieznanem dotąd uczuciem.

Cały dzień byłam skazaną na samotność. Dnia tego nigdy nie zapomnę: był on wyjątkowym ze wszystkich jednostajnych, dotychczasowych dni mego życia.

Serce mu biło niespokojnie. Mogła być tego powodem myśl, że ojciec znajduje się wśród niebezpieczeństwa; ale ojciec polował nieraz na dzikiego zwierza; w liczniejszém towarzystwie nie można było obawiać się jakiego smutnego wypadku. Czegóż więc niepokoiło się serce moje?

Mogło to być oczekiwanie, że morderca mojej sarneczki otrzyma zasłużoną karę. Może pragnęłam widzieć tego mordercę leżącego u nóg moich, i pocieszyć się tym wyrokiem losu nad niem?...

Zatrudniałam się więcćj niżeli zwykle około gospodarstwa. Sama zaglądałam wszędzie, mówiłam wiele z kucharzem, ze służącą, a nawet z ekonomem wdałam się w rozmowę o wydajności żyta.

Wszystko to jednak nie mogło mi przywrócić upragnionego spokoju. Myśli moje odbiegały gdzieś

VIII.

Miałam zwyczaj być zawsze tak ubraną, abym dla gości przebierać się nie potrzebowała. Śmiesznem wydawało mi się, jeżeli kobiéta, przywitawszy niespodziewanych gości, opuszcza ich potem na czas niejaki, aby się ukazać w innym stroju. Nawet to było w oczach moich śmiesznem, jeżeli niewidzialna żona gospodyni, wychodziła potem na powitanie gości tak wyświeżoną toaletą i fryzurą, że widocznem było, że dopiero co uwolniła się z pracowitych rąk garderobianki. Według mego mniemania, kobiéta powinna w domu tak być ubraną, aby każdego niespodzianego gościa przyjąć mogła, jeżeli go przyjąć potrzeba. A jaką ją ujrzy, taką powinna zostać do końca, nie poprawiając nic ani w ubiorze, ani w układzie włosów; inaczćj ściągą na siebie podejrzenie, że sama dla siebie jest mniej dbałą i tylko dla obcych chce się przystroić.

Nie wiem jednak jak to się stało, żem w tej chwili odstąpiła od moich zasad: uczyniłam to, powodowana jakimś dziwnym instynktem. Była to może próżność kobiéca, nad którą w tej chwili panować nie umiałam, czy raczćj zapomniałam: zdaje się, że przykład Ewuni działał na mnie nieświadomie.



Rozkazawszy zapalić kandelabry, pobiegłam do gotowalni i szybko poprawiłam włosów. Patrzałam chwilę w zwierciadła, jakbym odgadnąć chciała, jakie wrażenie mogę sprawić na dzisiejszym gościu. Może też i w istocie myśl podobna snuła mi się po głowie, bo któraż kobieta w skrytościach serca swego nie roi sobie czegoś podobnego? Wszyscy w nas wmawiają, że jesteśmy pięknem tej brzydkiej ziemi; cóż więc dziwnego, jeżeli jesteśmy ciekawe, czy to piękno należyte czyni wrażenie?

Tymczasem ojciec wprowadził towarzysza do saloniku. Gdy wyszła, aby go tam po raz drugi powitać, rzekł do mnie zaraz na wstępie:

— Protestowałam przed ojcem jak najmocniej przeciw wprowadzeniu mnie do salonu. Do takiej biesiady nie mam szaty godowej. Przypadek sprawił, żeśmy się zbłąkali w lesie, i że w takim ubiorze poraz pierwszy jestem tu gościem. Nie chciaję się pani tém gorszyć, wiedząc dobrze, że i najpierwsi świata bohaterowie nie wracali z pola walki w ubiorach konwencyonalnych. A w oczach pani stałem się także niejako bohaterem, zemściwszy się na mordercy, jak dawny błędny rycerz niemiecki.

Rzekłszy to z uśmiechem podał mi rękę, którą ścisnęłam serdecznie.

— Rozgość się w moim domu, panie Andrzeju, jak w swoim—odparł ojciec przysuwając mu fotel.

Wskazałam ręką na fotel, prosząc go tym gestem, aby usiadł. Zajął miejsce w drugim.

— Przypadek w lesie—ozwalał się nawiązać rozmowę—okazał się tym razem bardzo logicznym; gdy bowiem dzieło, jakie na scenie widzimy, wywołuje

autor, aby go obaczyć i za dzieło jego choć oklaskiem wynagrodzić. Cóżbym robiła, gdyby widząc przed sobą zabitego mordercę mojej sarneczki, nie mogła widzieć sprawcy tego pięknego czynu i serdecznie mu przyklasnąć?...

— Zemsta—odparł z uśmiechem pan Andrzej—jest zimną potrawą bogów...

— Ależ to był złoczyńca niegodziwy...

— Więc zapadł wyrok; on odniósł karę, i kodeks zamknięty! Otwórzmy teraz wesołą księgę świata. Jakie sąsiedztwo macie państwo tutaj? Czy smutne lub zabawne, pokutujące czy grzeszące, kontemplacyjne czy próżniacze?

Na te słowa nie zaraz odpowiedziałam pytającemu. Spojrzałam na niego, aby się przekonać, czy ten niezwykle zwrot rozmowy stosował się do jego powierzchowności, i teraz dopiero mogłam mu się do brze przypatrzeć.

Ubiór jego był czysto myśliwski, bez żadnych jednak ekscentryczności. Widziałam nieraz okolicznych myśliwców, i naśmiałam się z nich do syta. Zdawało mu się, że im nie tak bardzo chodziło o polowanie, jak o kostiumy fantastyczne. Były tam najrozmaitsze kolory i świecidełka. Widząc ich, rzekłby ktoś, że każdy przywiezie przynajmniej niedźwiedzia; tymczasem kończyło się na błotnych ptaszkach lub na wesołym śniadanku z szampanem i pasztetem strasburskim. Dawniej polowanie żywiło ludzi; dziś jest zbytkiem i wysyłką pieniędzy za granicę.

Pan Andrzej miał na sobie krótką kurtę szaraczkową z metalowymi guzikami. W rękę trzymał mięk-



ki również szary kapelusz, z małym białym piórkim wysokie buty kończyły ubranie.

W twarzy jego nie widziałam nic nadzwyczajnego: rysy miał zwykłe, prawie powszednie. Włos płowy otaczał mu skronie dosyć bezładnie; takiegoż koloru małe wąsiki łączyły się z dosyć bujnym zarostem brody. Cera twarzy była nijaka, więcej jednak blada niż czerstwa. Oczy niezdecydowanego koloru patrzyły trzeźwo i dosyć zimno przed siebie. Usta były więcej niż zwykle zaciśnięte, i mogły oznaczać tak samo upór i zacięłość, jako też siłę charakteru: w każdym razie miały najwięcej charakterystycznego wyrazu.

Wszystko to obiegłam okiem w jednej chwili; prócz tego byłam jeszcze ciekawą jednej rzeczy: nieobojętnym jest dla kobiety, jakie usposobienie okaże nowy gość w jej towarzystwie, w tym celu raz jeszcze spojrzałam na pana Andrzeja. Twarz jego była tak obojętną, jakby był jeszcze wśród lasu. Oczy jego patrzyły w kąt salonu, gdzie żadnego ciekawego przedmiotu nie było; zdawało się nawet, że był znużony, a może nawet nie wielce rad z naszej gościnności.

Wracając do rozmowy, rzekłam do niego:

— Pan postawiłeś mi zbyt wiele zapytań odrazu. Najprzód nie wiem, dlaczego pan tak prędko kodeks karny zamykasz: powinien on być otwarty, dopóki panują różne nieprawości. My doznajemy ich codziennie: wilki i inne dzikie zwierzęta przychodzą lasami z gór...

Tu urwałam rozmowę, pan Andrzej bowiem spojrzał na mnie dziwnym wzrokiem. Jego oczy nabrały

magle ciemnego koloru, twarz zmęczona ożywiła się; patrzył tak chwil kilka.

— Masz pani słuszność—odparł—nie zamykajemy tej smutnej księgi!

— Jeżeli was dobrze zrozumiałem—ozwał się ojciec,—to i owszem, bardzo zapraszam. Dzikiego zwierza dosyć u nas, lasy moje stoją zawsze dla pana gościnnie otwarte; jeżeli pan w te okolice znowu kiedy zabłądzisz, to proszę bardzo nie omijać mego dworku.

Pan Andrzej ścisnął rękę ojca.



IX.

Rozmowa przeszła na inne obojętne przedmioty. Po niejakiem czasie opuściłam towarzystwo, aby polecić dawać herbatę.

Potém poszłam do swego pokoiku, usiadłam na chwilę na krześle: zapragnęłam chwilki samotności. Nie wiem o czém myślałam, wiem tylko, że ten czas ubiegł mi bardzo przyjemnie. Myśli moje były podobne do owych cudownych obrazów w kalejdoskopie, których ani schwytać ani zapamiętać nie można. Bawią oko, drażnią wyobraźnię, a kiedy od nich odejdziemy, nie umiemy sobie zdać sprawy ani o ich kształtach, ani kolorach: zostaje nam tylko jakieś ciemne, miłe wspomnienie.

Zdaje się, że to dumanie moje dosyć długo trwało, służący bowiem wszedł do mnie i oznajmił, że już wszystko gotowe do herbaty.

Wróciłam do saloniku; zastałam gościa bardziej ożywionego. Ojciec mój, obyczajem myśliwskim palił lulkę i siedział na sofie, pan Andrzej chodził po pokoju z cygarem w rękę; rozmawiali żywo o różnych świeżych wydarzeniach, o znajomych i sąsiadach.

Gdy weszła, przystanął na chwilę pan Andrzej, przepraszając mnie za swobodę, której w domu naszym używa a do której przez ojca mego był prawie zmuszony. Grzeczność jego była zbyteczna, bo na kominu palił się ogień, który nieustannie powietrze odświeżał.

Po kilku zamienionych słowach, zaprosiłam ojca i gościa na herbatę.

Przy herbacie prowadziliśmy rozmowę dosyć obojętną. Mimo to uderzało mnie każde słowo, każde zdanie naszego gościa. Mówił z największą swobodą. Otoczenie jego było mu dosyć obojętnem: tak mi się przynajmniej wydawało.

Patrzył najczęściej przed siebie lub gdzieś w powietrze. Ani razu prawie nie mogłam uchwycić jego spojrzenia, któreby ku mnie skierowane było. Wtedy tylko patrzył na mnie, gdym do niego mówiła, lub mu co podawała. Odpowiadał mi z wyrazem należytego uszanowania dla płci mojej, dziękował z grzecznym uśmiechem światowego człowieka.

Przyznam się, że mi jakoś smutno było, chociaż nie wiem dlaczego. Milczałam czas dłuższy i zostawiłam ojcu wyłączne prowadzenie rozmowy. Pan Andrzej nie usiłował wcale skierować jej w moją stronę.

Nareszcie wstaliśmy od herbaty. Była godzina jedenasta. Ojciec rzekł do pana Andrzeja:

— W domu moim zostawiam gościom wszelką swobodę! Kto cały dzień po lesie się nachodził i jutro o świcie odjechać pragnie, temu zapewne miłszy jest odpoczynek od rozmowy z wieśniakami. Masz pan wszelką swobodę.



— Protestuję naprzód przeciw posądzeniu mnie o znużenie—odparł pan Andrzej z uśmiechem patrząc na mnie,—a potem protestuję przeciw podejrzeniu, jakoby rozmowa z państwem nie sprawiała mi przyjemności. Przypadek jest moim zwyczajem, każdą sposobność w życiu wyzyskać do dna. W salonie przy kominku jest jeszcze zapas drzewa, a przy oknie widziałem przepyszny fortepian Erarda. Jakże można z tem wszystkiem tak prędko się rozstać?

— Czy nie byłoby może lepiej—odowiedziałam smutno—wziąć z sobą ułudę niżeli rozczerwanie? Milczący instrument Erarda działa przyjemnie na wyobraźnię, lecz zostawia niemile wspomnienie, gdy struny jego umiętna ręka poruszy.

Pan Andrzej spojrział na mnie poraz drugi ciemnym ożywionym okiem, które wyraźnie czułam na mojej twarzy. Zdawało mi się, że to spojrzenie powoli wciskało się aż do duszy. Spuściłam oczy i czułam, że mi krew uderza do twarzy.

— Wolę rozczerwanie niżeli ułudę,—odparł z uśmiechem.—Rozczarowanie jest to kamień, który wzięliśmy za złoto, odrzucamy go więc od siebie i idziemy dalej, ułuda zaś jest podłym kruszczem, który za złoto bierzemy, chowamy do kieszeni, i obciążamy się niepotrzebnie w podróż!

Rzekłszy to, podał mi rękę, i wszyscy wróciliśmy do salonu.

Rozmawialiśmy czas jakiś jeszcze o różnych sprawach bieżących. Niewiele mieszałam się do rozmowy. Płatały mi się jeszcze po głowie słowa, powiedziane do mnie o ułudzie i rozczerwaniu. Patrzyłam na tego, który te słowa do mnie wymówił; zdawa-

ło mi się jednak, że o nich zupełnie zapomniał. Były to prawdopodobnie sentencyjki, które ludzi wykształconych nic nie kosztują, a które rzuca się między ludzi jak na maskaradzie weneckiej rzuca się gałki gipsowe zamiast cukrów!

Pan Andrzej ze spokojną twarzą opowiadał coś o Anglii i Belgii, gdzie dłuższy czas przebywał. Wreszcie rozmowa zaczęła słabnąć, pan Andrzej widocznie ją urywał i skracał, jakby chciał spowodować jakąś dłuższą pauzę. Zdaje się, że dokazał tego. Ojciec bowiem usiadł na fotelu przy kominku i sięgnął ręką po gazetę, która na gźemście leżała, rozwinął ją i zaczął czytać.

Pan Andrzej zbliżył się do mnie:

— Przy grze pani—rzekł z uśmiechem—rozjaśni się dla ojca niezawodnie horyzont polityki Niebieskiego Państwa!

— Ale pan za to odniesiesz rozczerwanie!

— Rozczarowanie osobiste kładę zawsze niżej od rozczerwań w polityce, choćby tylko Państwa Niebieskiego.

— Jeżeli pan tak mało cenisz rozczerwanie osobiste, to odważę się bez skrupułu na takie rozczerwanie!

Wymówiłam te słowa z pewnym żalem; zdawało mi się, że miałam do tego powód.

Usiadłam przy fortepianie: pan Andrzej zajął miejsce w pobliżu.

Chwilę namyslałam się nad wyborem muzyki; wybrałam nie tęskną. Miałam zawsze więcej pociągu do tej muzyki, bo widziałam w niej więcej głębszych myśli i treści; ślizgające się z efektem tony muzyki



włoskiej lub francuskiej nie zostawiały w duszy mojej żadnego głębszego wspomnienia.

Zagrałam Beethovena. Pan Andrzej słuchał z uwagą. Zdaje mi się, że grałam lepiej niż zwykle. Ojciec kiedy niekiedy z poza gazety spoglądał na mnie lubił także bardzo muzykę. Lecz po jakimś czasie, groźna polityka Państwa Niebieskiego przemogła nad tonami Beethovena, i ojciec utonął cały w gazecie, która wyliczyła już wszystkie pancerne okręty wypływające na wyprawę do Kochinchiny. Ojciec lubił marzyć o wojnach, i lada telegram z końca świata zapalał go do marzeń.

Tymczasem zakończył się Beethoven głośnieńmi jak wystrzały z dział akordami: ojciec tego wcale nie słyszał, bo już nie był w Europie.

— Pani lubisz niemiecką muzykę? — ozwał się pan Andrzej.

— Lubię, bo ma najwięcej podniosłych myśli; tony jej strzelają gdzieś pod niebiosa, jak szczyty wież gotyckich.

— Więc pani lubisz każdą wielkość i wzniosłość?

Mówiąc to spojrział na mnie pan Andrzej po raz trzeci dziwnie rozjaśnionem okiem.

— Jak pan możesz inaczej sądzić? — odpowiedział. — Wielkość i wzniosłość to przecież magnesy duszy naszej!

Pan Andrzej nic na to nie odpowiedział; zwiesił głowę i zamyślił się. Po długiej chwili przemówił:

— Masz pani słuszość: wielkość i wzniosłość to magnesy ducha; magnes ten stracił już oddawna siłę. Nic i nikogo nie przyciąga! Żyjemy w wieku karłów i drobnych namiętności!... Może pani grasz polkę

— Uwolnij mnie pan od niej w tej chwili; rozmowa nasza zesłała na temat tak poważny!

— A raczej tak niewłaściwy! Deklamacya o wielkich rzeczach jest śmieszna!

— Jeżeli to jednak ani pana, ani mnie nie rozśmiesza?

— Zkąd pani wnosisz, że mnie to nie rozśmiesza? Może być, że w duszy śmieję się!

— Kobięty wyposażone są subtelnym przeżuciem.

— Tyle o tém nam napisano, a przecież tak mało w życiu widzimy skutków tego przeżucia!

Zamilkłam, bo słowa zdawały mi się ubliżać.

— Pani na to nic nie odpowiadasz? — zapytał po chwili pan Andrzej.

— Bo pan atakujesz nas poza granicą godności naszej — odpowiedziałam z pewnym rozdrażnieniem.

— Bardzo przepraszam. Jeżeli pani tak wielką wagę przywiązujesz do przeżucia, to zapewne powie ono pani, dlaczego w rozmowie naszej wykroczyłem poza granice, jakie pani godności kobiecej naznaczasz!

Słowa te zdawały się mieścić w sobie bardzo wiele. Spojrzałam na twarz mówiącego, aby tam reszty doczytać: serce moje obiecywało mi, że tam coś znajdzie.

Omyliło mnie serce. Pan Andrzej miał słuszość, lekceważąc nasze przeżucia. Dusza nasza w czasie wezbrania, jest jak igła magnetyczna podczas burzy i prądów elektrycznych: chwije się w różne strony i nie wie gdzie wskazuje!...

Pan Andrzej jak najspokojniej przypatrywał się napisowi firmy fabrykanta, i chłodnym okiem przebie-



gał kolejną wszystkie arabeski. Od ostatniej wracał znowu do pierwszych, jakby chciał ich pogmatwane węzły rozwiązać. Rzekłam z uśmiechem:

— Przecucie mi mówi, żeś pan poza te granice wyszedł z powodu chwilowego złego humoru.

— Dobrze pani przeczuła, z tą tylko omyłką, że to nie jest chwilowy humor, ale nieustanny, z którym się noszę lat trzydzieści!

— Ach! więc to choroba chroniczna!

— Nie, pani: dziedziczna!

— Dziedziczna?... Nie rozumiem!

— Czy znałaś pani moich antenatów?

— Ludzie zacni i poczciwy świecą w społeczeństwie jak gwiazdy!

— I cóż pani ztąd wnosisz?

— Żeś pan przed chwilą był nieszczéry!

— Na czémże ta nieszczerość polega?

— Mówiłeś pan, że dzisiaj brak nam siły do zacnych i wznioślejszych czynów!

— A gdzież jest ta siła?

— Pańskie nazwisko!

Pan Andrzej spojrzał znowu na mnie dziwnym, prawdziwie demonicznym wejrzeniem, po chwili rozśmiał się z ironią.

— Cóż pani sądzisz o podobnym, nazwisku? — zapytał.

— Jeżeli dziad i pradziad byli ludzie zacni i w społeczeństwie zasłużeni, to wspomnienie ich ciągnie wnuka do dzieł poważnych i ważnych!

W tej chwili nie spojrzał na mnie, ale przed siebie tym samym dziwnym roziskrzonym wzrokiem.

— Pozwolisz pani jeszcze na jedno zapytanie — ozwał się po chwili: — czy nie sądzisz pani, aby nazwisko dziada mogło wnukowi być ciężarem?

— Tylko słabemu, silnemu nigdy! — odpowiedziałam podniesionym głosem.

— Pani używasz deklamacji — odparł po chwili.

— W wiekach średnich, kiedy rycerz z kopią w ręku mógł się chwałą okryć... ale dzisiaj w czém tu okazać moc ducha i woli?

— Są rzeczy — odpowiedziałam — napozór drobne i małe, a jednak mieszczą w sobie wielkie. Są obowiązki miłości bliźniego i społeczeństwa!

Dłuższe milczenie zapanowało między nami. Pan Andrzej patrzył przed siebie, poczem ozwał się do mnie z uśmiechem:

— Ponieważ pani tak nielitościwie obciążasz barki moje, chciałbym się wywdzięczyć za nadobne. Wszak pani nazywasz się Wiktorya Regina?

— Tak jest.

— Czy wiesz pani jak wielkie obowiązki wkładają te dwa słowa z małą odmianą?

— Nigdy się nad tém nie zastanawiałam!

— *Wiktorga regia*, to nazwa najpiękniejszego kwiatu, królowny Flory; to kwiat nad kwiaty! Niechże ta nazwa również ciąży nad panią!...

W tej chwili wstał ojciec z krzesła, aby złożyć gazetę i okulary na grzémie kominka. Zbliżył się do nas i rzekł:

— Wyprawa do Kochinchiny zdecydowana! Obawa jest tylko przed porą jesienną... Pan Andrzej powstał. Zégar nad kominkiem



wskazywał w pół do pierwszej. Ponieważ pan Andrzej jutro ze świtem chciał wyjechać, podał mi więc rykę, nie tylko na dobranoc, ale i na pożegnanie.

Oczy jego obojętnie pożegnały się z tém wszystkim, co w tym salonie widział, myślał, mówili marzy...

Tak przynajmniej wyczytałem na jego twarzy.

X.

**O**d tego dnia upłynęło wiele, wiele czasu. Zawsze stanowił on obfity materiał do moich marzeń i myśli. Wszystkie najdrobniejsze szczegóły malowały się żywo w mojej pamięci. Snułam z nich prze cudowną, ale niestety, tylko pajęczą tkanę; w samotnieniu jednak mojem i w jednostajnem życiu była mi i ta tkanka pajęcza czémś koniecznem.

Wyparłabym się natury kobiecój, gdyby całe to zdarzenie przeminęło bez echa w duszy mojej. Każda prawie kobieta doznała w życiu podobnego, cichego wrażenia, które, jakkolwiek w rzeczywistości żadnych nie odnosi skutków, pozostaje jednak na dnie duszy jak przypomnienie snu przyjemnego. Nie obciąża ono niczém serca, bo jest z natury swojej zbyt eteryczne, jak chwilowy przebłysk ideału!..

Owa wieczorna rozmowa z panem Andrzejem potrafiła lekko w mém sercu pewną strunę, która jednak wkrótce przy zimniejszej rozwadze ucichnąć musiała. Wprawdzie kobiety są o wiele śmielsze w mądrzeniach od mężczyzn. Dla nich, gdy serce uderzy żywiej, niema już żadnych granic rzeczywistości.



W zajęciach swoich nie widzą przeszkód, które im stawiają lodowate przesady towarzyskie i skamieniałe prawa rzeczywistego świata. Jakoż tém więcej z ich strony zawodów!...

Mimo wszelkiej ponęty do podobnych marzeń, trzeźwiej nieco sądziłam o sobie. Jeszcze bardziej otrzeźwiła mnie dotknięta nieco moja miłość własna. Wiedziałam najwyraźniej, że dla pana Andrzeja byłam osobą obojętną. Patrzył na mnie i mówił ze mną z ujmującą grzecznością, ale zimno. Ze światem, do którego należał, nie miałam żadnych stosunków, i nie było prawdopodobieństwa, abyśmy kiedykolwiek do siebie zbliżyć się mogli. W okolicy naszej był tylko gościem przypadkowym, a nie miałam powodów do wiary, aby o zaproszeniu ojca na łowy miał pamiętać.

Tak mi mówiła moja zimniejsza rozwaga i położyła sny wszelkie, jakie mimowoli serce moje czasem nachodziły. Wreszcie czas podarł mi owe misterne tkanki pajęczce, które do owego pamiętnego dnia nawiązywałam, a resztki ich, unoszone wiatrem, błękały się tylko czasem przed okiem mojej duszy!...

Jedno tylko wspomnienie z owego dnia zatrzymałam żywo w pamięci. Pamiętałam o wymówionych do mnie słowach, że imię moje: Wiktorya Regina, jest nazwą królowej całej Flory, kwiatu nad kwiaty!...

I tak mijał dzień po dniu, miesiąc po miesiącu. Skończyła się zima, przekwitła wiosna, lato i jesień ubiegały, a po nich nastała znowu smutna, jednostajna zima!

Skończyłam lat 22, a proroctwo stryjenki sprawdziło się w sposób straszliwy. Ewunia już od roku była mężatką.

XI.

W dzień Nowego Roku odebrałam od Ewuni list z powinszowaniem. W dopisku pisała Ewunia: „Stasio już się listownie ułożył o Brzozówkę. Przed wiosną przyjedziemy. Widzę, że bez nas nie pójdziesz za mąż. Wyszukałam już dla ciebie opuzera. Młody, przystojny i bogaty. Opisałam mu wasze stosunki i godzi się z nimi. Przyjedzie z nami. Stasio już go nie wypuszcza z rąk.“

List ten Ewuni sprawił na mnie dziwne wrażenie. Z razu chciałam go podrzec i w ogień wrzucić. Krew uderzyła mi do głowy, i nic nie widziałam przed sobą. Po chwili rozwidniło się niebo przedemną, westchnęłam głęboko i łzy puściły mi się z oczu.

— Moj Boże!—zawołałam,—i takież smutna katastrofa ma trapić wszystkie moje rojenia? Nieznany mi człowiek, który mnie nigdy w życiu nie widział, ułożył sobie naprzód nabycie mnie na własność dlatego, że warunki tego nabytku odpowiadają jego obliczeniom! Czémże więc jestem?

Na to wszedł mój ojciec.

— Dostałaś list od Ewuni,—rzekł do mnie,—cóż tam pisze?



Pewna, że ten przypisek równą w nim grozę obudzi jak we mnie, podałam mu list, patrząc na niego z uwagą.

Ojciec przeczytał spokojnie. Powtórzył raz i drugi. Potém zwinął list zwolna.

— Mam ci także w zamian powiedzieć nowinę, — ozwał się po chwili: — pan Andrzej stara się na Ukrainie o księżniczkę\*\*\*...

Spojrzałam na ojca z zadziwieniem i lekkim wyrzutem. Na prędkę jednak nie mogłam słów znaleźć.

— Dlaczego mi ojczunio mówi o tém? — zapytałam wreszcie.

— A cóż cię to tak mocno zadziwia?

— Sądziłam, że ojczunio całej myśli swojej nie wypowiedział!

— Uchowaj Boże! Żadnej ubocznej myśli w tém nie miałem... Nie przypuszczam bowiem...

— I słusznie ojczunio nie przypuszcza, bo podobne przypuszczenie mogłoby mnie zranić...

Czułam, że oczy mi zachodzą łzami. Odbывała się we mnie jakaś podwójna walka. Upokorzona próżność kobięcia walczyła z wydobywającym się z serca wspomnieniem owych słodkich rojeń, które wiązały się do wieczornej rozmowy w owym dniu pamiętnym!... Tylko kobieta może zrozumieć i ocenić to uczucie!

— Ani myśli nie miałem sprawić ci przykrość. O panu Andrzeju mówiłem jako o obojętnym znajomym, który raz przypadkiem wszedł w dom nasz, i nigdy już do niego nie wrócił!

Uspokoiliłam się chwilę! Otwierając machinalnie list Ewuni, rzekłam do ojca, całując go w rękę:

— Niech mi ojczunio daruje, jestem listem Ewuni mocno rozdrażnioną!

— Cóż on tak strasznego w sobie mieści? Czytałem go może pobieżnie!

— Jakto? Ojczunio nie czytał przypisku?

— Czytałem.

— I cóż to wszystko ma znaczyć?

— To ma oznaczać, że Ewunia i Stasio są ci zyczliwi!

— Jakto?... Dobijając naprzód z kupcem targ o mnie?...

— Któż cię znowu kupuje, a kto sprzedaje?

— Czyż tu nie stoi, że się godzi na wszystko i przyjeżdża?

— Cóż w tém złego? Przyjedzie, pozna ciebie, ty jego... Podobacie się... dobrze, a nie... to drugie dobrze!

Ojciec mówił z takim spokojem, z taką dobroduszością patrzył na mnie, że mu w téj chwili nic bolesnego odpowiedzieć nie mogła.

Usiadłam w fotelu i twarz rękoma zakryłam.

Resztę dnia przepędziłam we łzach i smutku. Był to dzień Nowego Roku.



## XII.

**P**racą, samotność i zajęcia gospodarskie uspokoiły nieco pierwszy wybuch żalu. Do serca mego przybyło tylko kilka kropel goryczy. Wybaczyłam Ewuni, wybaczyłam światu, że jest takim a nie innym. O pana Andrzeja nigdy się nie wypytywałam, i nie wiedziałam co się z nim stało. Unikałam nawet rozmowy, z której mogłabym się czegoś o nim dowiedzieć. Im więcej czułam się osamotnioną, tém byłam szczęśliwszą.

O dopisku w liście Ewuni nie mogłam wprawdzie myśleć bez pewnego rozdrażnienia; przyzwyczajenie jednak do téj myśli o tyle mnie uspokoiło, że przy danej sposobności mogłam o tém z Ewunią mówić bez żadnych gwałtownych wstrząśnień.

Wreszcie w połowie marca przyjechała Ewunia z matką i mężem. Nie chciałam pierwsza nie jęj mówić o tym bolesnym dla mnie dopisku. Czekałam, aż sama zacznie. Dostyć było dla mnie, że zamówiony konkurent razem z nimi nie przyjechał.

Ewunia jednak milczała jakoś tajemniczo. Wiedziałam nawet, że unikała sposobności mówienia ze

mną o tym projekcie. W jęj całém postępowaniu przebijało jakieś zakłopotanie, którego dobrze ukryć nie mogła. Często schodziłam ją na jakiejś niezrozumiałej dla mnie rozmowie z mężem, którą natychmiast urywała. Widoczném jednak było, że ich rozmowa do mnie się ściągała. Pan Stanisław miał wtedy twarz również zakłopotaną jak student, który się lekcyi nie nauczył, a obawia się, aby go nauczyciel nie zapytał.

Czas tego wzajemnego milczenia poświęciłam bliższemu przypatrzeniu się szczęściu Ewuni.

Ewunia ledwie tydzień bawiła u nas w gościnie. Tymczasem pan Stanisław wziął Brzozówkę w posiadanie i naprędce uczynił ją mieszkalną. Jadąc do nas, już był po drodze zamówił różne meble i zaopatrzył się we wszystko, co do akcesoryów życia z komfortem należy.

Ewunia usłała sobie prędko miękkie i wygodne gniazdeczko. Materyałów dostarczył jęj hojnie kochany małżonek, częścią ze swego kapitaliku, a najwięcej z jęj własnego posagu.

I w tém puchowém gniazdku swojém była Ewunia naprawdę szczęśliwą. Patrząc na nią, potrzeba było naprawdę w to wierzyć. Podzieliła sobie czas systematycznie. Rankiem pieściła się trochę z drobnutką córeczką; potem ubierała się do obiadu i tak ją znowu ten rozdział życia zajmował, że w nim nie wiem czy o czém więcej myślała. Po kilkogodzinnej pracy potrzeba było zbierać owoce. Jeżeli byli goście, to musieli oddawać hołd i haracz dobremu gustowi Ewuni. Zdawało się, że żyła w téj chwili tylko na to, aby na obecnych sprawić jakieś wrażenie i odnieść maleńkie, choćby najniewinniejsze zdobycze. W bra-



ku zaś obcych przypadała z konieczności ta rola mężowi. Musiał admiirować, chwalić, a nawet wolno mu było podaną rączkę ucałować. Po południu wybierało się na wizyty lub przejażdżki. Jakoś trudno było Ewuni, w korzystniejszej nieco toalecie, zamknąć się w czterech ścianach swego dworku. Chciała szczęście swoje okazać całemu światu i również dowieść, że jest tego godna.

Pan Stanisław był zaiste małżonkiem przykładnym. Oddzielił ściśle granicę swojej władzy od władzy żony, zostawiając jej najzupełniejszą autonomię. Był tylko posłusznym i sumiennym dostarczycielem potrzebnych do tej autonomii materiałów; z biegłością specjalisty wybierał modne mydła i perfumy, zamawiał różne materje i suknie, i miał główny nadzór nad ekwipażami.

Była to dosyć udatna miniatura królewskiego małżeństwa, zajmującego tron Anglii.

Widoczne jednak były oznaki, że jedno bez drugiego wybornie mogłoby się obejść. Ewunia nie wymagała bynajmniej, aby mąż we wszystkich przyjemnych chwilach jej towarzyszył. W zamian za tę swobodę, nie żądał pan Stanisław od Ewuni, aby przy wszystkiém tém, co jemu sprawiało przyjemność, ona była obecną. Przejażdżki w sąsiedztwo na partyjkę z cygarem lub wycieczkę do miasta, odbywał sam jeden, i zwolniony był nawet z obowiązku zdawania z tego sprawy.

Widząc ich razem, wydawało mi się, że widzę jakąś spółkę, która odmiennemi drogami spekuluje na wielkiej giełdzie życia, tylko wspólny do tych spekulacyj ma kapitał. W pewnych odstępach czasu na-

stępował między nimi rozrachunek, i wtedy albo wypłacano sobie wzajemnie dywidendę, albo w razach, niepowodzeń niżano procent od włożonego kapitału.

Pewnego razu, kiedyśmy same były z Ewunią a ja cierpiałam na straszliwą migrenę, chciała mnie zapewne Ewunia pocieszyć jakąś lepszą nadzieją. Sądziła zapewne, że cierpienie moje było skutkiem zawiedzionych marzeń, które mógł spowodować ów nieszczęsny, czy raczej zawczesny dopisek do listu na Nowy Rok.

— Nie wiem co sądzisz o mnie,—rzekła z wyrazem życzliwości,—że kilka tygodni jestem z tobą, a nie o panu Cezaryuszu nie powiedziałam.

— O jakim panu Cezaryuszu?—zapytałam zdziwiona.

— Wszak ci pisałam, że ma przyjechać z nami, aby się starać o twoją rękę!

Czułam, że twarz moja nagle zapłonęła. Żał mi jednak było Ewuni; nie chciałam jej ubliżyć niewczesniem uniesieniem się. Udałam, że jej słów nie rozumiem.

— O żadnym panu Cezaryuszu nie mi nie pisałaś!—odparłam spokojnie.

— Jak to? Wszak dobrze przypominasz sobie!

— Napomknęłaś tylko, że ktoś ma ochotę mię zobaczyć.

— Tak, tak! Otoż ten ktoś jest pan Cezaryusz.

— Ale teraz dał pokój... zapewne jakiś faktor obiecał mu większy posąg!

Ewunia spojrzała na mnie z uwagą. Uśmiechnęła się litościwie i rzekła:

— Zdaje się, że tak się nie stało. Inne zaszkły okoliczności... ty nie znasz, moja droga, mężczyzn. Ja



nie winuję ich, ale winuję kobiety, które serca swoje rozrzucają na wszystkie strony. Zresztą nie ma się co im dziwić: każda z nich pragnie wziąć w posiadanie większe dostatki.

— Sądzę, że to prędkiej o mężczyznach powiedzić można!

— I tym nie ma się co dziwić! Dzisiejsze stosunki zarobku i zysku są tak pogmatwane...

— Jesteś nadzwyczaj dobrą i pocziwą, kochana Ewuniu; ale po dobrych sercach depeczą, i to wcale nie w niebie!

— Jak tam zresztą ta sprawa stoi, to już nie wiem i nie umiem ci opowiedzieć. Może Stasio lepiej to odemnie potrafi! Pisują do siebie prawie co tydzień, a Stasio, ręczę ci, jest w tym względzie bardzo zręczny!

Nie mogłam dłużej powstrzymać oburzenia. Rzekłam z gniewem do Ewuni:

— Dziękuję ci za wszystkie przysługi, ale z nich korzystać nie myślę. Różnimy się zupełnie na tym punkcie widzenia. Jeżeli jeszcze raz wrócisz do podobnej rozmowy, to przestaniemy się widywać!

— Cóż cię tak gniewa?—ze spokojnym uśmiechem zapytała Ewunia.

— Że mnie poprostu traktujesz jako rzecz do pozbycia, szukasz kupca. Namawiasz nieznanego mi człowieka, odbywasz z nim targ o mnie, i to jeszcze nazywasz szczęściem.

Ewunia drobną rączką podparła głowę, i kilka chwil wpatrywała się we mnie. Była w tej pozycji piękniejszą niżeli kiedykolwiek. Na jej młodej twarzy, pełną powabu, nasunęła się lekka, przejrzysta chmur-

ka smutku. Wesołe jej oczęta spojrzały melancholijnie. Na białym czole osiadł cień bolesnego zadumania. Otworzyła powabne usteczka i rzekła:

— Tak jest Ewuniu, takie jest szczęście nasze. Innego świat dać nie może. Wierżaj mi, miałam ja więcej doświadczenia, niżeli ty marzeń i ideałów! Szczęściem dla mnie, że się umiała pogodzić z życiem i tem, co nam dać może.

Słowa te Ewuni i głos, jakim je wymawiała, pogodziły mnie z nią w tej chwili. Nie mogłam się wprowadzić z nią zgodzić, ale nie mogłam się na nią gniewać. Twarz jej i dziwna wibracja głosu, jaką w jej słowach czułam, były dostateczną oznaką, że i ona nie jest tak szczęśliwą, jak się napozór wydaje, że czuje, w życiu próżnię, którą różnemi drobnostkami zapełnić usiłuje!... Podałam jej rękę i rzekłam:

— Nie gniewam się na ciebie, ale nie miej mi za złe, że mi żal tego, czém żyłam lat kilkanaście! Pozbyć się bowiem tego, czém nas Bóg wyposażył, jest to samo, co płacić dwa razy więcej za Brzozówkę, chcąc ją napowrót odebrać!...

— Prawdę mówisz, ale cóż nam z tego?... Gniewasz się, że ktoś szorstkiem słowem ściiera barwę z twoich ideałów. A gdzież dzisiaj znajdziesz u innych ubarwione ideały? Świat pościierał wszędzie te barwy wiosenne, a często nawet ścierymy je same, aby się do innych zastosować!... Czyż to dzisiaj inaczej się dzieje? Dlaczegoż nie nazwać rzeczy po nazwisku, jeśli rzecz sama jest już między nami?

— Wierzę ci, wierzę, ale nie miej mi za złe żalu i przywiązania do moich marzeń!

— Dziwisz się, że ktoś pyta o twój posag, nim



ciebie poznał. Alboż to dziś w świecie inaczej się dzieje! Dlaczegoż mamy same siebie ludzi? Czy sądzisz, że dzisiejszy mężczyzna jest podobny do błędnego rycerza średnich wieków, który przyodziawszy zbroję wyszedł z domu z pragnieniem wielkich czynów, aby mu serce królowny zjednały? Może być, że dawniej było inaczej. Temu nie przeczę. Ale dzisiaj takich rycerzy nie znajdziesz. Panna młoda w białej powiewnej szacie, z przezroczystym welonem uczepionym u wiązka... to tylko cyfra! Pan młody już dojrzałym przemyślał cały interes, obliczył co daje, a co bierze. Wtedy jakby na odgłos dzwonka za kurtyną, rozpoczyna się romans. Kochają się, rozmawiają, patrzą na siebie i wzdychają. To ostatnie wychodzi nawet teraz z mody.

— Jakżeś okrutna Ewuniu!..

— Później to obowiązkowe nadszkanie ustami coraz więcej; następuje wygodny, małymi nieporozumieniami urozmaicony tryb życia. Mężczyzna składa ostatecznie przybraną maskę konkurenta, i jako pan życia twego daje ci do poznania, że się więcej posagu spodziewał... Kto ma męża jak ja, i przez niego ze światem męskim zostaje w związku, temu nie obce są marzenia i ideały dzisiejszych mężczyzn! Lepiej jest rzucić się z otwartymi oczyma w rów błotnisty, niżeli zamknawszy je marzyć o aniołach, które nas po eterach obnosić mają. W pierwszym razie przynajmniej widzę, że padam i mogę upaść wygodnie; w drugim mogę sobie nos rozbić a nawet i kark skrzywić!..

Ewunia zapalała coraz bardziej. Widziałam nawet w niej jakąś niezwykłą energią. Dobierając słów dosadnych, gestykułowała gwałtownie ręką, jak

bohaterka tragiczna. Zdaje mi się, że w tej chwili zajrzałam nieco poza kulisy, które tworzyły dekorację jej szczęścia!..

— Nieszczęsna! — zawołałam, — czy wiesz co ty robisz?... Chcąc mnie pogodzić ze światem, malujesz go w tak czarnych kolorach, żebyś go nigdy zbliżka widzieć nie chciała! Jeżeli świat jest taki w istocie, to wolę zasnuć się jak jedwabnik w kłębach własnych marzeń, a świat rzeczywisty na zawsze zamknąć przed sobą!

Upadłam na fotel w jakichś dziwnych, kurczowych drganiach. Czułam ból w sercu, który powoli rozszérzał się na całe ciało. Oddech mój był gorący i palił mi piersi jak roztopiona lawa.

Ewunia przybiegła do mnie ze szklanką wody. Biorąc mnie za rękę, rzekła:

— Nie dlatego maluję ci świat tak ciasno, aby cię od niego na zawsze odstraszyć. Przeciwnie, pragnę, abyś ujrawszy czarne czarném, umiała odróżnić i ocenić to, co jest szarém lub popielatém. O białych postaciach nie rój sobie, bo ich nawet i w książkach dzisiaj nie znajdziesz!.. Taki nasz los na ziemi! Może na innej planecie, tam, na wysokim stopie niebios, inaczej będzie!..

Zdaje mi się, że postrzegłam pod jedwabną powieką Ewuni błyszczącą!..



### XIII.

**W**e dwa tygodnie po téj rozmowie z Ewunią, na kilka godzin przed wieczorem, zajęła na dziedzińcu dorożka Stanisława. Ubranie koni i stangreta było staranniejsze, chociaż w dorożce nikt nie siedział. Zdziwiło mię to, i wyszłam na ganek, aby się zapytać, co to znaczy? Odpowiedziano mi, że państwo wysiedli na drodze pod lasem, aby ścieżką przejść przez ogród do dworu.

Nie pytając się dalej, wzięłam na głowę duży kapelusz ryżowy, bo słońce jasno i gorąco świeciło. Weszłam do ogrodu, aby spotkać Ewunię. Układałam już sobie naprzd w głowie, aby Ewuni téj niezwyklej romantyczności powinszować. I Stanisławowi miałam także wiele nagadać, i w jego małżeńskim pożyciu zaznaczyć erę romantyczną.

Układając sobie to wszystko w głowie i uśmiechając się do siebie, szłam powoli ocienioną aleą. Od czasu do czasu patrzyłam przed siebie, czy pstrój sukni Ewuni zdala nie zobaczę. Nic jednak nie widzia-

łam. Ciemna alea dochodziła jeszcze do samego lasu. Na brzegu jego stały się gęste zarośla, ścieżka wila się w różne gzygzaki: zaledwie na kilkanaście kroków można było widzieć przed sobą.

Kiedy okrażałam gęsty krzak leszczyny, usłyszałam jakieś głosy. Po chwili wyraźnie poznałam głos Stanisława.

— Zmartwiłeś moją żonę tak długą zwłoką; wiesz, że kobiety są niecierpliwe i lubią raźnie działać.

— Myślałam, żeś pan ugrzązł w złotej siatce! — dorzuciła Ewunia.

— Odgadłaś pani niebezpieczeństwo — ozwał się głos nieznajomy, — a było tém większe, że siatka rzeczywiście była złotą! Jakiż to żal targać złote nici!

— A przecież pierwszy lepszy złotnik — odparł śmiejąc się Stanisław — byłby ci powiedział, że to tylko szych ubarwiony!

— Masz słusność, złotnik nie powiedziałby inaczej! — wtrącił ten sam głos nieznajomy.

— W tém widzę jakiś wyrzut? — rzekła Ewunia.

— A ja zmianę niepospolitą! — dorzucił Stanisław.

— I słusznie — podjęła żywo Ewunia — bo pan wstępujesz w atmosferę Reginy!

W téj chwili ukazali się podróżni na zgięciu ścieżki.

Nie starczyło mi już czasu do namysłu; zresztą nie było się co namyslać. Wrócić nie mogłam, bo mnie ujrzano; potrzeba więc było śmiałym atakiem wybrnąć z kłopotów tego położenia; ale urzędzono mnie.



— Otoż to mi się podoba!—zawołał Stanisław— spotkać się w pół drogi... to mi się podoba!

— Ach! mocno, bardzo mocno z tego się cieszył—krzyknęła Ewunia i rzuciła mi się na szyję.

Ryżowy mój kapelusz upadł na ziemię. Włosy rozwiały się na wszystkie strony; nie wiem jak wyglądać mogłam: czułam tylko, że twarz moja stawała się coraz gorętszą...

Chciałam poprawiać włosy i obejrzałam się za kapeluszem, Ewunia chwyciła mnie za ręce i zawołała:

— Nie nie poprawiaj, bo wyglądasz cudownie! Niech cię tak naszemu gościowi przedstawię: Pan Cezaryusz...

Konfuzyja moja była zupełną. Nie wiem, com odpowiedziała i jak się ukloniłam; wkrótce jednak przyszłam do siebie, i postanowiłam z tego zamieszania uratować co było jeszcze do uratowania.

— Jesteście nielitościwi — rzekłam zwrócona do Ewuni i Stanisława — jak można kogo tak przestraszać? Na dziedziniec wjeżdża dorożka, konie spienione, w dorożce nikogo, woźnica małowówny i niby załobowany; cóż się stało? Czy jaki wypadek? Czy zaśląbla nagle Ewunia, czy kuzynek rękę złamał?... Biegnę co temu...

— Widzisz, moja droga — odparła Ewunia, — przypadek wzbogacił twoje jednostajne marzenia rozdziałem czysto powieściowym, jakiegoby nie jeden pisarz pozazdrościł!...

— A ja cieszę się—ozwał się pan Cezaryusz— że ten rozdział spadł z nieba... czyli raczej, że niebo wzięło tu udział w sprawach ludzkich!

Spojrzałam w téj chwili na mówiącego. Dotąd

przyznam się, nie miałam odwagi na niego popatrzeć. Przygotowałam się na ten wypadek do innej roli, lecz rola moja przez zbieg okoliczności inaczej wypadła. Nie byłam względem niego w położeniu korzystnym. Przewaga była widocznie, chociażby tylko pozornie, po jego stronie.

Zmierzyłam przeciwnika wzrokiem, aby wiedzieć z kim mam do walczenia. Przybył z zamiarem zdobycia mnie, potrzeba więc było wiedzieć, jak ten rycerz wygląda.

Przyznam się, że wyobrażałam go sobie inaczej, i to daleko gorzej. Stosownie do zapowiedzianej jego roli, wyobrażałam go sobie podobnym do owych powszednich typów naszej młodzieży, która między pannami zjawia się w zamiarze porwania jednej z Sabinek. Rozśmieszały mnie te codzień powtarzające się typy: frak modny, rękawiczka świeżo zapięta, koszula batystowa w różne zygzaki, głowa starannie u fryzowana—to było wszystko. Na twarzy przebijała się rozpaczliwa chęć okazania się trochę wykształconym, a przynajmniej biegłym w tém, czego do codziennej rozmowy potrzeba. Mówię rozpaczliwa, bo taki stawał wszystko co miał na jedną kartę. Był podobny do wodza, który wszystkie siły do ataku bierze, nie zostawiając żadnej rezerwy. Od pierwszych więc strzałów zależy wygrana lub przegrana: gdy się od razu nie uda, nie ma już żadnych zasobów, aby walkę, przedłużyć, lub ją inną taktyką dalej prowadzić. Nie mając żadnych wewnętrznych zasobów, zbiera dzisiejszy konkurent wszystko co ma i ustawia w pierwszym szeregu. Gdy się pierwszy atak nie poszczęści, ucieka, zbiera rozbitki i uderza w inną stronę. Ztąd też ta



gorączkowość na jego twarzy, ta rozpaczliwa żądza zwyciężenia tém, co mógł nazbierać i na jeden raz skoncentrować. Chce przeto okazać co umie i czego nie umie. Próbuje się w dowcipie, trąca nawet czasem o jakąś kwestję społeczną, ale prędko ucieka od niej, jak motyl od kwiatka. Najpospolicięj wybiera sobie pole do popisu w czasie karnawału, i mimo dobrej tuszy i podłyśiałej nieco głowy, tańczy szalenie aż do upadłego.

Na takie i tym podobne typy dzisiejszych konkurentów napatrzyłam się wiele. Widziałam nawet i takich, którzy daleko szczerzej a tém samém i daleko szczęśliwiej sobie postępowali. Napisali z góry na swoim czole: „Jestem głupi, nie mam ani nauki ani żadnych innych wyższych przymiotów serca; próżniacę całe życie i umrę próżniakiem; ale za to mam pieniądze...” Szczerość taką lubią czasem kobiety, i nagradzają ją sercem i ręką...

Podobnie wyobrażałam sobie pana Cezaryusza: przyznam się, że się pomyliła i to na jego korzyść.

Był to mężczyzna dosyć przystojny, mający lat około trzydziestu. Włosy miał jasne i dosyć naturalnie uczesane; twarz była właściwego blondynom koloru; rysy kształtne, więcej miękkie; wyraz oczu obiecywał więcej poezji niżeli pospolitej prozy. Z zachowania się widać było, że żył w szerszym świecie, a ujmująca grzeczność jego okazywała, że w towarzystwie kobiet więcej czasu przepędził; towarzystwo bowiem kobiet więcej czasu spędził; towarzystwo bowiem kobiet wyciska na mężczyznach pewne znamię, po którym łatwo to poznać.

Pod podróżną, jasnego koloru okrywką widać by-

ło czarny tużurek; na głowie miał jasno brunatny niski kapelusz.

— Mówisz pan o przypadku—zagadnęła Ewunia,—uprzedzam pana, że moja kuzynka w żadne wypadki nie wierzy. Powiada, że przypadków niema w życiu. Dobry przypadek jest u niej nagrodą jakiegoś poprzedniej zasługi, a zły przypadek karą za popełnione zło...

— Jakże pani sądzi? — ozwał się pan Cezaryusz—czy ten przypadek ma być dobrym czy złym?

— Zależy od tego — odpowiedziałam z uśmiechem — czy pan masz w życiu dobre uczynki czy złe. Za dobre jest nagroda, a za złe—kara! Przypadek więc dzisiejszy może być albo nagrodą, albo karą!

Pan Cezaryusz nie odpowiedział na to zaraz. Widziałam wyraźnie, że podczas tej krótkiej pauzy Stanisław i Ewunia z pewnym znaczeniem na siebie spojrzeli, spojrzenie to jednak mogło mieć powód niewinny.

Tymczasem zawitał grzeczny uśmiech na usta pana Cezaryusza. Pokłonił mi się głową i odparł:

— W każdym razie pozostanie mi w miłej pamięci ten przypadek. Jeżeli przyniesie nagrodę, to wezmę ją z otwartymi rękoma; jeżeli zaś karę, to razem z nią idzie nadzieja, że po karze następuje przebaczenie, i są widoki nagrody.

W tej chwili potknęła się Ewunia na gałęzi, leżącej na drodze: Stanisław podał jej rękę, to samo uczynił mi pan Cezaryusz. Rozmowę naumyślnie skierowałam na przedmioty najobojętniejsze.



#### XIV.

Nie mogę tego ani opisać, ani streścić, co teraz w życiu mojem nastąpiło. Zająłoby to całą bibliotekę. Życie nawet nie wystarczyłoby na spisanie tych wszystkich lotnych myśli i marzeń, które przebiegają duszę kobiety, gdy się kto o jej rękę a czasem i o serce stara. Pan Cezaryusz wystąpił otwarcie w tym charakterze.

Zrazu z ironią i goryczą lekceważonej kobiety odpierałam wszelkie pociski, byłam nawet otwartą i szczerą; mówiłam nieraz panu Cezaryuszowi, co myślę o dzisiejszych konkurentach, przybierających rolę zakochanych; nie szczędziłam czarnych barw i dosadnie się wyrażałam. Dałam mu nawet wyraźnie poznać, że i jego do tego autoramentu zaliczam: słowem robiłam wszystko, co tylko dobrze wychowana kobieta zrobić może, aby konkurenta od siebie odpędzić. Pan Cezaryusz był do nie zwalczania: jak drugi Cezar stał ciągle nad Rubikonem i przemyślał, jakby go przejść, chociażby nawet z wielkiem trudem.

Wytrwałość ta, przyznam się, imponowała mi nieco; było to jednak tylko podrażnienie próżności ko-

biécój. Serce milczało... A przecież są tak nędzni kochankowie, że taką wytrwałością znudzą ostatecznie i zwalczą wreszcie serce okrutnicy! Nie zazdroszczę ani jednemu, ani drugiemu!

Oprócz żelaznej wytrwałości pana Cezaryusza, miałam i ze światem do walczenia. Stryjenka prawiła nieustannie:

— Co ty robisz! Przyjdź raz do rozumu. Dwa-dzieścia trzy lat dla panny, to nie żarty! Cały świat zazdrości ci pana Cezaryusza. Bogaty, przystojny, rozsądny, wszędzie się kobietom podoba. Czegoż chcesz więcej? Powinnaś Bogu dziękować za szczęście, które ci zysła! Hrabianka\*\*\* zzieleniała ze złości, gdy się dowiedziała, że tak dobrą partją bierzesz! Pan Cezaryusz mógłby przebierać w najwyższej aristokracji!... I cóż twemu szczęściu stoi na przeszkodzie? Oto skrzywiona wyobraźnia, roznerwowane serce, spaczona edukacja bez matki! Narobiłaś sobie w samotności mnóstwo cacek świecących, i chcesz, aby te cacka ożyły!... Nie przetężaj struny—mówię ci—póki pan Cezaryusz się nie znudził...

Daleko straszniejszą była dla mnie Ewunia: ta do argumentów mieszała łzy.

— Jesteś samotnicą na tym szerokim świecie! Nie chcesz zejść do ludzi z mglistych wyżyn swoich. Wprawdzie nie jest tu na ziemi tak jasno i ciepło, jak sobie w marzeniach każda kobieta wyobraża; ale cóż robić? Nasza istota zawsze dwoistą się wydaje: połowa została na ziemi, a druga połowa gdzieś w niebie. Zachodzi nas ztamtąd woń szczęścia, jakiej na ziemi niema! Stoimy jedną nogą na różowych obłokach, a drugą brniemy w mętnych kałużach!... Wierzaj Re-



gino, gdyby przed kilku laty, gdy miałam jeszcze sny i marzenia, był mi kto powiedział, co znajdę w rzeczywistości, byłabym nigdy może po nią nie sięgła. Dziś jednak widzę, że i ta okruszyna szczęścia nie jest do pogardzenia, i wybierając między dwojgiem złego, wybrałabym to mniejsze! Ty nie wiesz, Regino, jak ja łyżę połykam, gdy mi ludzie zazdroszczą!... Całkowitego szczęścia niema nigdzie dla kobiety — trzeba brać co można! Lepsze spokojne, choćby nawet jak grób martwe życie, niżeli osamotnienie i wieczna do ideałów tęsknota!...

Najrozsądniej zapatrywał się na to ojciec. Po kilku tygodniach rozpoczętego konkurowania pana Cezaryusza, przyszedł pewnego razu z listami do mego pokoju, i rzekł między innemi:

— Pan Cezaryusz widocznie konkuruje o twoją rękę. Nie krępuję wprawdzie niczém twego wyboru, ale jako ojciec troskliwy, zasięgnąłem wiadomości o nim. Mniejsza o to jaki ma majątek, bo dzięki Bogu nie zostawię cię biedną. Chciałem jednakże wiedzieć coś o jego przeszłości, z której po ślubie zazwyczaj wyrastają długi. Piszą mi, że tego nie trzeba się obawiać. Majątek ładny, a nawet przewyższa nasz o wiele... Więc od ciebie, od twego serca zawisło; ja ci tylko to oświadczam, że na to bym się zgodził.

Najwięcej drażniły mię wykrzyki sąsiadek. Wołały na wyścigi:

— Szczęśliwsza niż na to zasłużyła! Nie jest znowu tak bardzo piękną, aby za nią przepadać, a głupi pan Cezaryusz przepada! Co też za talizman posiada! Sto innych, piękniejszych i bogatszych, poszłoby za mąż za tego człowieka z pocałowaniem rąk!...

— Nie wiecie! — pawiła stara pani Marcynowa, — musiała mu coś w rosole zadać! Tam przecież mieszka stara Pafnucycha!... Baby to umieją! Inaczej nie byłby tak zgłupiał! Bo cóż tam jest z pierza czy z mięsa?

— Już tam Pafnucycha jak Pafnucycha! — mówiła druga pobożna matrona — dzisiaj nie trzeba czarownic, ani ziół tajemnych. Dziś same panny umieją być czarownicami. Każda wie co ma i czego na złapanie mężczyzny użyć może. A jak się ptaszek złapie, to już przepadło. Dostanie wody i cukru, ale drzwiczki zamknięte!

— Reniu! Podaj mi koniec paluszków! Tyś tak szczęśliwa! Niech się dotknę ciebie, a może i dla nas choć setna część twego szczęścia zabłyśnie! — szczebiotała pocziwa Justynia.

— Naucz mnie tajemnicy szczęścia! — szeptała smutna Helenka — bo nie wierzę, aby szczęście samo do ludzi przychodziło! Naucz nas dróg, jakimi idzie się do téj upragnionej świątyni!

— Pójdź, Reginko, niech cię wycaluję! Jesteś godna zazdrości, — mówiła Mańka, zawołana gosposia.

— Pytają mię dumnie koleżanki z nad Wisły, co się stało, że pan Cezaryusz, taki wybredny i trudny epuzer, nagle w górach naszych ugrzązł, — raportowała Frania i westchnęła do mego szczęścia.

Słowem, przewracało mi się w głowie; blizką byłam pomieszczenia zmysłów. Myślałam sobie:

— Czy świat cały jest taki głupi, czy ja tylko taką jestem? Czy w powszechnej harmonii życia stanowią tak przerażający dyssonans? Czy rzeczywiście brak matki wykrzywił cały mój pogląd na świat i ży-



cie? Czyż istotnie moje serce nie było nastrojone do strun świata? Miałabym być na całym obszarze naszego zakątka jedynym i tak smutnym wyjątkiem?

Zaprawdę, rozpacz mię ogarniała, gdym to wszystko rozbierała w głowie.

Zarzucana ze wszystkich stron powinszowaniami i zazdrością, nie wiedziałam co mam sama o sobie myśleć. W długich, bezsennych nocach rachowałam się z sobą i światem. Najsłabsze moje wymagania postawiłam obok pana Cezaryusza i porównywałam go z niemi. Upatrywałam w nim jak najlepsze przymioty, stawiałam go w świetle najkorzystniejszém.

Przyłożył on rękę do mego serca — serce nie drżało!

Nie umiałam sama siebie zrozumieć. Pan Cezaryusz odpowiadał ideałom wszystkich moich rówieśników. Mieścił w sobie wszystkie przymioty, potrzebne do podobania się każdej kobiecie, a dla mnie mu jeszcze brakowało czegoś, czego nazwać nie umiałam!

Serce moje przy nim nie doznawało wzruszeń, które były potrzebą mego życia.

Zdarza się często, że malarz wykona wizerunek znajomej nam osoby, a przecie nie poznamy jęj. Wpatrujemy się w obraz, aby wynaléć, czego mu do zupełnego podobieństwa braknie? Przechodzimy kolejną wszystkie rysy. Wszystko z osobna jest doskonałe: głowa, czoło, nos, oczy, usta uderzają nadzwyczajném podobieństwem, a przecie raz wzięte nie wyobrażają nam osoby znanęj!... Pan Cezaryusz nie był podobny do owego znajomego, który mieszkał w głębi duszy mojęj! Czegoś mu brakło, czego zrozumieć nie mogłam....

Sercu memu nie chciałam zadawać gwałtu... Po trzy miesięcznym pobycie u Stanisława, oświadczył mi się pan Cezaryusz. Bolało mię to, prawie na płacz mi się zbierało, ale — odmówiłam.

Pan Cezaryusz skłonił się smutno i odjechał. Za miesiąc przyjechał znowu i powtórzył oświadczenie. Odpowiedziałam mu w tych samych słowach.

Jeszcze raz próbował szczęścia... ale próbował nadaremno. Powiedział mi tym razem, że raz powziętym uczuciom musi pozostać wiernym, bo one wyrosły nad jego wolę... Zasmuciło mnie to, ale postanowienia nie zmieniłam.

W kilka tygodni potém, kiedy rozżalona na świat i siebie o swoim kapryśném sercu rozmyślałam, przyjechała do nas daleka krewna mojęj matki, która od wód wracała. Była to osoba poważna wiekiem, rozumem i wykształceniem. Postanowiłam zwierzyć się jęj ze wszystkiém i żądać od nięj rady.

Sędziwa matrona wysłuchiwała mnie z uwagą, a potém rzekła:

— Do twego szczęścia brakuje wiele. Abyś to uzupełnić mogła, potrzeba ci być — narzeczoną!... Niech cię to bynajmniej nie zadziwia! Nie każda kobiéta wie, jaką ma władzę, gdy jest narzeczoną! Są to najpiękniejsze dni jęj panowania — w nich może dokazać cudów! Z pospolitego mężczyzny może zrobić bohatera i serce jego natchnąć takiém uczuciem, jakiego w przyszłości do jęj szczęścia potrzeba!... Niewierny i obojętny człowiek wchodzi nieraz ze zwyczaju w progi świątyni. Wzniosły jednak hymn ludu, pobożne modły wiernych i ta cudami wiary napelniona atmosfera świątyni, działa zwolna na niego i duszę jego napawa



uczuciem, dotąd mu zupełnie obcém... Korzy głowę, modli się i dziwi, że dotąd nie znał rozkoszy wiary i modlitwy!... Taką świątynią powinna być dusza kobiety, gdy jest *narzeczoną*. Wtedy dokaże wszystkiego: obojętnego i niewiernego zmusi do wiary i modlitwy!... Ale ileż to kobiet marnuje ten czas drogi i niepowrotny, czas bezwzględnego panowania nad sercem mężczyzny, na błahe zabawki i rozrywki!...

Słuchałam z uwagą tych dziwnych słów poważnej matrony. Był dla mnie zupełną nowością.

Myslałam nad niemi dzień cały. W bezsennej nocy snuły mi się po głowie dziwne myśli.

I powracały zawsze do mnie, gdy miałam wolną chwilę czasu. Zaczęłam snuć z nich jakiś dziwny, nowy obrazek. Snułam go coraz dalej, a serce moje niepokoiło się, gdy usłyszałam wózek toczący się drogą poza bramą...

Wreszcie zatoczyła się przed ganek dorożka Ewuni. W dorożce siedział także i pan Cezaryusz.

Zaraz na wstępie do mego buduarzyku rzekła do mnie Ewunia:

— Masz wóz i przewóz. Jeśliś przyszła do rozsądku, to korzystaj z ostatniej chwili. Pan Cezaryusz wyjeżdża na dłuższy czas za granicę, aby serce swoje uzdrowić. Rób co chcesz, bo moje słowa i tak będą daremne. To ci tylko powiem, że w całej okolicy nikt nie rozumie twego postępowania.

We dwie godziny potem siedziałam w ogrodzie pod lipą. Słońce jesienne świeciło pogodnie i ciepło. U stóp moich barwiły się astry i inne kwiaty jesienne. Pan Cezaryusz siedział przy mnie i trzymał mię za rękę. Mówiłam do niego:

— Stałość uczuć zwalcza mnie ostatecznie. Jestem pańską narzeczoną, ale nie będziesz pan tak okrutny i nie zechcesz mi skracać tych chwil, najdroższych dla każdej kobiety! Jest to jedyny epizod naszego despotycznego panowania, a może to panowanie przyda się na co w przyszłość!...



XV.

**B**ylaam więc narzeczoną. Owładnął mną jakiś dziwny zamęt głowy i serca. Wszystko, com sobie dotąd systematycznie w głowie układała, pomieszało się w jakiś kłębek nierozwikłany! Niektóre wyobrażenia moje blakły i nikły, jedno marzenie po drugim ulatywało gdzieś odemnie w jakieś dziwne tajemnicze przestrzenie!...

Zmysły moje inaczej świat pojmowały. Słońce świeciło inaczej, zieloność traw i liści była inna, ptactwo inaczej śpiewało. Inaczej wschodził księżyc, gwiazdy mrugały odmiennym blaskiem i innych kształtów chmury wysuwały się na niebo.

A kiedy sen dobrotliwy zamknął powieki, zupełnie inne sny tworzyła dusza moja, o jakich pierwój nie miałam wyobrażenia!

Do tego zamęcenia całej mojej istoty przyczyniły się też moje sąsiadki. Całym rojem najeżdżały mnie, winszując i zazdroszcząc. Krzyk i hałas otaczał mnie ciągle. Ojciec płakał z radości, Ewunia całowała mnie co chwila i szczebiotała o wyprawie. Cezaryusz przeżył nad projektami do zabaw i wycieczek. Sam wszystko urządzał i wszystkie drogi moje zasypywał kwiatami...

Tak minęło dni kilka. Nie mogłam przyjść do równowagi ducha. Zaczęłam już nawet powątpiewać o owych pięknych chwilach bezwzględного panowania; o których mi sędziwa matrona tyle pięknych rzeczy mówiła... Tego bowiem, co dotąd czułam, nie mogłam jeszcze szczęściem nazwać. Atmosfera szczęścia jest czysta i spokojna, a w duszy mojej był dotąd chaos, który się jeszcze nie wykłarował!

Czwartego dnia zawitała prześliczna pogoda. Powietrze było wonne, bo lekki wietrzyk wiał od gór, przynosząc ostatnie balsamiczne tchnienie ziół górskich. Na niebie nie szybowała żadna chmurka.

Przed obiadem zaproponował Cezaryusz przejażdżkę do kopców granicznych. Była to zwykła nasza wycieczka. Droga prowadziła ponad brzegiem potoku. Po drugiej stronie piętrzyła się góra, najeżona dzikimi załomami.

Wybrałyśmy z Ewunią tę drogę. Sam Cezaryusz powoził.

Wyjechałyśmy bez żadnego niedobrego przeczucia. Ewunia śmiała się z niegrabnych skoków starego Mucka, który jakoś uwolnił się z obroży i wyprawał z radości przed nami pocieszną komedią. Spinal się do dorożki i obiegał ją w koło. Wydobywał najrozmaitsze głosy, aby nam okazać radość ze swojej wolności.

Minęliśmy bramę. Konie niepokoiły się trochę, ale do tego byłyśmy z Ewunią przyzwyczajone.

Droga kręciła się coraz bardziej ponad brzegiem potoku. Ewunia szczebiotała ciągle do mnie. Przyznam się, że jakoś mniej słuchałam jej tym razem niżeli kiedykolwiek. Przed oczyma moimi migły ja-



kies dziwne obrazki! Wyobrażenia moja zasnęła się coraz więcej.

— Nie wiem — rzekłam do Ewuni, — ale czegoś się obawiam!...

— Panie Cezaryuszu! — zawołała Ewunia — niech pan jedzie ostrożnie, bo Renia się obawia!

Cezaryusz, jakby na przekorę, trzasnął biczem, a jeden z koni wspiął się do góry. Udobruchał się jednak i dorożka wolniej nieco pomknęła dalej.

Byliśmy na skrócie drogi. Na kilkaset kroków przed nami bieleła się karczma. Przed karczmą stał prosty wózek, zasłany kilimkiem. Biędne konięta przygryzały coś w opałce.

Na podcieniu karczmy siedziała czarno ubrana kobieta. Postać jej okazywała istotę chorą lub zmęczoną. Od małego czarnego kapelusika spływał na jej twarz czarny welon i nie pozwalał dobrze widzieć jej rysów. Z pod czarnej sukni wychylał się mały, zgrabny bucik, świadczący o nóżce nadzwyczaj drobnych rozmiarów.

Była oparta głową o ścianę. Zdawało się, że zamysłona nic wcale przed sobą nie widzi.

Dziwną wydała mi się zrazu ta czarna postać na drodze naszej. Przyszło mi jednak do głowy, że to musi być jakaś spóźniona chora, która od wód powraca.

Kiedy turkot dorożki dochodził do karczmy, zwróciła czarna kobieta głowę ku nam. Przyłożyła rękę do czoła i długi czas patrzyła w naszą stronę.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz bardziej do karczmy.

Nagle, gdyśmy już prawie byli przed karczmą,

podniosła czarna kobieta obie ręce do góry, krzyknęła przeraźliwie i bezwładnie upadła na ławkę...

Konie stanęły na chwilę dęba, a potem ruszyły całym pędem.

Krzyk kobiety brzmiał mi okropnie w uszach. Nie umiałam sobie tego wytłumaczyć. Zawołałam na Cezaryusza, aby stanął. Nieznajoma kobieta zapewne zemdliała, trzeba więc było ją ratować.

Cezaryusz jednak nie mógł wstrzymać koni. Rozbiegały się i pędziły na oślep. Zamknęłam oczy, aby nie patrzeć na niebezpieczeństwo. Przedemną stała jednak czarna kobieta — krzyk jej brzmiał w moich uszach...

Dopiero za pół godziny, odjechawszy kawał polnej drogi, mógł Cezaryusz wstrzymać rozbiegane konie. Był okropnie zmęczony i ocierał pot z czoła.

— Cóż się to stało, panie Cezaryuszu? — zapytałam.

— Nic, dzięki Bogu, kiedyśmy cali — odparł Cezaryusz trzymając spienione i bokami robiące konie. — Jakaś podróżna przestraszyła się koni, a konie jej się przelekły!

— Może pośpieszyć z ratunkiem? — ozwała się Ewunia.

— Nie możemy bardzo śpieszyć — odparł Cezaryusz — konie całe pianą okryte, trzeba jechać stępa.

Jechaliśmy więc napowrót stępa. Niecierpliwie patrzyłam przed siebie, kiedy nam się karczma ukazał. Zdawało mi się, że ta czarna kobieta potrzebuje naszej pomocy.

Wreszcie ukazała się karczma. Nim jeszcze Ce-



zaryusz konie zatrzymał, wyskoczyła Ewunia i pobiegła do karczmy. Za chwilę wróciła i rzekła:

— Rzeczywiście była to chora, od wód wracająca. Przed pół godziną wyjechała dalej.

Żwawiej pomknęła doróżka do dworu.

Przy obiedzie jakoś nam wszystkim było smutno. Ewunia chciała nas rozśmieszyć, ale nie dokazała tego. Cezaryusz także mało mówił i często wpadał w zamyślenie.

Po obiedzie poszłam do biblioteczki, do moich przyjaciół i opiekunów. I tam stała przedemną ta czarna postać...

## XI.

W dniach następnych zacierało się z wolna to czarne widmo na drodze mego szczęścia. Ewunia, Stanisław i Cezaryusz byli niewyczerpani w projektach zabaw i rozrywek. Nie dano mi przyjść do wolnego oddechu. Chwytałam pełną piersią powietrze, a jednak brak mi go było w piersiach. Byłam podobna do człowieka, którego po raz pierwszy wprowadzono do pysznej galeryi obrazów; nie pozwolono mu jednak ani na chwilę stanąć przed jednym obrazem, tylko popychano coraz dalej, od jednego arcydzieła do drugiego. Czuł, że mu na widok sztuki serce mocniej bije, dziwny dreszcz przebiegał jego nerwy, ale nie stało czasu, aby ten dreszcz rozkoszny spotęgował się do świadomego siebie uczucia, i wciąlił się w duszę, gdzieby cząstką życia pozostał na zawsze!

Inaczej zdawało się Ewuni. Według jej mniemania ten szal bezwiedny, to odurzenie duszy potrzebne było do gruntownej i uroczystej instalacji miłości. W taki a nie inny sposób, miał bożek miłości, ów nowy lokator, wprowadzić się do mego serca i tam urządzić się wygodnie i stale.



A kiedy sądziła, że instalacya tego nowego gościa w przygotowanym dla niego przybytku już się odbyła ze wszelkimi formalnościami, cofnęła się do Brzozówki, zostawiając narzeczonych samym sobie.

Wdzięczną jej byłam za tę teorią życia i miłości; nie dla tego, abym się na nią godziła, ale po prostu pragnęłam chwili wytchnienia. Chciałam być sama sobą, chciałam z tego wyjątkowego oszołomienia uratować dawną moją istotę, i z nią obrachować się o nowe warunki życia; wiedziałam bowiem, że to wszystko, co w tych wyjątkowych chwilach przeżyłam, nie było życiem normalnem, ale snem rozkosznym. Prędzej czy później musiał ten sen zejść w krainę rzeczywistości, a byłabym nieskończenie nieszczęśliwą, gdyby rzeczywistość nie chciała się pogodzić z czarami snów moich, i stała się dla mnie okropnem a dzisiaj tak powszedniem—rozczarowaniem.

Instynkt kobięcy radził mi zawsze sny moje nastrojać do tonu rzeczywistości, o ile to było w mojej mocy; ale z drugiej strony chciałam znowu utworzyć sobie taką rzeczywistość, któraby wszystkie sny moje chętnie w swoje granice przyjąć mogła!

Więc też bardzo na rękę była mi chwila wytchnienia, jakiej użyczyła mi Ewunia. Pod pozorem, że gospodarstwo i lekka słabość córeczki wymagają jej obecności w Brzozówce, zawiesiła swoje przejażdżki do nas, a nawet do siebie nie bardzo nas zapraszała; dała nawet do poznania, że Stanisław dla załatwienia pewnych interesów potrzebuje nieco spokoju.

Przejrzałam odrazu całą jej teorię. Z uśmiechem pożegnała mnie, żałując, że w tak pięknych chwilach życia nie może być ciąglą moją towarzyszką; wy-

powne jednak jej oczy mówiły mi wcale co innego. Przewidywały one z rozkoszą tajemne wzruszenia, jakich doznawać będzie serce moje, gdy rozmawiając lub przechadzając się z narzeczonym, nikt naszych słów słuchać nie będzie, tylko pogodne niebo boże, lasy zielone, kwiatki wonne i ciche gwiazdy nocy lipcowej...

I ucałowała mnie z namietnością młodej kobiety, której nagle stanęły przed oczyma sny tak niedalekie, a dziś już niepowrotnej przeszłości...

Wkoło mnie zrobiła się nagle cisza. Ojciec zajęty był gospodarstwem, a może nawet i sam schlebiał w duchu teoryjce Ewuni. Najczęściej byłam sama ze starą moją piastunką Martą, która mię na rękach swoich wypiaستowała. Cezaryusz nie zawsze mógł być ze mną. Choć byłam jego narzeczoną, przestrzegał zawsze wszelkich form światowych; dopiero około południa wchodził w nasze towarzystwo; po południu przepędzał także kilka godzin w swoim pokoju albo na przechadźce.

Oprócz miłości, wprowadziła Ewunia do naszego domu jeszcze inną, mniej do rzeczywistości zbliżoną sprawę. Potrzeba było zająć się nieuniknioną wyprawą. Ewunia zrobiła początek, dała plan a resztę pozostawiła mnie samęj.

W zwykłym życiu wyprawa zajmuje cały czas narzeczonej. Gdyby mężczyzna wiedział, jak małą rolę odgrywa w tym czasie w sercu i wyobraźni narzeczonej, namyslałby się niezawodnie, czy ma z ideałem swoim przystąpić do ołtarza, czy zostawić go komu innemu, ze wszystkimi temi troskami, które wprowadzają próżność kobiety lechcą, ale małżonkowi, ani jed-



njej chwili szczęścia nie przysporzał... Zaiste, ileżto razy szczęśliwy narzeczonny wchodząc do swojej bogdanki widzi na jej rozognionej twarzy wyraz szczęścia i radości! Całuje namiętnie drobną rączkę, która drży od wielkiego wzruszenia. Jest pewien, że to jego widok zarumienił tę twarz sentymentalną, poruszył wszystkie nerwy tej pięknej rączki... a to tymczasem przed chwilą przyniósł krawiec nową suknię, kupiec zaś pakę szalów i koronek brabanckich!...

Być może, że te słowa niespodobają się towarzyszkom moim; ale kobiecie wolno czasem zdradzić sekret i nazwać rzecz po imieniu: gniew jest pierwszym stopniem poprawy, a poprawy w tym względzie potrzeba nam bardzo!...

Nie mając matki, musiałam sama myśleć o swojej wyprawie. Wprawdzie część tej pracy wzięła stryjenka na siebie; przecież zostało mi jeszcze sporo rzeczy do załatwienia. Ojciec bowiem należał do ludzi dawniej daty: był tego zdania, że wyprawa powinna być świetna i rzeczywiście coś warta; blichtru i szychu nie lubił.

Przyznam się, że krzątanie to około wyprawy naprowadzało mnie na dziwne myśli. Pewnego razu, gdy kilkanaście sztuk płótna mierzono na łokcie, krąjano i darto w sposób najrozmaitszy, zapytał mnie Cezaryusz:

— Czegoż tak zamysłona patrzysz pani na tę robotę?

— Bo to przypomina mi dwie skrajne epoki życia! — odpowiadałam. — Tak samo krzątają się, krąją i szyją, gdy się człowiek narodzi, lub gdy umrze!

— A czémże jest ta epoka, dla której to wszystko teraz się robi? — z uśmiechem podjął Cezaryusz.

— Czémś pośredniem — odpowiedziałam bez namysłu.

— Jakto pośredniem?

— Bo nie wiedzieć, czy się kto rodzi czy umiera!

— Zdają mi się, że się rodzi do nowego życia, a co jest w nim stare umiera!

— Ach! to pan niesłusznie sądzi! — odparłam żywo.

— A jakież zdanie pani w tym względzie? — z uśmiechem zapytał pan Cezaryusz.

Patrzyłam chwilę na twarz narzeczonego, a potem rzekłam:

— Człowiek nie jest gąsienicą, aby przechodząc z jednej fazy życia do drugiej, zostawiał za sobą swoją skorupę. Człowiek powinien cały przejść z jednej epoki życia do drugiej. Nic nie powinien mieć w sobie takiego, coby musiał przed progiem wyrzucić. Umierać w nim nic nie powinno. Czego nie możemy z sobą nieść przez całe życie, jest kontrabandą życia! A sumienie nasze powinno być owym celnikiem, którego widok ostrzegać nas powinien przed wszelką kontrabandą!

Na te słowa dziwnie spojrzął na mnie pan Cezaryusz; zdawało mi się nawet, że był nieco zakłopotany.

— Gdybym wiedziała — mówiłam po chwili z uśmiechem, — że pan masz co w życiu, co przed sobą chciałbyś za progiem zostawić, toby mnie mocno zmartwiło, a nawet nie wiem...

— Niepokój serca jest wielkiem nieszczęściem —



podchwycił szybko Cezaryusz — a pani lubisz nawet bawić się tym niepokojem. Życie bierzesz pani jak towar wyborowy u kupca. Tak jednak nie jest. U kupca widzisz pani same dojrzałe, ładne, zdrowe jabłka, tymczasem na jabłoni jest inaczej. Ileż to niedojrzałego owocu opadnie przed czasem! a ile śród dojrzałości robak powiercił! Przecież nikt nie gniewa się na jabłoń, że tyle owocu zmarnowała, ale cieszy się z tego, co na jabłoni zostało i dojrzało!

Wzięłam go za rękę i serdecznie ścisnęłam. Wiedziałam, że jego twarz ożywiła się niezwykle, a to było dla mnie dobrą oznaką, że mój narzeczony jest przystępny dla wyższych, nie zbyt codziennych myśli.

— Mylisz się pan — rzekłam żywo do niego. — Cieszy nas owoc dojrzały na jabłoni, ale życie nasze to nie jabłoń, ale jedno jabłko na jabłoni! Gdy to zwiędnie i nie dojrzeje, lub gdy robak się wkradnie we wnętrze jego i potem je roztoczy, to już wszystko stracone! Inne jabłka, co się ostały i dojrzały, to inni ludzie, którzy się strzegli, aby wcześniej nie zwiędnąć i żadnego robaka do swojej duszy nie dopuścić!...

Mówiłam to z uśmiechem, patrząc w oczy Cezaryusza. Cezaryusz spuścił wzrok ku ziemi, jakby moje spojrzenie sprawiło na nim niemiłe wrażenie; po-  
potem podniósł głowę, i jak mi się zdawało, z pewną trwogą spojrzał na mnie. W jego wzroku malowała się widocznie chęć wyczytania czegoś z mojej twarzy.

Widząc to zakłopotanie Cezaryusza, uczułam wyrzut, że przez igraszkę słów i myśli zaniepokoiłam jego serce. Prawdopodobnie niekorzystnie wydałam mu się w tej chwili. Chciwa ustawicznej dysputy, zastraszyłam go swym duchem opozycji; potrzeba

więc było naprawić złe zrządzone. Uścisnęłam mu rękę i rzekłam z uśmiechem:

— Widzisz pan, jak skromną jestem w marzeniach moich. Pan chcesz mieć życie całej jabłoni, ja tylko jednego jabłka! Ucz się pan odemnie oszczędności szczęścia! Kto mało żąda, umie małym być szczęśliwym!

— Inaczéj nie byłabyś pani *mnie* wybrała! — odparł dowcipnie Cezaryusz.

Chciałam mu coś na to również dowcipnego odpowiedzieć, ale pomyślawszy chwilę, postanowiłam pozostawić go przy ostatniem, lepszym słowie. Mężczyźni lubią to, a i dla kobiet lepiej jest, jeśli mężczyznom zostawią wiarę, że po skończonej walce biwakowali na placu bitwy. Chciałam także sama przyswoić sobie to przekonanie, że Cezaryusz rzeczywiście utrzymał się na placu bitwy.

Kobięta kocha w mężczyźnie jego wyższość nad sobą.



XVII.

**S**pokój, jaki teraz na chwilę zawitał w życiu mojem, pozwolił mi nieco przyjść do siebie. Przyjajmniej miałam wolne całe poranki; miałam więc dość czasu, aby obok innych zatrudnień, rozmyślać o tak ważnym kroku, jaki uczynić zamysliłam.

Nie było chwili, aby mi się w tym względzie najrozmaitsze myśli nie nasuwały. Układałam sobie różne programaciki życia i chciałam je Cezaryuszowi złożyć do sankcyi, pod warunkiem ustąpienia z ministerjum. Ale jeden programacik po drugim przepadał: temu brak było życia już w samej zarodzie, tamten znowu był wprost niewykonalny. Piękne myśli moje, które połyskiem barw tęczowych tak mnie w ciemnościach nocy bezsennój zachwycaly, blakły i upadały przy świetle słońca lipcowego, które już rano moją sypialną komnatę oświecać było zwykło...

Wreszcie odrzuciłam wszystkie naprzód powzięte plany i pragramaciki i weszłam na inną drogę.

Oto, chciałam z najrozmaitszych wspomnień moich odtworzyć własną postać i z blizka jęj się przypatrzyć; chciałam potem zrobić sobie jak najwierniejszy

wizerunek narzeczonego i postawić go obok siebie, aby wiedzieć ile zgody lub kontrastu jest między nami; do tych dwóch wizerunków chciałam dodać rzeczywistość, która nas jako tło otaczała; chciałam w końcu zbadać, czego rzeczywiste stosunki, które nas z ogółem wiążą, od nas dwojga wymagają, i czy my tym wymaganiom zadość uczynić możemy. Tylko zgoda i jedność z tém wszystkiem, mogła moje szczęście stanowić: najmniejszy rozdźwięk między nami byłby dla mnie nieszczęściem!

Zaczęłam więc od siebie: nie było mi trudno wykonać tēj pracy. Poznałam, że mimo wszelkich małych i większych wydarzeń wcale się nie odmieniałam. Byłam zawsze jedną i tą samą. Byłam podobną do patrzącego w wodę kryniczną. Chwilowy powiew wiatru zamącił falą wizerunek patrzącego. Twarz, nos, oczy zaczęły na drugim zwierciadle wcale inne kształty przybierać; zdawało się, że cała twarz się zmieni: tymczasem ustał wiatr, fala uspokoiła się, a patrzący w wodę, ujrzał taki sam wizerunek, jaki widział z początku!

Tak też stało się ze mną. Ewunia źle mi przepowiedziała: ona sądziła, że nowa fala wzruszeń, jaka w mém życiu nadeszła, zmieni moją istotę i oplucze ją ze wszelkich rojeń i pragnień niezwykłych. Zdawało jęj się nawet, że mącąc przez kilkanaście dni ustawicznie zwierciadło duszy mojęj, już się zupełnie zmieniłam, zostawiając całą istotę moją dawną za sobą!...

W podobny błąd popada większość kobiet, wstępując na ślubny kobierzec: ztąd tyle nieszczęść i rozczarowania.



Zajrzawszy w siebie głębiej, nie chciałam iść tą drogą chwilowego szału. Wiedziałam, że szalę przedminie a długie życie się zacznie. Nie pragnęłam tylko chwilowego upojenia, ale pragnęłam szczęścia długiego jak życie, pogodnego i gorącego jak niebo lipcowe!...

Więc też przez mgły chwilowych i wyjątkowych wzruszeń ujrzałam, na dnie, mój dawny, niczem nie zmacony wizerunek. Nie umiem powiedzieć: czy mi to sprawiło radość, że sama siebie napowrót odszukałam, czy boleść, że inną być nie mogę; był to jednak zawsze fakt, który uwzględnić należało.

Przystąpiłam do rozpoznania, że zbliżonego teraz stanowiska, wizerunku mego narzeczonego. Byłam narzeczoną, a to dawało mi możność poznać bliżej tego, któremu miałam oddać całe życie.

Być może, iż takie postępowanie znamionowało zbyt zimną temperaturę mego serca; być może, iż podobne uczucie, jakie miałam dla Cezaryusza, nie nazywa się miłością. Nie przeczę nawet temu, że mimo wszelkich odległych formalności, mimo wszelkich oznak pozornych i przyjętych zobowiązań, nie kochałam Cezaryusza; miłość bowiem prawdziwa, która ogarnie dwa serca, ma się zupełnie inaczej przedstawiać. Jest ona pewną siebie i nic naprzód nie oblicza; wie instynktem, że wzięła w posiadanie skarby nieprzebrane, z których można pełną garścią czerpać przez całe życie! Obliczać nie potrzeba się tam, gdzie są zasoby przez czas niespożyte!...

O takiej też miłości marzyłam od lat najmłodszych, ale jej nie znalazłam! Wędrowałam długo w wie-rze, że ją koniecznie znaleźć muszę; ale powiedziano

mi, że takiej miłości na ziemi niema, że istnieje ona tylko w pragnieniach i wyobraźni kobiety! Starano się mnie przekonać, że to już jest dobre, co się do tego ideału zbliża!

Wreszcie, po długiej, bolesnej walce dałam się przekonać i uległam. Wprawilo mnie to wprawdzie w jakiś rodzaj szału, ale szal ten mógł być tak samo skutkiem każdej nowej sytuacji życia, jak kwiatem rozbudzonego w głębi duszy uczucia. Potrzeba więc było wezwać na pomoc rozsądek i może nieco zimniej, niż kochającej kobiecie przystało, obliczyć się z sobą, i z tém, co jej najbliższa przyszłość dać może! Bądź co bądź, nie mogąc się rzucić w nieznana otchłań z zawiązanymi oczyma, musiałam do niej wstąpić, mając oczy otwarte.

Prócz tego, słowa mojej krewnej, że narzeczoną może cudów dokonać, — brzmiały mi nieustannie w uszach. One to były powodem, że na razie zgodziła się z tém, co mi świat codzienny daje. Nie wy-rzekłam się jednak nadziei, że ten powszedni dar świata będę mogła podnieść z czasem do ideału! Byłam tego przekonania, że mam dopiero w rękach materyał do szczęścia, ale szczęście moje jeszcze daleko odemnie!... Miałam więc dopiero sztucznie—jeżeli inaczej być nie mogło — stworzyć sobie to szczęście, jakiego w snach moich pragnęłam!



XVIII.

Cezaryusz zyskiwał wiele przy bliższym poznaniu. Patrząc na niego z uwagą, widziałam w nim dwie, że tak powiem, istoty, dwóch ludzi. Jeden z nich był to człowiek zwykły, codzienny. Zrodził on się daleko później, po chrzcie Cezaryusza. Stworzyło go wychowanie, nauka i stosunki światowe. Guwerner, ludzie, towarzystwo i różne wypadki życia dokładali kolejną rękę do tego: było to, jak mówią politycy, państwo w państwie.

Drugi, starszy człowiek, to jest ten, który z rąk Stwórcy wyszedł, był na drugim planie i rzadko kiedy okazywał właściwe oblicze. Mimo, że był piękniejszy od pierwszego, mimo, że twarz jego nosiła niezatarte piętno podobieństwa Stwórcy, krył się wstydliwie poza plecyma młodszego brata, jakby w obec niego czuł się mocno upośledzonym!

Spostrzeżenie to sprawiło mi radość nie lada. Są bowiem ludzie, którzy tę pierwotną istotę swoją na śmierć zabijają; u nich jest tylko ten młodszy, sztucznie utworzony człowiek: są to automaty, ruszające się według panujących wyobrażeń, najczęściej fałszywych przesądów i foremek towarzyskich.

Cezaryusz nie pozbył się jeszcze pierwotnej, wrodzonej istoty swojej; przemagał w nim wprawdzie człowiek dzisiejszy, powszedni, żyjący stereotypowymi foremkami i świecący wypolerowaną powierzchownością. Niewtajemniczone oko nie widziało poza nim nikogo innego; ja wszakże dostrzegłam, że za nim kryje się ten, którego właściwie szukałam! Wychylał on zawsze do mnie oblicze swoje przy każdym znaczniejszym wezbraniu serca i uśmiechał się uśmiechem łagodnym skazanego na pokutę anioła! Zaczęłam go powoli ośmielać, a on za to tym wdzięczniej uśmiechał się do mnie!... Ale to wydarzało się tak rzadko, a za to tym częściej mizdrzyła się do mnie wymuskana, bezmyślna twarz młodszego brata!...

Cezaryusz wywiązywał się z trudnej roli narzeczonego, odpowiednio swemu położeniu.

Wyobrażam sobie różnego zawodu narzeczonych. Jest to chwila, w której odkrywa się człowiek i jasno czynami wypowiada, jak miłość pojmuje, i czém dla niego jest kobieta. Gdyby każda narzeczona pilną uwagę na to zwracała, poznałaby, czém jest jej przyszły towarzysz życia, i czém na przyszłość dla niej będzie.

I tak np. wyobrażam sobie poetę, dla którego narzeczona staje się natchnieniem. Co ma najdroższego, owoc tego natchnienia, poezją, daje jej w ofierze: ofiara ta należy się jej, bo od niej wyszła.

Artysta, pisarz, przetwarzają w najrozmaitszym oświeceniu twarz ukochanej osoby we wszystkich twórcach swoich. Znajdziesz ją w rysach świętej męczennicy, zamordowanej w katakumbach rzymskich; poznasz ją w postaci anioła tryumfującego nad próz-



nym grobowcem Chrystusa!... Czasami melancholijna wyobraźnia twórcy zarzuci na jej świeżą twarz gęstą sieć zmarszczek i uwięzi ją w postaci sędziwej, która przez burze życia i wiek, wiele łez gorzkich za sobą uroniła!... A niekiedy się zdarza, że szarpana boleścią pierś artysty wyzionie zasłużoną żółć z siebie, i twarz ukochanego niegdyś anioła rzuci na obnażone ramiona bachantki, i każe jej wśród pijanych satyrów wykonywać taniec szalony!... Patrzcie na tę twarz jeszcze piękną, a tak strasznie, potworną! Artysta stworzył ją w najwyższej boleści, a jednak tworzył ją nie bez rozkoszy!... Patrzcie, jak idealnie narzucił karminem te usta, z jakim rozmiłowaniem płatał ten włos złoty wkoło tej głowy prześlicznej i na tych śnieżnych ramionach!... On w boleści—kochał jeszcze niegodną!...

W jakim sposób inni ludzie objawiają swą miłość dla drugiej istoty?

Ludzie zwyczajni mają także swoje sposoby objawiania miłości. Każdy według swego położenia.

Człowiek niższych przymiotów zbliża się do ukochanej kobiety, jakby ją widział stojącą na wysokim piedestale. Bierze na siebie szaty świąteczne i w prostocie swojej dobięra słów wyszukańszych. Zdaje mu się, że do niej trzeba iść w górę, po wschodach. Aby być jej godnym, stara się być lepszym, pocziwszym, rozumniejszym.

Człowiek codziennego zarobku pracuje kilka godzin dłużej na dzień, aby dla ukochanej istoty uzbierać więcej zasobów. Daje jej to, co ma jedyne w życiu: pracę swoją. Innym sposobem nie może okazać, że ją kocha.

Jeżeli bogaty bankier dla wytchnienia w spekulacyjnych marzeniach swoich jakiegoś idealnego uczucia zapagnie, przychodzi po nie z tém, co jedynie w życiu ukochał, z trzosem złota. Dla ideału więc swego czyni ofiarę z tego, co ma najdroższego — ze złota. Ale na giełdzie życia nie zawsze ma złoto ten sam kurs, co na giełdzie kupieckiej. Trzeba je przetworzyć na inną, szlachetniejszą monetę. Kupuje okazałe apartamenta, ubiera je drzewem zagranicznym i tkaniną jedwabną. Na ścianach rozwiesza dzieła sztuki a podłogi nakrywa perskimi dywanami!... W książce jednak bankierskiej redukują się te wszystkie piękne rzeczy — do cyfry. Stoi tam poprostu zapisano: Miłość moja... tyle a tyle!

Przy tych i tym podobnych porównaniach przyszło mi na myśl, w jaki to sposób objawia Cezaryusz miłość dla mnie? Czém jestem dla niego i czém będę na całe życie?

Pytania te nachodziły mię zawsze, gdy siedząc sama w swoim pokoiku, patrzyłam na mnóstwo fraszek różnorodnych, któremi prawie codziennie osypywał mię Cezaryusz. Fraszki te nadzwyczaj kosztowne, a niektóre nawet prawdziwe dzieła sztuki, miały mi na te zapytania moje odpowiedzieć.

I cóż mi one odpowiedziały?

Oto, że Cezaryusz jest zwykłym, zamożnym człowiekiem, który miłość swoją objawia mi znaczniejszym wydatkiem pieniędzy! Fraszkami temi okazuje, co mi dać może, gdy będę jego żoną!

Zaiste, taką miłością zadawała się wiele, bardzo wiele kobiet! Ogół nawet mniema, że taka kobieta jest



bardzo szczęśliwa. Ale szczęście podobne ma swoje bardzo niebezpieczne skopyty!...

Zdaje się, że na nieszczęście moje nie byłam stworzoną, abym podobną miłością zadawała się mogła!

Miłość taka nie była żadną ofiarą ze strony Cezaryusza. On nie pracował dla mnie, nie dzielił się owocem własnej pracy zemną. Przypadek pozwolił mu urodzić się bogatym. Majątek jego z końcem każdego roku odrzucał mu zwykły procent, którego wolno mu było użyć jak mu się podoba. Nie miał w tém żadnej zasługi. Nie kochał nawet tak jak bankier, pieniędzy, a więc z większą od niego obojętnością mógł czynić tę ofiarę. Jakiż więc dowód jego miłości mogłam widzieć w tych drogich fraszkach, któremi muie osypywał?

Do skarbony zawieszanej w świątyni rzucił ongi bogacz pieniądź złoty; po nim nadeszła biedna wdowa i rzuciła grosz; któż z nich dał więcej?... Chciałam, aby Cezaryusz dał mi tyle, ile biedna wdowa!... Ale Cezaryusz nie mi dać nie mógł, bo nic nie miał: to co mi dawał, nie było jego!...

Cezaryusz był w moich oczach uboższym od owęj wdowy ewangelicznej; potrzeba więc było, aby się czegoś dorobił, i tym dorobkiem swoim ze mną mógł się podzielić!

## XIX.

Pewnego razu, przy pięknej lipcowej pogodzie, przechadzaliśmy się w alei ogrodu. Po niebie przesuwały się białe chmurki. Lekki orzeźwiający wie-  
trzyk pociągał od wschodu i ochładzał skwarne powietrze. Z kwiecistych klombów zalatywała woń świeża.

Był to jeden z tych prześlicznych dni naszego kraju, jakich niestety! nie wiele zsyła nam niebo. W takich dniach żyjemy pełnią życia, pełną piersią wciągamy w siebie wonne powietrze. Myśl nasza wy-  
nika się wtedy z ciasnych granic powszedniego świat-  
ka i goni jakieś dziwne, nadziemskie rojenia. Wszyst-  
kie czary, jakie przed nami roztacza natura, rozpalają wyobraźnię i przenosimy się w duszy po nad tę roz-  
koszną rzeczywistość, w krainę marzeń jaskrawszych, rozkoszniejszych od widzianej rzeczywistości!...

Zatrzymałam się przez chwilę nad grządką prze-  
ślicznych kwiatów. Cezaryusz sądził, że podziwiam te kwiaty.

— Barwa tych kwiatów przykuwa mimowolnie oko do siebie—rzekł po chwili, patrząc na mnie.



Słowa jego słyszałam, ale nie dałam mu na nie zaraz odpowiedzi.

— Które się pani lepiej podobały?—zapytał znowu—czy te o niebieskich, czy o czerwonych listkach?

— Nie widzę ani niebieskich, ani czerwonych kwiatów!—odpowiedziałam z westchnieniem.

— Wszak pani na nie patrzysz!

— Tak, niby na nie patrzyłam, ale ich w tej chwili, nie widziałam! Przeszłam tylko po nich do innych, szczęśliwszych, w bogatszych w uroki krajów!... Wyobrażałam sobie, jak pysznej barwy i okazałości są kwiaty pod słońcem zwrotnikowém!...

— Czy lubisz pani kwiaty egzotyczne?

— Chciałabym je w tej chwili porównać! Gdy ich nie widzę, nęca moją myśl do siebie! Być może, iż zobaczywszy je, możebym nie wyrzuciła swojskim tej krzywdy, jaką w tej chwili odemnie ponoszą!

— To przecież stać się może, jeżeli tego pani pragnie.

— Ale czas, panie Cezaryuszu — odpowiedziałam z uśmiechem—czas gra tu ważną rolę. Wiem, że kwiaty egzotyczne mieć i widzieć mogę, ale nie tak prędko, abym je z tym hiacyntem i temi olbrzymiemi bratkami porównać mogła, gdy rozwinęły w całej pełni wszystkie wdzięki swojej! Kwiatki nasze żyją tak krótko życiem najwyższém!...

Słowa te wymówiłam bez żadnej myśli ubocznej. Rzuciłam je od niechcenia, jak się rzuca na wiatr tyle myśli ulotnych! Za chwilę prawie zapomniałam o nich. Przeszliśmy na inne przedmioty, a wkrótce odwołano mnie do zajęć gospodarskich.

Było to przed obiadem. Po obiedzie czytaliśmy

dzienniki, a potem kilka godzin spędziliśmy na przechadźce w lesie; wreszcie zniżyło się słońce, ucichło ptastwo śpiewające i skryło się po gałęziach na nocleg.

Kazałam podać herbatę. Ojciec mówił wiele o ulubionych koniunkturach europejskich. Cezaryusz dorzucał od czasu do czasu kilka słów ze swojej strony. Upragniona budowa wzrastała szybko przed ich oczyma. Twarz ojca rozjaśniała się coraz bardziej. Rzucał na tę budowę śmiało sklepienia, stroił ją w najulubieńsze ornamenta.

Cezaryusz nie dotrzymywał ojcu kroku. Wśród najśmielszych kombinacji pozostawał często obojętnym lub okazywał niepokój, którego źródło było poza rozmową. Często wyjmował zegarek i patrzył na godzinę z czołem zmarszczoném.

Nie uszło to mojej uwagi; nie chciałam jednak tego tłumaczyć sobie na niekorzyść Cezaryusza. Są często w życiu chwile znużenia, że najciekawsza, zwykle elektryzująca nas rozmowa nie wywiera na nasz umysł żadnego podrażnienia. Być może, iż Cezaryusz był właśnie w takiej chwili, w której ani moja obecność, ani rozmowa ojca nie mogły go ożywić.

Wreszcie wstawszy od herbaty, zaczął się niespokojnie po pokoju przechadzać. Często przybliżał się do okna, jakby przez nie patrzył w noc ciemną, lub przysłuchiwał się nocnym głosom natury.

Ojciec mój miał nazajutrz wstać bardzo rano do robót w polu; wypaliwszy więc lukę rzekł do Cezaryusza:

— Dzień dzisiejszy był gorący i znużył nas wszystkich. Nie zgrzeszymy, jeżeli wcześniej udamy



się na spoczynek; pan i tak w oficynach nie masz rano spokoju.

Dorzuciłam jeszcze kilka wyrazów z mojej strony. Cezaryusz nie upierał się wcale. W milczeniu przyjął propozycję ojca. Pożegnaliśmy się wszyscy, życząc sobie wzajemnie dobrej nocy i snów przyjemnych.

Nie wiem, czy dla wszystkich sprawdziły się te życzenia. Nie wiem o czém śnił Cezaryusz, i czy ojciec we śnie dalej roztaczał swoje konjunktury wypadków politycznych na drugiej półkuli świata; wiem tylko, że sen mój był mimo woli, jakimś dziwnym rozsnuwaniem kilku słów, rzuconych we dnie od niechcenia, bez żadnej głębszej myśli!

Śniło mi się, że byłam pod słońcem równikowem. Pyszna, nie widziana dotąd wegetacya otaczała mnie. Rośliny miały kształty niezwykle, jakich nawet wyobraźnia krajów północnych utworzyć sobie nie może. Wszystko było olbrzymie i świadczyło o potędze słońca i powietrza. Woń narkotyczna, dotąd nie znana, buchała od tych drzew i kwiatów, i drażniła mi piersi jakimś uczuciem rozkosznem.

Kiedy jednak po szerokich liściach stąpać chciałam, natrafiłam na ślizkie ciało jakiegoś gadu i z trwogą cofnęłam nogę. Na konarach palm i bananów wychylały się do mnie dzikie, brzydkie zwierzęta i szczyrzyły zęby. Tam gdzieś w oddali skrzekotał grzechotnik, a skrzekot jego był hasłem ucieczki dla wszystkich słabszych od niego! Samo powietrze było napełnione miliardami muszek niewidzialnych i tawało mi oddech w piersiach...

Obudziłam się znużona i omdlała. Przez okno widziałam skromne kwiateczki naszego umiarkowane-

go nieba. Powietrze poranne było chłodne i zaprawione znaną mi wonią rezedy i hyacintów.

Służąca weszła do mnie z jakimś tajemniczym uśmiechem na twarzy. Zapytałam jej o ten uśmiech, ale nic mi na to nie odpowiedziała godnego uwagi. Zająłam się ubieraniem i wydałam potrzebne gospodarskie rozkazy.

Ile razy jednak spozjrzałam na służącą, spotykałam zawsze ten sam tajemniczy uśmiech, którego do brze ukryć nie umiała. Nie lubiłam okazywać się w obec sług nader ciekawą. Wiedziałam, że prędzej czy później, ciekawość moja zaspokojona być musi.

Za godzinę wyszłam do saloniku. Teraz była dla mnie jasną owa zagadka tajemniczego uśmiechu!

Na okrągłym stoliku stał olbrzymi bukiet, złożony z samych kwiatów egzotycznych!

Służąca wychyliła głowę z poza drzwi i roziskrzonem od radości okiem patrzyła na mnie.

— Co to jest? — zapytałam oglądając kwiaty.

— To pan Cezaryusz kazał mi postawić i wprzód dy nie pannie Reginie o tém nie mówić — odpowiedziała służąca i odetchnęła głęboko, jakby ciężki kamień zrzuciła z piersi.

Tajemnica ta ciążyła jej dotąd niepospolicie.

Przypomniałam sobie słowa moje o kwiatach egzotycznych, rzucone wczoraj na wiatr bez żadnej myśli, i rozśmiałam się dosyć obojętnie. Służąca nie spuściła ze mnie oczu. Na jej twarzy malowała się radość z mego szczęścia.

— Czemuż tak patrzysz na mnie? — zapytała.

— Ach, bo panna Regina jest taka szczęśliwa! — odpowiedziała z westchnieniem.



— Jestem szczęśliwa!... A zkadże wiesz, że jestem szczęśliwa?

— Albo tego nie widać jak na dłoni? Ach gdyby panna wiedziała, co te kwiaty kosztują!

— W samą rzecz, kwiaty te kosztują wiele! Nie należą one do naszej ziemi i tylko wielkim kosztem i trudem mogą być u nas pielęgnowane. Jeżeli się nie mylę, pochodzą one z cieplarni, która najmniej ośm mil oddalona jest od nas!

— Zgadła panna! Ale to wszystko nie dość. I dwieście złotych, które Pawełek dał ogrodnikowi, to jeszcze nie dość...

— Zapewne że niedość, bo droga i trud.

— Ej co tam trud i droga! Pawełek wprawdzie leży pod dwiema derkami i robi piersią jak koń podpalony, ale to nic; przejdzie i kwita. A jak nie przejdzie, to zamiast Pawełka będzie Piotruś!

Przy tych słowach zdawało mi się, że tak samo jak we śnie, nastąpiłam na obślizłe ciało jadowitej żmii! Uczułam ból jakby ten jad w samo serce mnie uderzył!... I pomyślałam sobie:

— Mój Boże! Ileż to kobiet nazywa to szczęściem, co wychodzi przed ich oczy oblانة łzami, okupione zdrowiem, a nawet i życiem tych, którzy za kęs powszedniego chleba składali się na to dziwne szczęście!...

Odwrociłam oczy od kwiatów egzotycznych, a serce mi zadrgało dojmującą boleścią!

— I toż ma być dowód miłości?—rzekłam w duchu do siebie.—Zaiste, ludzie bogaci dziwnie okupują szczęście swoje!

Z pogardą odsunęłam kwiaty od siebie. Służąca nie rozumiała mnie. Mówiła dalej:

— Ach! to jest prawdziwe kochanie! Pan Cezaryusz zdjąłby gwiazdę z nieba, gdyby panna tego chciała! Bo też niedość że Pawełek pod dwiema derkami leży i jak mysz się poci, ale biedny Neptun...

— Neptun, cóż Neptunowi?—zapytałam zgryźliwie,—czy nogę złamał?

Neptun był to ulubiony wierzchowiec Cezaryusza. Nabył go przed kilku tygodniami ze znaniej w kraju stadniny hrabiego Juliusza. Masztalerz przywiózł Cezaryuszowi dyplom jego pochodzenia, w którym z największą skrupulatnością wyliczone były wszystkie jego antenaty po mie



się po całej okolicy! Sąsiedzi i sąsiadki zazdrościć mi będą tego szczęścia, téj egzagerowanej, romantycznej miłości. Cezaryusz dla mego kaprysu poświęcił ulubionego i kosztownego wierzchowca i przywiązanego Pawelka! Na rozkaz pana prędkiej od orla przebiegli obaj przestrzeń ośmiomilową! Jakaż to miłość! Cóż to za mąż będzie z niego, który teraz takim kaprysom narzeczonej dogadzał... Szczęśliwa Regina, nie zasłużenie szczęśliwa! Zapewne oczarowała czém tego człowieka, że z miłości sam nie wie, co czynił...

Takie i tym podobne głosy słyszałam w duchu wkoło siebie. Koncept Cezaryusza był wprawdzie nader romantyczny, tylko szkoda, że inni wykonali go, a on tymczasem spał sobie jak najspokojniej!...

Zarzuciłam szal na ramiona i wyszłam na dziedziniec. Na dziedzińcu koło klombu stał Cezaryusz i swobodnie bawił się z moją ulubioną charcią. Ujrzał mię razem z charcią, chciał zbliżyć się do mnie. Skinełam do niego głową na dzień dobry, i poszłam drugą stroną klombu, zostawiając go na boku.

Poszłam odwiedzić Pawelka.

XX.

Gały ranek zeszedł mi na krzątaniu się koło biédnego Pawelka. Miał kolki w piersiach i oddech nadzwyczaj trudny. Kazałam mu ugotować ziół ochładzających, a na wypadek pogorsz



dem słabości Pawelka. Widziałam tylko przed sobą chorego, nie więcéj.

Cezaryusz dziwnie patrzył na mnie. Nie mógł zrozumieć mojej roli. Jakto? żeby kobiéta obojętną być mogła na tyle ofiar, które poniesiono dla dogodzenia jéj zachceniu! To niepodobna! Chyba nie jest kobiéta!...

Takie myśli czytałam na jego czole. Nic jednak nie mówiłam, choć mi słowa same wydierały się na usta. Cezaryusz także nic nie mówił. Wiedział dobrze, iż inicjatywa z jego strony odbierze temu egzotycznemu podarunkowi wiele uroku.

W południe wmieszała się między nas trzecia osoba. Przyjechała Ewunia. Dowiedziała się już o wszystkim.

Byliśmy właśnie w ogrodzie, gdy nagle przed nami stanęła Ewunia. Jéj oczy błyszczały radością. Rzekła zaraz na wstępie:

— Winszuję, ale oraz zazdroszczę ci, Reniu, takiego narzeczonego, jak pan Cezaryusz! Wierzaj mi, nie zdarza się teraz nic podobnego w świecie! Dzisiejsza miłość należy do wygod życia. Co ponad te wygodę wychodzi, tego nie żądaj od mężczyzny!... Ale pan Cezaryusz!... Ta jazda szalona, te kwiaty egzotyczne, te ofiary i przygody, to jakby kartka wycięta ze średniowiecznego, rycerskiego romansu! Dzisiaj nawet tak nie piszą! To mi prawdziwa, szalona miłość! Przecież znalazłaś, o czém marzyłaś pomiędzy książkami, w ciemnej atmosferze biblioteczki.

Nic na to nie odpowiedziałam Ewuni. Nie chciałam odpowiadać krótko, a na długą odpowiedź nie było ani czasu, ani miejsca. Spojrzałam tylko na Cezaryusza,

aby wyczytać, czy słowa Ewuni wypowiadają własne jego przekonanie. Cezaryusz milczał, a na twarzy jego widać było tylko znaną mi już ciekawość, aby coś w duszy mojej wyczytać.

— Pan milczysz na to wszystko!—rzekłam po chwili.

— Tak, milczy—odparła żywo Ewunia,—bo rycerzowi milczéć przystało, gdy po odbytych turniejach chyli czoło przed królową serca swego... Pan Cezaryusz dał ci wiele, bardzo wiele, i czeka jaki odwet za ten dar otrzymania...

I na to nic nie odpowiedziałam; spojrzałam tylko przed siebie i zamyśliłam się na chwilę.

Wzrok mój padł przypadkowo na duży krzak agrestu. Z pod krzaku wymykał się wielki powój i nadzwyczaj zręcznie owijał się koło jego ciernistych gałązek. Mnóstwo miał kwiatków blado-niebieskich, ale te po większej części były już zwiędłe. Jednym zaszkodziły gorące promienie słońca, z drugich wysały pszczołki słodycz i pokarm ich życia; jeden tylko kwiatuszek ostał się w całej barwie. Skrył się pomiędzy cierniste gałązki tak zręcznie, że go ani pszczoła, ani słońce dosięgnąć nie mogły!

Na ten błękitny, cieniami otoczony kwiatuszek padło moje spojrzenie.

— Panie Cezaryusze — rzekłam po chwili namysłu,—zervij mi pan ten kwiatuszek ze środka krzaku.

Cezaryusz pobiegł szybko do krzaku. Rozkaz mój nie był tak łatwy do wykonania, bo ów krzak agrestu był to staruszek nielada; miał twarde gałązki i duże ciernie; potrzeba było zręcznie przebijać się do kwiatka powoju.



Cezaryusz pokonał wprawdzie wszelkie trudności, ale nie wyszedł z téj pracy bez szwanku. Cierń jakiś niepocziwy zadrasnął mu rękę. Z uśmiechem jednak zwycięzcy zbliżył się do mnie i podał mi upragniony kwiatusek.

— Dziękuję panu — rzekłam biorąc kwiatek, — dziękuję za ten drobny powój! Spodziewam się, że pan to samo uczynisz, jeżeli większych rzeczy i większego trudu zażądam.

I mały kwiatusek przypięłam do piersi.

XXI.

Potém wpadła Ewunia na ulubiony swój temat rozmowy, — na wyprawę. Zdaje się, że mojej myśli o kwiatuszku powoju wcale nie rozumiała. Nie wiem nawet, czy Cezaryusz rozumiał w téj chwili, com mu przez to powiedzieć chciała. Na żądanie Ewuni wróciliśmy wszyscy do domu.

Tutaj musiałam wszystko okazywać Ewuni, co tylko z wyprawą moją miało jakąkolwiek styczność. Ewunia brała wszystko do rąk i oglądała na wszystkie strony. Czyniła to z takim zajęciem, jakby nad to, co widzi, nic innego na świecie nie było. Mówiła o każdej drobnostce, o każdym fałdziku, o każdym rąbku. A mówiła z taką powagą, z taką sumiennością roztrząsała każdą sporną między nami kwestyą, jakby od tego całe szczęście moje zawisło. Szczęśliwa Ewunia! Ona wżyła się już w tę drobnostkowość życia, bo ta drobnostkowość wypełniała całą próżnię jej serca!...

— Wiész, droga, — szezebiotała, sympatycznym głosikiem, — ten negliżyk wcale mi się nie podoba. Ten jest za mało wycięty, a ten za wiele namarszczony.



Masz biust przesliczny, czemuż zgrabném ubraniem nie podnieść tak miłych wdzięków? I dla męża potrzeba nieco kokieteryi niewinnéj... a ten stanik powinien mieć dwa kliny na dół spuszczone!... Haft ten za mało przezroczysty, nic nie odsłania, a bardzo wiele ukrywa. Sądzę, że w palmy wydałby się daleko lepiej.

Naszczebiotawszy się do syta, ucałowała mnie namiętnie i skoczyła do powozu, aby jak białe widmo zniknąć nam z oczu. Jeszcze raz ujrzelśmy ją na wzgórzu za polami: wionęła ku nam białą chustką.

Pocziwa Ewunia miała dobre przecucie. Zaraz po jéj odjeździe wysunęły się z poza gór czarne chmury, a powietrze oziębiło się nagle jak w późnej jesieni. Chmury wznosiły się coraz wyżej, a nim wieczór nastąpił, już nie było ani kawałka błękitu. Dużemi zimnemi kroplami puścił się deszcz rześisty, a wszystkich drób' domowy i co żyło, szukało schronienia pod dachem.

Przy herbacie zeszliśmy się wszyscy. Ojciec wrócił dosyć późno, przemokły do nitki. Przebrawszy się usiadł do stołu i chwycił zaraz za pakiet gazet, które właśnie przed chwilą przyniósł posłaniec z poczty. O bukietach kwiatów egzotycznych, o biednym Pawelku i o Neptunie nikt ani słówkiem nie wspomniał. Zdaje się, że ojciec był téj saméj co i ja myśli, i nie chciał potrącać o przedmiot, który był dosyć drażliwy. Cezaryusz także nic przy herbacie o tém nie wspomniał. Może z ojcem mówili już we dnie o tym wypadku.

Jakaś duszna atmosfera ciążyła nad nami. Wszyscy byliśmy zamyśleni. Rozmowa urywała się często, i trudno nam było ją nawiązać w nieprzerwa-

ny bukiet porzucony na krawędzi stołu, a na jego miejscu włożony do świeżej wody uśmiechał się mały kwiatusek powoju!...

Cezaryusz długi czas z niemalem zdziwieniem patrzył na tę poniewierkę egzotycznego daru, w obec wyniesionego do tak niesłychanej godności plebejusza! Patrzył i uśmiechał się z dziwną ironią.

— Podziwiasz pan ten skromny kwiateczek, królujący na tym wyzłacanym tronie?— zapytałam po chwili.

— Studyuję społeczne zasady pani—odparł Cezaryusz nieco zgryźliwie.

— Do jakiegoż stronnictwa pan mnie zaliczasz?

— Zdaje mi się, że przechylasz się pani na stronę demagogów!

— Demagogów?

— Podły, prosty kwiateczek wyniosłaś pani do zaszczytów, a potomków królów i książąt, sproszonych tutaj tak znaczną, chociaż przypadkową ofiarą, pozostawiasz pani bożej wody, aby zwiedniały i uschły!... Czy wiesz pani jak się nazywają ci arystokratyczni reprezentanci flory?... Ten olbrzymi biały kwiat to Prince Albert...

— Przeprós pan tych dygnitarzy — przerwałam z uśmiechem,—bo nie mam czasu mówić z nimi. Powiedz im pan, że mnie niema w domu!

Rozśmiałam się i spojrzałam w oczy Cezaryusza. Na twarzy jego było dziwne zakłopotanie. Patrzył na mnie jak człowiek, który nic nie słyszy, albo nie rozumie. Nie mógł pojąć do czego mój żart zmierza.

— Słowa pani są dla mnie dzisiaj zagadką —  
Wiktorya Regina.



ozwał się smutno,—a dzień dzisiejszy do feralnych policzyć muszę. Przedewszystkiem nie marzyłem o tém, aby te kwiaty egzotyczne spotkał taki los okrutny!

Wzięłam za rękę Cezaryusza i rzekłam do niego z poufałością przyjaciółki:

— Wierzaj mi pan, ten oto lichy kwiateczek ma dla mnie więcej wartości niżeli wszyscy dygnitarze flory! Dla tego do wieczora był on na piersi mojej a teraz krzepi siły na tym tronie złoconym!

— Jakto?—zawołał Cezaryusz z największym zdziwieniem—ten lichy kwiatek jak pani przypadł do gustu?...

— Tak jest—odpowiedziałam z naciskiem — on jest z nich najdroższym, *boś go pan własną ręką z pomiędzy cierni wydobyl, a za tamte tylko zapłacił!*

Cezaryusz patrzył ciągle na mnie i milczał. Nie mógł jeszcze dobrze zrozumieć tego, com powiedziała; chciał wyczytać na mojej twarzy, czego nie pojmował.

— Chciéj mi pani wyjaśnić te zagadkowe słowa,—ozwał się po długim milczeniu.

— I owszem — odparłam z przyjaznym uśmiechem.—Już dawno chciałam pomówić z panem o niektórych moich przywidzeniach i przesadach, jak Ewunia nazywa, a chcę mówić dla tego, ażebyś mnie pan poznał taką, jaką jestem! Niéma nic smutniejszego w miłości nad niespodziankę, jaką nam czasem sprawa narzeczona. Nie prawdaż?...

— Przyznaję, że cały dzisiejszy dzień jest dla mnie nadzwyczajną niespodzianką!

— Cieszy mię niezmiernie, żeś pan to spostrzegł.

— Lękam się pytać o przyczynę!... Czasami

lepszą jest niepewność, pomimo że jest nadzwyczaj dręczącą!...

— Cóżby to mogła być za pewność, któraby dla pana była okropniejszą od dręczącej niepewności?

— Chciéj pani sama sobie na to odpowiedzieć.

Spojrzałam z uśmiechem na Cezaryusza. Na twarzy jego przebijał się smutek. Nie był to w tej chwili ów wiecznie uśmiechnięty, z wyszukaną grzecznością nadskakujący dworzanin, ale zwykły, naturalny człowiek, głęboko w duszy cierpiący. Pochwycił mię w tej chwili za serce, a nawet nieco rozbroił. Takiego naturalnie czującego człowieka chciałam w nim częściej oglądać. Ów wiecznie podług światowych formulek poruszający się automat, już mnie do syta był znudził. Może są kobiety, którym taki automat na całe życie wystarcza. Do takich kobiet, mimo całej mojej usilności i mimo wszelkiej pracy Ewuni, należeć nie mogłam.

Wzięłam Cezaryusza z całą serdecznością za rękę i rzekłam:

— To, co dla pana w dniu dzisiejszym jest zagadką, zaraz panu wyjaśnię; poświęć mi pan tylko chwilę cierpliwości.

Cezaryusz spojrzał na mnie z niezwykłym wyrazem w oczach. Malowało się w nich uczucie głębsze, niżeli dotąd kiedykolwiek spostrzedz mogłam. Twarz jego spoważniała, a na otwartém czole zarysował się fałdzik głębszej myśli.

Było mu z tém bardzo do twarzy. Nie krasił go wprowadzie połyskuwy blichtr dowcipu lub nawpół ukrytego sarkazmu, w jaki dzisiaj tak często stroimy się w salonach. Nie miał nawet owęj swobody i pogo-



dy, która pozwala władzom umysłowym koncentrować się gdzie potrzeba, nadając nam tym sposobem przewagę w towarzystwie nad innymi. Miał jednak w całej postaci coś tak pięknego, tak ujmującego, że dłużej niżeli należało, patrzyłam na niego w milczeniu.

Przyznam się, że doznałam w tej chwili wzruszenia, które mi zapowiadało, że mogę tego człowieka pokochać wymarzoną miłością... bo widziałam oczyma i sercem, że on mnie kocha, i że w takim razie nie będzie dla mnie nic niepodobnego.

— Nie mogę być dla pana nieszczerą i zamkniętą—rzekłam po chwili,—i muszę przed panem wypowiadać się z dotychczasowych marzeń moich... Przyznasz pan, że kobieta nie czeka miłości i narzeczonego bez żadnych poprzednich marzeń. Dusza jej, nie jest to biała karta niezapisanego papieru, na którym dopiero narzeczony według upodobania pierwsze litery stawia. W życiu powszedniem może tak jest w istocie. Mnie są kobiety, których dusza, jak szkolna tablica, może być na czysto zmazana, aby, nowy rachunek mógł na niej zająć miejsce. A jeśli to zatartem być nie może to się przynajmniej udaje, że jest zatarte. Do tego i kobiet niestety! policzyć się nie mogę. Naprzód i tak nie, co by zatartem być powinno, a to co jest, zdaje mi się, powinno na całe życie pozostać. Do takich zaś, których dusza ocknie się dopiero na widok ślubnego pierścionka, aby potem znowu zasnąć, nie należałam nigdy!...

Z żywem uczuciem ścisnął mię Cezaryusz za rękę, a twarz jego zaczęła się wyjaśniać. Mówiłam dalej:

— Otoż każda kobieta od lat najmłodszych ma-

rzy o swojej przyszłości. Stwarza sobie ludzi i sytuacje, i czeka, aż marzenia jej przejdą w rzeczywistość. Rozumie się, że zbyt często nie odpowiada rzeczywistość jej marzeniom. Wtedy albo zawiera z nią kompromis, albo ją od siebie odpycha. Często jednak składa jej w ofierze wszystkie swoje marzenia...

— Do tych ostatnich przecież nie zechcesz pani należeć!—przerwał mi Cezaryusz z lekkim uśmiechem.

— Zależać to będzie od pana!—odpowiedziałam z całą powagą.

Cezaryusz zamyślił się. Mówiłam dalej:

— Moje marzenia, w mojem wyjątkowem położeniu były może nieco odmienne od marzeń innych kobiet. Utraciłam wczesnie matkę i zostałam w życiu bez takiego przewodnika, jakim tylko matka być może. Nawet za życia jej wstąpiłam już na inną drogę. Dziecinne lata moje przesiedziałam koło jej łóżka. Wesółych dni młodości nie znałam wcale. Zbyt wczesnie odsoniło mi się życie ze strony poważniejszej. Serce moje żyło tylko miłością i obowiązkami dla chorej matki. Po jej śmierci serce chciało żyć dalej tém wdrożonem uczuciem. Matki już nie miałam, a książki, które mi nieboszczka matka ze wiekunów zostawiła, powiedziały mi, że mam drugą chorą matkę: mam ludzkość, społeczeństwo, które również mego serca i moich obowiązków względem siebie potrzebują!... W smutném życiu mojem wyrosła ta myśl, spotęgniało to uczucie, i dzisiaj od duszy oderwać ich nie mogę!

Umilkłam na chwilę i spojrzałam na Cezaryusza. Patrzył zamyślony przed siebie. Na twarzy jego przebiegały różne promyki światła, jak drogowskazy



piękniejszych i wznioslejszych myśli. Tak pięknym nie widziałam go dotąd!

— Z tego pan widzisz, — rzekłam do niego z uśmiechem, — że potrzeba ze mną wdać się w kompromis!

— Nie — odparł żywo Cezaryusz z rozjaśnioną twarzą, — ja nie chcę żadnych ustępstw. Przyjmuje wszystkie warunki!

— Przyjmujesz pan wszystkie warunki? — zapytałam nachylając się ku niemu; — przyjmujesz nie wiedząc o ich doniosłości! Potrzeba moje warunki albo bardzo lekceważyć, albo bardzo...

— Bardzo kochać! — dodał żywo Cezaryusz i namiętnie ucałował mą rękę.

Ścisnęłam go serdecznie za rękę, bo mi serce w owej chwili tak uczynić kazało. Zdawało mi się, że coraz bliżej jestem marzeń moich!...

— I jakież warunki podajesz pani? — zapytał po chwili Cezaryusz z ożywioną twarzą.

— Warunki moje — odpowiedziałam, przechodząc w ton żartobliwy, — są nadto trudne...

— Gdyby tylko nie takie, jakie dano owemu patryarsze, który przy studni ujrzał piękną bogdanke!

— O tych warunkach tym razem nic nie mówię. Innym razem wrócimy do nich.

— Więc słucham z uwagą!

— Od lat wielu wymarzyłam sobie człowieka, obok którego mogłabym przejść całe życie. Nie przypominam sobie, czy to był blondyn, szatyn czy brunet. Nie wiem nawet, jakie miał oczy i jak się ubierał. Zapomniałam także, czy miał angielskie faworyty, czy hiszpańską bródkę. W marzeniach moich nie widzia-

łam go nigdy siedzącego na koźle angielskiego karykla i trzymającego z szykiem wodze w ręku. Słowem, nie wiem nawet, czy był piękny jak Apollo, czy brzydki jak Wolter...

— Jakżeś go przecież pani sobie wyobrażała?

— Wyobrażałam go sobie jako nadzwyczaj pocziwego i rozumnego człowieka. Nie był dumny z tego, co mu się przypadkiem dostało przez urodzenie lub sukcesą po stryjasku. Był tego przekonania, że wszyscy ludzie przychodzą na świat bez żadnych przywilejów. Wszyscy muszą przez cały ciąg życia pracować stosownie do warunków, w jakich się urodzili. Kto przy urodzeniu wziął więcej, musi więcej dać społeczeństwu, którego jest członkiem. Próżnować nie wolno nikomu, choćby miał zasoby na sto pokoleń! Słowem, człowiek mój wymarzony musiał się własną pracą w społeczeństwie czegoś dorobić i tym dorobkiem ze mną się podzielić! Inne dary, które go ani pracy, ani usiłowań przynajmniej nie kosztowały, a za które tylko nie swemi zapłacił pieniędzmi, były mi zawsze wstrętne. Mówię *nie swemi*, bo odziedziczonych tytułów i majątków nie zaliczam do zarobionych. Marzyłam, że mój przyszły ideał zdobędzie sobie to wszystko, z czego część i na mnie spłynie!...

— Ach! to są warunki niewykonalne! — zawołał śmiejąc się Cezaryusz.

— Być może — odpowiedziałam z obojętnością, — mówię tu tylko o moich marzeniach.

— Jakże okrutne były marzenia pani! Co najmniej, można je wziąć za anachronizm. Czasy, wyobrażenia zmieniają się... a gdzie dzisiaj, przy danych warunkach, znajdzie kto sposobność...?



— Masz pan słuszość; przy dzisiejszych wyobrażeniach najlepší i najkorzystniejszy jest dla mężczyzny być zerem... Ach! to zero, osobiwie gdy jest obrączką złotą, ma także bardzo wiele powabu! Ale zkądże się wezmą liczby? Przecież same zera żadnej liczby nie stworzą!

Twarz Cezaryusza spoważniała. Patrzył na mnie czas niejaki w milczeniu, a potem rzekł:

— W żartobliwém usposobieniu swójem trącasz pani o rzecz wielką i nader bolesną. Nie wiem, czy mam na nią w tymże samym żartobliwym tonie odpowiedzieć, i po téj odpowiedzi wrócić do deszczu i pogody, czy mam ją wziąć pod dojrzałą rozagę.

— Zostawiam to panu do wyboru.

— Słowa pani mają pozór noty dyplomatycznej, która bodaj czy nie mieści w sobie—*ultimatum*!

— Może to tylko alarm fałszywy, aby adwersarza zmusić do rozwinięcia sił swoich.

— A jeśli żadnych sił nie ma?

— W takim razie odebrane mu będzie jego panowanie!

Wymówiwszy to tonem żartobliwym rozśmiałam się serdecznie, bo zakłopotana twarz Cezaryusza mimowolnie ten śmiech z piersi mi wydarła. Patrzył przed siebie wzrokiem tak dziwnie zrozpaczonem, jak go jeszcze nigdy nie widziałam. Wydawał mi się w téj chwili podobnym do milionera, który sięgnąwszy do skrzyni, znalazł ją nagle pustą. Miliony jego skradziono, a co leżało, to były fałszywe liczmany, których przyjąć nie chciano.

— Czy zatrwożyłeś się pan tak okropnie o swoje panowanie?—zapytałam żartobliwie.

— Przeciwnie — odparł Cezarysz — zakłopotaniem się obawą, że dotąd nie panowałem, i że może na przyszłość panować nie będę!

— Cóż pana skłania do tych słów rozpacznych? — mówiłam dalej żartobliwym tonem.

— To, że jestem zerem! — przytłumionym głosem odparł Cezaryusz.

— Ach to już dobrze! — zawołam śmiejąc się i klaskając w dłonie; — to już dobrze! jeżeli jest zero, to potrzeba tylko jakąś liczbę przed nim położyć.

— Może tą liczbą będziesz pani! — zauważył zgryźliwie.

— Bardzo często to się trafia — odpowiedziałam z powagą. — Jeżeli mężczyźni nie stają liczbą przed zerem, to już ciż musi stanąć druga połowa. Ja tam jednak nie stanę.

Twarz Cezaryusza zmusiła mię znowu do śmiechu. Nie miałam wyobrażenia, żeby ktoś tak nagle mógł stracić pewność siebie, na której się dotąd opierał. Są wprawdzie ludzie, którzy bez grosza w kieszeni będą nosili zawsze głowę do góry, jakby byli bogaczami; a są tacy, którzy nagle spuszcza z rozpaczą głowę do ziemi, gdy spostrzegą, że zapomnieli wziąć z sobą pieniędzy. Wtedy, każdemu kto ich przekona, że jego zdanie jest lepsze, ustąpią z drogi, a nawet gotowi znieść pokornie obelżęwą zniewagę. W pieniądach bowiem stracili grunt, na którym opiera się u nich wszystko!

Do podobnych ludzi należał prawdopodobnie Cezaryusz. Gdy żartobliwie mu powiedziałam, że odziedziczonego przezeń majątku, bez własnej jego pracy i zasługi, nie uważam za majątek; gdy mu na-



pomknęła, że mężczyzna powinien własnymi siłami w społeczeństwie swoim dobijać się o drugi, moralny majątek, z którym mógłby się dopiero godnie podzielić z osobą ukochaną, był przekonany biedny bankrut, że już nic nie ma, że mu wszystko odebrała, a nawet i przyrzeczenie ręki!...

— Teraz panią zaczynam pojmować! — ozwał się po chwili, ociierając pot z czoła. — Dotąd brałem pojedyncze słowa pani za grę frazesów!

— Bo pan przyzwyczaiłeś się i wychowałeś w świecie frazesów! — zauważyłam z niejaką urazą.

— Być może; ale jakże to *fatum* odmienić?

I zaturbował się jeszcze sromotniej biedny Cezaryusz. Żał mu było pozbyć się swego niegodziwego sobowtóra, wyrosłego w świecie czczych formułek dwuznaczników. Wzięłam go za rękę, i budząc w nim stronę żartobliwą, rzekłam do niego:

— Nie żałuj pan tego światła! Nie tam niema, jak w dziurawym orzechu! Pójdź pan ze mną w mój świat, wprowadzie trochę idealnie wymarzony, ale świeży, wonny i zielony jak rośliny gór naszych!

— W świecie pani jestem zerem! — odparł rozpaczliwie Cezaryusz.

— Dlaczego zerem? — zapytałam nachylając się ku niemu.

— Dlaczego zerem?... Naprzód nie uczyłem się być czémś więcej, czyli raczej mnie nie uczono. Po wtóre, gdyby nawet w późniejszym wieku przyszła mi chętka nauczania się czegoś, jak Katonowi zachciało się na starość greczyzny, to nie widzę ani pola, ani warunków...

— O! nie patrz pan tak czarno — odpowiedziałam: — jest wiele rzeczy, napozór drobnych i małych. Potrzebujemy tylko ręką sięgnąć, a dostaniemy je! Tylko egoista stoi sam i nie widzi dokoła! Lepszy czują nici wiążące ich z ogółem!... Są słabsi od nas, są ciemni i małoletni, a ci wszyscy pragną światła, nauki i przykładu! Czy to tak wiele?... Jeden taki kwiatek, własną ręką na tém polu uszczknięty, stanie mi za wszystkie kwiaty egzotyczne... Bo to będzie własny, zrobiony majątek!... Dlatego na miejsce tego pysznego bukietu postawiłam ten skromny kwiatuś powoju, boś go pan sam z pomiędzy cierni wy dobył!... Za kwiaty egzotyczne zapłaciłeś pan tylko! Zapłaciłeś pieniędzmi, Neptunem i zdrowiem Pa welka!...

Cezaryusz siedział chwilę zamyślony; potem wstał nagle, wziął bukiet ze stołu, a otworzywszy okno, wyrzucił go na gazon.

W téj chwili podniósł się ojciec od kominka, przystąpił ku nam i rzekł głosem stanowczym:

— Mówcie sobie co chcecie, a ja wam powiadam, że z tego nic nie będzie!

— Z czego nic nie będzie? — zapytał Cezaryusz i zbladł widocznie.

— Przyjaźni w ten sposób się nie zawiéra — powiedział dalej ojciec — jeśli jedno koniecznie chce trucizny, a drugie dla podsyceń rojeń chętnie mu ją podaje!... Opium to trucizna!

— Któż chce téj trucizny, a kto ją daje? — zapytałam nieco zdziwiona.

— Głupi chce, a podstępny daje, i za to opium



chce jeszcze przyjaźni!...—odparł ojciec zgryźliwie.—  
Sądzę jednak, że do przymierza między Anglią a Chi-  
nami bardzo daleko, choćby Chińczycy jeszcze więcej  
opium konsumowali, niż Anglicy produkują!

Cezaryusz odetchnął, i serdecznie roześmialiśmy  
się oboje.

## XXII.

Nazajutrz zajęcia gospodarskie zbudziły mnie  
wcześniej niżeli zwykle. Ponad sine lasy właśnie  
wznosiło się słońce. Biała mgła wstawała z gór  
i prostym słupem pięła się do nieba. Topole na  
dziejniecu błyszczały milionami kropli rosy. Z po-  
między konarów wymykały się ptaki jeden po drugim  
i szykowały się do wielkiego chóru, który wkrótce  
miał się ozwać poranną pieśnią!...

Oprócz czeladzi wszystko jeszcze było pogrążone  
we śnie. Zbliżyłam się do okna i kilka chwil patrzy-  
łam na ten uroczy, budzący się przedemną obraz.  
Tam w głębi wypłynęła i przesunęła się jakaś postać  
ludzka. Zabłąkana krówka stanęła na chwilę i szu-  
kała oczyma towarzyszek. Stary Mucek wyprawiał  
po gazonie rozkoszne skoki, jakby przeczuwał, że za  
lada chwilę skończy się jego swoboda, i że znowu na  
cały dzień boży będzie musiał powrócić do obroży  
i łańcucha.

Stałam chwilę i napawałam się tym porannym  
widokiem. Wzrok mój padł wreszcie na oficynę, gdzie  
mieszkał Cezaryusz. Zazwyczaj dosyć długo na dzień



były tam firanki w oknach spuszczone; dzisiaj spostrzegłam z niemalém zadziwieniem, że okna były już odsłonięte.

Uderzyło mnie to. Przypominałam sobie wieczór wczorajszy; zatrzymałam się przy oknie i patrzyłam na drzwi oficyn.

Za kilka chwil otworzyły się drzwi, a na progu ukazał się Cezaryusz. Zdawało mi się, że przelotnie spojrział w moje okno, potem spuścił głowę, i jak człowiek, który nad czémś myśli, puścił się pierwszą lepszą ścieżką.

Ukryta poza kwiatami wiodłam za nim okiem. Przeszedł wzdłuż dziedziniec dwa razy, jakby żadnego celu wytkniętego nie miał; potem zwrócił się na prawo i wszedł na ścieżkę, która prowadziła w dziki, osamotniony wąwóz.

Przeczułam, że prawdopodobnie wspomnienia wczorajszego wieczoru zbudziły go tak rano, a może nawet i wcale mu w nocy spać nie dały. Przeczułam, że w tej chwili myśli o mnie, że rozbięra i tłumaczy sobie każde słowo, które wczoraj napół żartem, napół z powagą wymówiłam. Zawsze była to dla mnie chwila ważna. Mogłam z tych samotnych dumań wyjść piękniejszą i bardziej upragnioną; lecz mogłam oraz stracić w jego oczach cały urok i okazać się tylko egzaltowaną, kapryśną istotą, która sama nie wie czego chce od świata i ludzi...

Przyznam się, że myśl ostatnia nabawiła mnie niejakięj obawy. Czy to była próżność kobiety, czy jakie szlachetniejsze uczucie, nie umiem powiedzieć. Serce zaczęło mi bić niespokojnie. Słyszałam głos w duszy:

— Cóżby to było, gdyby Cezaryusza zniechęciły wczorajsze moje słowa? Gdyby uczuł obawę przedemną, że zamiast kochającej kobiety weźmie sobie mentora, który ustawicznie kroki jego poprawiać będzie? Gdyby rozmyśliwszy się... nie, to być nie może! Wszak on widocznie mnie kocha!... Ale czyż to wystarcza mężczyźnie, jeżeli on sam tylko kocha, a z przeciwniej strony nie widzi dla siebie wzajemnego, bez żadnych zastrzeżeń oddanego mu serca? Czyż nie poczyniłam wczoraj wyraźnych zastrzeżeń?...

Wyznam otwarcie, że przy takich myślach zrobiło mi się bardzo smutno. Nie wiem, czy mi żal było siebie czy Cezaryusza; wiem tylko, że nie byłam z siebie zadowolona i że na płacz mi się zbierało, gdym sobie proroctwo stryjenki przypomniła, że przy usposobieniu mojem nie będę szczęśliwą!

Cóż jednak miałam począć? Czyż miałam wprost oddać się Cezaryuszowi, jako towar nieznany? Czyż nie lepiej było powiedzieć mu, czém jestem, i czém on dla harmonii na przyszłość być powinien?

Odstąpiłam od okna i zbliżyłam się do klęcznika; klęcznik ten był spuścizną po nieboszczce matce. Na nim nieraz matka moja przeklęczała długie godziny nocy, gdy niepewność o moje przyszłe losy ją trapiła...

Na tym klęczniku ukłękłam i zaczęłam gorąco się modlić. Dziękowałam Stwórcy, że mię taką stworzył a nie inną, ale oraz błagałam, aby mnie osamotnionej nie zostawiał na świecie, aby moje uczucia i pragnienia przelał w duszę mego przyszłego towarzysza, abyśmy oboje całkowitą harmonię stanowić mogli...

Po modlitwie uczułam się pokrzepioną, i mogłam swobodnie udać się do zatrudnień domowych.



Przed południem ojciec wrócił z pola na śniadanie; prawie równocześnie, chociaż inną zupełnie drogą, nadszedł także Cezaryusz. Po przywitaniu się, spojrzałam na niego z trwogą i nadzieją, nie wiedząc co z jego twarzy wyczytałam. Zdawało mi się w tej chwili, że ten człowiek nie był i nie może mi nigdy być obojętnym. Czy to już była owa miłość, o której marzyłam? Zdawało mi się przynajmniej, że się do niej już zbliżam...

Cezaryusz był dzisiaj blady na twarzy. Widać było, że prawdopodobnie spędził noc bezsennie. Na jego czole pozostały ślady myśli poważniejszych. Koło ust miał coś smutnego, jakby czuł żal do kogoś, co mu krzywdę wyrządził.

Miałam sobie za obowiązek wypogodzić jego czoło. Serce mi wyrzucało, że może za dotkliwie wypowiedziałam mu wczoraj swoje zdanie. Nie chciałam tego zdania cofnąć, ale chciałam je okryć jakimś łagodzącym balsamem.

Spojrzałam na niego wzrokiem szczerym i przyjaznym. Mógł w moich oczach jasno czytać, że tam głębiej biło dla niego serce, które wczoraj może jeszcze tak żywo nie wypowiedziało tego co czuje.

Cezaryusz badał mnie dziwnym spojrzeniem. Było w tém spojrzeniu jakieś niedowierzanie, był żal i smutek, ale oraz wychylała się z poza tych chmurek, jaśniejąca pięknymi barwami nadzieja...

Ośmieliłam tę nadzieję i pozwoliłam jej zająć pierwsze miejsce; ścisnęłam go serdecznie za rękę i rzekłam z uśmiechem:

— Sprawileś mi pan wielki niepokój. Widziałam pana rano wychodzącego z oficyn...

— Jakto?—podjął szybko Cezaryusz—pani wtedy już nie spałaś?... Wszak w oknie nikogo nie widziałem!...

— Prawda, że nie widziałeś pan—odpowiedziałam patrząc na niego — i nigdy może w podobnym razie pan mnie nie obaczysz! Kobiety nie lubią być widzianymi wtedy, gdy patrzą... z niepokojem serca!...

Twarz Cezaryusza rozjaśniła się, oczy jego błysnęły nowym życiem. Postąpił szybko ku mnie, wziął mnie za rękę, trzymał ją w milczeniu chwil kilka, a potem wycisnął na nią gorący pocałunek.

Patrzyłam w oczy Cezaryusza, i widziałam jasno, z dumań jego samotnych wyszłam zwycięzko. To obowiązywało mnie względem zwyciężonego. Byłam dla niego tak serdeczną, jak tylko mogłam. Rozmawialiśmy wiele z sobą, a przy każdej sposobności okazywałam mu dawne moje uczucie, a nawet może jeszcze więcej, niżeli to być mogło przed wczorajszą rozmową. Zdawało się, że nawet myśli jego uprzedziały, tak dziwnie wszystko się wiązało.

Cezaryusz był mniej ożywiony niż zwykle. W jego twarzy i oczach było coś gorączkowego. Był podobny do człowieka, który przygotował się na coś gorszego od tego, co go spotkało. Oddychał pełną siłą, z przepelnionego serca. Często brakowało mu tchu. Po każdym głębszym westchnieniu patrzył nie spojrzeniem, w którym czytać można było, że jest szczęśliwy!

Gdyśmy byli w ogrodzie, a Cezaryusz małemu robaczkiwki pomagał wyleźć na korę drzewa, po której snadź do słońca dążył, patrzyłam niejaki czas z uwagą na niego; potem wzięłam go za rękę i rzekłam:

Wiktorya Regina.



— Widzę, że po nocy bezsennéj i samotnéj przechadźce, jesteś pan weselszym a nawet i lepszym!

— Ach! noc okropna karmiła mię tak czarnemi obrazami, a słońceienne wróciło mi w dwójnasób to, co noc odebrać chciała!

— I dlatego temu robaczkowi chcesz pan także słońca udzielić?

— Ażeby ono dla niego mogło być tém, czém dla mnie!

W téj chwili otwartą furtką od ogrodu, której Cezaryusz zamknąć za sobą zapomniiał, weszła biedna, mała dziewczynka, i w milczeniu stanęła przed nami. Jęj duże czarne oczy patrzyły na nas z niemą prośbą: była to sierota ze wsi.

— A temu robaczkowi nie pomożesz pan do słońca i światła?—zapytałam biorąc sierotę za rękę.

Cezaryusz patrzył na mnie czas niejaki, a po czole jego przebiegały różne myśli. Zapewne były piękne i szlachetne, bo zostawiały za sobą w przebiegu świetlaną, fosforyzującą drogę. Wreszcie wziął sierotę za drugą rękę i odparł:

— Pozwolisz pani, że ta dziecina stanie się pierwszym groszem owego kapitału, którego każesz mi się dorabiać, aby być jęj godnym. Niech przynajmniej powiem do siebie, że w téj chwili nie jestem już ubogim, jakim byłem wczoraj przed wieczorem!... Aż tak, dę prawdziwym bogaczem, jeżeli posiadę to serce. Iac rego, jak to się przekonałem, dotąd jeszcze w całos posiadać nie byłem godzien!

Podniósł rękę moję i długo, długo trzymał ją przy ustach. Czułam jego gorący oddech, czułam jak drżały w nim wszystkie nerwy. Ścisnęłam go ser-

decznie za rękę, a oczy mi zaszły łzami. Wyrzekłam urywanym głosem:

— W imieniu tych, którzy naszej opieki potrzebują, w imieniu najżywoźniejszych obowiązków naszych, dziękuję panu za pociechę, którą sercu memu sprawiłeś!... Sierotka ta nie będzie jedyną. Pomyślimy wspólnie o wszystkich jęj rówieśnicach, i postaramy się o ciepło i o światło dla nich!... Wierżaj mi pan, są drobne i małoznaczne końce nici, które nas prowadzą do całego pasma! Chcąc zawładnąć całém pasmem trzeba chwytac te nitki wiszące!

Kiedy tych słów domawiałam, czułam, że moja ręka zniżala się ku ziemi. Spojrzałam na ziemię, a przedemną—klęczał Cezaryusz i rękę moję całował!

Była to pierwsza, żywsza chwila w naszych dzieciach.



XXIII.

Od tego czasu ujrzałam wielką zmianę w usposobieniu Cezaryusza. Z człowieka żyjącego tylko gładkimi formami świata towarzyskiego, przeobrażał się z wolna w człowieka naturalnego i głębiej myślącego.

Naprzód sam ubiór okazywał jego wewnętrzną odmianę. Dawniej lubił obwieszać się mnóstwem wyszukanych a błyskotliwych drobnostek. Drobnostki te przez cały dzień tworzyły jego jedyną zabawkę. Bawił się to lornetką, to brelokami, to łańcuszkiem od zegarka, to jakimś medalionikiem. Naśladował pod tym względem chodzące salonowe automaty, które nie wiedzą co z życiem, a co z rękoma zrobić. Również i w kolorach ubrania swego był nieco fantastyczny i przestrzegał tego punktualnie, aby co dzień, stosownie do tużurka, zmieniać cały ubiór. Słowem co do całej swojej powierzchowności pozował on na powszedniego konkurenta czy narzeczonego, któremu się zdaje, że serce narzeczonej tylko tym sposobem może zająć i na uwiezi trzymać, jeśli codziennie w jaskrawszój będzie się jej ukazywał tkaninie.

Cezaryusz stawał się z każdym dniem naturalniejszym. Ubiierał się tak, że nie jego ubiór, ale on sam, twarz jego najpierw w oczy wpadała, żadne błyszczące i jaskrawe akcesorya nie czyniły jej ujemy.

Gdy kiedykolwiek do mnie się zbliżył, widziałam najpierw twarz jego i wyraz na tej twarzy, nie zaś błyszczące breloki, złociste medalioniki, kamizelkę w jaskrawe pasy albo wykwintny tużurek.

Nawet co do całego obejścia się ze mną, zmienił się zupełnie. Pierwój w rozmowie gonił nieustannie za jakimś dowcipem, zręcznym kalamburem, i przypominał mi mimowolnie owe smutnej postawy pisma, które mają napis na czele: „pismo humorystyczne i dowcipne!...“ Zdawało mu się, podług jego wychowania, że najpoważniejsze rzeczy potrzebują zawsze nieco uśmiechu sarkazmu, ironii i dowcipu. Bez tej mikstury nie wolno nigdy mówić światowemu człowiekowi, bo to rozśmiesza. Zresztą narzeczony powinien być esencją tych wszystkich reguł i foremek, przynajmniej na ten czas, który go jeszcze od ślubu oddziela.

I Cezaryusz pozował zrazu na takiego narzeczonego. Teraz jakoś wyszedł z roli swojej. Mówiliśmy z sobą po długich wieczorach bez obowiązkowego uśmiechu, bez nieuniknionego sarkazmu, a nawet na dowcip dobry rzadkośmy mogli się zdobyć. Za to mówiliśmy wiele o różnych projektach na przyszłość, i po raz tysięczny omawialiśmy sposoby, któreby nas najbliższą drogą do tego celu zaprowadzić mogły, który nam w osobie biędnej sieroty tak żywo w ogrodzie wtenczas stanął przed oczyma!

Udało mi się także pogodzić Cezaryusza z dusz-



na atmosferą mojej biblioteczki. Rano, gdym jeszcze spała, siedział już między memi książkami i czytał. Idąc do oficyny, brał je z sobą i tam późno w noc był niemi zajęty. O dniu ślubu naszego nic nie wspominał, jakby sam był przekonany, że przedtém jeszcze wiele uczynić mu wypada.

Za kilka tygodni przyjechała do nas Ewunia. Korzystając z pierwszej sposobności, rzekła do mnie:

— Nie rozumiem i nie pojmuję, jaki talizman masz przy sobie. Stwarzasz i przetwarzasz ludzi jak ci się podoba. Stanisław nie może się wydziwić, co się stało z Cezaryuszem. Niktby go nie poznał teraz. Człowiek używający świata, zamożny i skoligacony, radby zerwać wszystkie z większym światem łączące go ogniwa, aby tylko z tobą w kurnych chatkach nad poprawą ich mieszkańców marzyć. Pozabierał Stasiowi wszystkie poważniejsze książki, których nikt nie czytał, i rozczytuje się teraz w nich po całych nocach, aby się czegoś więcej nauczyć. Nawet ambicja, jakiej nigdy nie miał, budzi się w jego sercu. Wczoraj mówił do Stasia, że musi wejść w czynne życie społeczeństwa, bo tak być próżniaczem zerem już dalej nie może! Nalegał nawet na Stasia, aby to samo uczynił i prawil mu z tego powodu kazania, podobne zupełnie do kazań Skargi!... Gdybyś Reniu mnie tego sekretu nauczyła?

— Wszak ty jesteś szczęśliwa! Stasio twój wystarcza ci!—odpowiedziałam z udaną obojętnością.

W oczach Ewuni zaświeciły łzy. Niechcąc ich okazać, zbliżyła twarz do mnie i gorąco mię ucałowa-

ła. Ucałowałam ją serdecznie nawzajem, i tuliłam długo do siebie, bo czułam po jej łkającej piersi, że mego cieplejszego uścisku bardzo potrzebuje!

Biędna Ewunia! W téj chwili byłam szczęśliwsza od niej!



#### XXIV.

**O**dnio ślubu naszego nie mówiliśmy w ostatnich tygodniach z Cezaryuszem. Zdawało mi się, że po tym dziwnym zwrocie w dziejach serc naszych, stracił odwagę wzięcia w tym względzie inicjatywy. Czekał, aż sama o tém mówić będę. Tylko przez Stanisława i Ewunię dowiadywał się nieznacznie, jakie w téj mierze jest moje zdanie. Dałam mu tą samą drogą do poznania, że życzeniem mojem jest, aby to w tym roku jeszcze nie nastąpiło.

Wybierając się do nas, urządził się Cezaryusz tak, aby w razie niepowodzenia mógł wprost wyjechać za granicę, dłuższy więc pobyt u nas nie czynił mu żadnej różnicy. Mimo to w ostatnim tygodniu otrzymał listy z domu, które wymagały jego obecności w majątku. Zachęciłam go sama do tego: raz, aby mu dać swobodę i zupełną w téj mierze niezależność od siebie; powtóre, chciałam przez rozłączenie nasze wytworzyć dla niego i siebie nową sytuację, która w dziejach dwojga serc jest zbawienną potrzebą.

Cezaryusz żył dotąd, oddychał i marzył pod wrażeniem mojej obecności. Mogę to samo i o sobie wza-

jem powiedzieć. Rozłączenie się nasze na czas niejaki, mogło dla niego i dla mnie być nie małą korzyścią. Wyszedłszy po za atmosferę mego wpływu, mógł z większym spokojem myśleć o mnie i o tém wszystkim, co się do mnie ścigało. Mógł ze światem poprzednim zawiązać na nowo stosunki i przekonać się, czy miłość dla mnie może te stosunki opanować i wśród nich stać się konieczną potrzebą życia. Sądziłam, że na tém nie stracić nie powinnam, a jeżeli bym straciła, to strata taka jest zawsze dla kobiety nieocenionym zyskiem. Lepiej przeboleć chwilę, niżeli płakać całe życie.

Dla siebie pragnęłam także téj swobody. Miłość może się wprawdzie od szalu zacząć, ale dojrzewa do najwyższej potęgi tylko w duszy uspokojonej. Rozszalałe serce może na razie być zdolne do wielkich poświęceń, ale miłość zamieszkała w sercu spokojnem, przetrwa życie i sięgnie poza grób!... Tego uspokojenia i téj niezawisłości serca pragnęłam.

Z końcem sierpnia pożegnałam Cezaryusza. Odprowadziłyśmy go z Ewunią aż poza las, i tam na wzgórzu rozstałam się z narzeczoną. Żegnając się ze mną, miał łzy w oczach. I moje oczy nie były suche...

Gdyśmy wracały do domu, mówiła do mnie Ewunia:

— Sądziłam, że ty nigdy kochać nie będziesz. Wydawało mi się, że jesteś bez serca. Żyłas tylko wyobraźnią i rojeniami. Teraz widzę, że nie tylko sama kochasz, ale nawet innych umiesz natchnąć uczuciem, o jakim dawniej nie marzyli! Jasno jak na dłoni, że Cezaryusz przy tobie stał się zupełnie in-



nym człowiekiem. Nie czynię teraz z tego żadnej tajemnicy przed tobą, że twój narzeczony zupełnie innym człowiekiem zbliżał się do ciebie. On chciał się poprostu ożenić, aby być w tym względzie do innych podobnym, a ty wróciłaś mu młodość jego, młodość serca i duszy. Przy tobie żyje po raz drugi. On który już wybornie czytać umiał, uczy się dopiero sylabizować!

Na to szczebiotanie Ewuni nie odpowiedziałam. Byłam zamysloną, i jakiś dziwny smutek owdął serce moje. Tłumaczyłam go sobie bardzo naturalnie. Każde rozstanie się ze znajomymi napawa nas tym przykrém uczuciem, a cóż dopiero rozstanie się z narzeczonym?...

W pierwszych dniach zajęłam się gorliwiej gospodarstwem domowem. Również wyprawa zabierała mi wiele czasu. Ojciec mój nie należał do tych ludzi, którzy odrazu z zagranicy wyprawę sprowadzają. Życzył sobie, aby wyprawa przygotowywała się zwolna, o ile to być może, pod mojem własném okiem. Chciał tym sposobem grosz u swoich zostawić, a przytém i mnie czegoś pożytecznego nauczyć. Wiele dla tego rzeczy szło się w domu, z czego i ja korzystać mogłam.

Nie było dnia, aby po coś nie trzeba było wyjechać do pobliskiego miasta. Mniejsze sprawunki załatwiał ktoś z domowych, a z ważniejszymi jechałam sama, albo najczęściej w towarzystwie Ewuni, dla której podobne przejażdżki były wielką rozrywką.

Pewnego dnia pojechaliśmy obie do miasta. Dzień wrześniowy był dosyć ciepły i pogodny. Ewunia szczebiotała ustawicznie o mojem szczęściu, o mo-

jój przyszłości. Opowiadała mi po raz setny treść listu, który Cezaryusz pisał do Stanisława. Rozumie się, że w tym liście tylko o mnie mowa była. Ewunia umiała każde jego słowo na pamięć i snuła z niego całą złotą przyszłość moją.

Mówią zazwyczaj, że serce przeczuwa każde większe nieszczęście. Snadź nic mi w téj chwili nie groziło, bo miałam w duszy taką samą pogodę, jaka jaśniała na ciemno szafirowém niebie nademną.

W mieście wypadło nam odwiedzić kilka sklepów. Przeszliśmy się parę razy po ulicach, a to już wystarczyło, aby zwrócić na siebie uwagę większej części mieszkańców. Słyszałam jak za mną mówiono i pokazywano palcami. W twarzach, które na mnie patrzyły, widziałam ciekawość ale oraz i życzliwość. W oczach wszystkich czytałam, że są przekonani o mojem szczęściu, i że tę szczęśliwą osobę zbliżka oglądać chcieli. Osobliwie ciekawemi okazały się kobiety.

Już po południu weszliśmy do sklepu modniarki, aby kilka haftów według podanych wzorków zamówić.

Modniarka była to osoba już nie młoda. Uważając jednak za swój obowiązek służenia wyrobom swoim za manekina, ustroiła się w najrozmaitsze i najświeższe koncepta mody miasta obwodowego.

Ewunia zwróciła na to moję uwagę, i wprowiło to nas w jeszcze lepszy humor. Rozumiałyśmy się spojrzeniami i śmiały się w duchu.

W ogóle u kobiet tego miasta widziałyśmy bardzo mało gustu w ubraniu. Moda, owa panująca forma estetyczna, wyradzała się najczęściej u nich w ja-



kieś dziwactwo ekscentryczne. Między jednym a drugim ubraniem nie było najmniejszej harmornii. Wszystkie tam miało swoje przywileje autonomiczne: kapelusz był sam dla siebie i nie troszczył się wcale o kolor sukni lub zarzutki; tę samą swobodę wywalczyły sobie i inne części ubioru, zacząwszy od rękawiczek, a kończąc na bucikach.

Jedna tylko kobieta wpadła mi zdala w oko całą swoją postacią. Była w kolorze jednostajnym—popielatym. Ubiór jej należał do skromnych, ale świadczył o tak wysokim zmysle estetycznym, że wydała mi się jak zabłąkana z innych sfer ptaszyna. Przeszła zdala koło nas z całym powabem naturalnych, a tym samym jedynie pięknych ruchów kobiecych. Zwróciłam na nią uwagę Ewuni, która wprawniem okiem odgadnąć w niej chciała osobę tak zwanego wyższego towarzystwa. Ewunia pod tym względem hołdowała przesądom, które temuż wyższemu towarzystwu nadają wyższe zewnętrzne przymioty. Wkrótce jednak straciłyśmy z oczu tę piękną, popielatą postać kobiety.

Wszedłszy do modniarki, przekonałam się, że z tak mętnego źródła czysta woda płynąć nie może. Naturalnie byłam w świątyni mody, z której na całe miasto wychodziły natchnienia. Biedneż to były owoce tych natchnień!

Obejrzałyśmy z Ewunią wiele rzeczy, bo to sprawiało dla niej zawsze wielką rozrywkę; umiała ona w takim razie sztukę modniarską w najskrytszej tajemnicy podpatrzeć i potem korzystać z tego dla siebie.

Wreszcie przystąpiłyśmy do właściwego celu naszych odwiedzin. Okazałyśmy wzorek haftu i zażą-

dałyśmy takiej roboty. Modniarka wyjęła różne hafty, ale były to po większej części jakieś rysunki monstrualne: nie przyjęłyśmy żadnego i chciałyśmy według danego wzoru zamówić.

Zdaje się, że to nie podobało się modniarce. Chciała przede wszystkim pozbyć się gotowego towaru; z kwaśną więc miną powiedziała nam, że w całym mieście nic piękniejszego nie znajdziemy, a na zamówioną robotę nie ma czasu: liczyła zapewne na to, że nam haftu koniecznie potrzeba, i że będziemy zmuszone wziąć jej olbrzymie palmy o najeżonych cierniach.

Kiedyśmy się z Ewunią nad tem co dalej będzie naradzały, otwarły się szybko drzwi sklepu, i przed nami stanęła kobieta w popielatej sukni.

Dziwnego doznałam w tej chwili uczucia. Nie wiem, czy to była próżność kobiety, że podług wszelkiego prawdopodobieństwa stanęła obok mnie istota piękniejsza odemnie?... Czy to było jakieś ciemne, niejasne przypomnienie?... Ewunia wzięła się natychmiast do przeglądania całego jej stroju. Z wyrazem krytyka zaczęła od falbanek dolnych i szła powoli po wszystkich szwach i fałdach, aż do końców welonika.

Co do mnie, nie widziałam wcale tych ornamentów. Wpatrzyłam się w całą tę postać, a patrzyłam wzrokiem nie obojętnym, bo zbliżenie się tej kobiety ogarnęło mnie dziwnem uczuciem.

Nieznamoma zatrzymała się o dwa kroki przed nami. Ruchy jej znamionowały osobę młodą i nadzwyczaj żywą. Spojrzała na nas z pewną uwagą. Z pod czarnej koronki zabłysły ku nam duże, wyraziste oczy.



Stała tak chwilę. Snadź czuła jakieś zmęczenie, bo jedną ręką oparła szybko o stół modniarki.

Po kilku chwilach pierś jęj zaczęła powoli się podnosić. Rzuciła w tył głowę i wyprostowała się, jakby na nas z góry patrzeć chciała. Nie wiedziałam, co jęj w obec nas kazało przybrać pozę tak dumnej, a nawet harděj kobiety.

Wreszcie wyjęła z zarękawka drobnutką rączkę, błysnęła nią przed naszymi oczyma i twarz odsłoniła.

Rzeczywiście przeczułam dobrze. Była to piękność znakomita, a nawet rzadka w swoim rodzaju: twarz blada, nadzwyczaj regularnych rysów; koloryt akwarelowy, lekko i przezroczysto narzucony; włosy bujne, jasne, ożywione, jakby zachodnie słońce je oświecało; do tego jako precudny kontrast, oko duże, ciemno-szafirowe. Twarzy tēj odpowiadała cała postać, w której wąłość kształtów walczyła dziwnie z widoczną energią.

Patrząc na nas, czyli raczėj pozwalając nam się wpatrywać w swe kształty, dziwny okazywała widok: oczy jęj zaczęły jeszcze mocniėj ciemniėj, czoło przybierało zwolna ton świeżego bronzu; usta bladły i zaciskały się coraz więcej... Na chwilę okrasila się ję twarz żywym rumieńcem, a potém zbladła nagle jak ściana.

Chciałam w tēj chwili zapytać jęj, czy nie jest chora,—lecz nagle zarzuciwszy koronkę na twarz zwróciła się ku drzwiom i wyszła. Wyrzuciłam jeszcze przez szklane drzwi za nią, ale tylko szary brzeż jęj sukni mignął mi na skrócie ulicy.

Ewunia natychmiast zapytała o nią modniarki.

Modniarka miała dość kwaśną minę, żeśmy nie kupiły. Odpowiedziała z niechęcią:

— To obywatelka ze wsi.

Więcej nic nie mogliśmy się dowiedziėj; zresztą nie wypadało wypytować się o kogoś, kto nas zbyt mało obchodzi.

Wyszedszy na ulicę, szłyśmy długo obok siebie w milczeniu; szara kobięta zajmowała nasze wyobrażenie. Co mogło być powodem tego dziwnego patrzenia na nas? Czy może to jaka obłąkana? Dlaczego koleją rumieniec i bladść występowały na jęj lica?

Takie pytania zadawałyśmy sobie najprzód w duchu, potém zaczęłyśmy mówić o tēm, ale nie mogliśmy w żaden sposób rozwiązać zagadki.

Wreszcie wszystkie nasze wnioski psychologiczne musiały ustąpić potrzebie zamówienia gdzieś haftu. Obeszłyśmy znów kilka sklepów, i znużone wróciłyśmy do hotelu, nie załatwiwszy gorącėj sprawy haftów.

W hotelu, jak to zwykle bywa, wszedł zaraz do nas Żydek usłużny i ofiarował swoje usługi.

Napół żartem objawiła mu Ewunia kłopoty nasze o hafciarkę, i aby uczynić scenę tę humorystyczniejszą, okazała Żydkowi przywiezione wzorki, tłumacząc mu pojedyncze linie i przezrocza.

Pocziwy Żydek patrzył na wzorki z nadzwyczajną powagą. Żarcik Ewuni wziął na seryo; kazał sobie jeszcze wytłumaczyć niektóre zygzaki i punktowania, włożył rękę w brodę i tak czas niejaki długo myślał: wreszcie uderzył ręką w czoło, jakby tam coś mu zaświtało, i rzekł:

— Jest tu jedna co to zrobić może, ale trzeba



do niej iść, bo ona tu nie przyjdzie! Ja nieraz już do niej chodziłem.

— A więc chodźmy, póki czas jeszcze — rzekła Ewunia, i pociągnęła mnie za sobą.

Z niechęcią poszłam za nią. Jakoś mi nieprzyjemnie było, że mnie oderwała od różnych dumań moich; zadumałam się bowiem w tej chwili. Różne obrazy przesuwały się przedemną: jedne były piękne i pojętne, drugie smutne i szare, jak suknia owój nieznajomój...

Szłyśmy długą ulicą. Przed nami biegł Żydek i oglądał się co chwila, czy mu nie uciekniemy. Kiedy niekiedy machał ręką przed siebie, jakby chciał nam powiedzieć, że już niedaleko jest cel naszej wybieczki.

Tymczasem ten cel był strasznie oddalony. Szłyśmy bez ustanku może godzinę; wreszcie już i miasto dawno się skończyło, a tylko małe pojedyncze domki widać było tu i owdzie.

Do jednego z takich domków wprowadził nas Żydek. Weszłyśmy przez pochyłą bramę naprzód do ogródka. Zaraz za bramką złapał nasz cicerone jakiegoś małego chłopaka o jasnych włosach, który piłką się bawił i zapytał go o coś, czego nie mogłyśmy słyszeć. Chłopiec zamiast odpowiedzi wskazał małą altankę, utworzoną z tyk leszczyny i ocienioną zielonemi splotami fasoli. Zwróciłyśmy się do tej altany. Na odgłos naszych kroków wyszła ku nam — szara ko-  
bieta.

Miała oczy czerwone, jakby od płaczu. Obaczywszy nas, wyprostowała się z dumą i zapytała

dźwięcznym głosem, czego żądamy? — Ewunia odpowiedziała jej na to.

Szara nieznajoma stała czas niejaki i patrzyła na nas z wielką uwagą. Jej twarz drgała jakby cierpiała konwulsje; wreszcie rozśmiała się cierpkim śmiechem, a uczyniwszy gest ręką, abyśmy szły za nią, rzekła do siebie półgłosem:

— Nie, to istna ironia losu!



**P**rzeszliśmy wzdłuż cały ogródek. Był to zwykły przedmiejski ogród, już z dawnych czasów dosyć zaniebany. Tu i owdzie widać było ślady, że niegdyś służył za przybytek jakiś zamożniejszy rodziny. Prawdopodobnie jakiś stary szlachcic, zyciem miejskiem znudzony, albo klęską powszechną z rodzinnego gniazda wygnany, przyszedł do miasta i przytulił się do ostatnich jego zabudowań. Kawałek pustego gruntu zasadził drzewami, a wśród nich postawił drewniany dworek z małą facyatką i gankiem wystającym. I przeżył tutaj prawdopodobnie resztki życia w osamotnieniu, chodząc codziennie na modlitwę do pobliskiego kościółka, albo otoczony liczną rodziną, patrzył z tego ganku ze zgrozą w przyszłość niedaleką, gdzie potomkom jego zabraknie korzystnych przywilejów, a w braku ich będą musieli zniżyć się do pracy osobistej, aby sobie na kawałek chleba zarobić! Może owa szara nieznajoma, której dziwna postać takie wrażenie na nas sprawia, jest wnuczką albo prawnuczką owego pierwszego mieszkańca tego dworku, który tu powoli zamierał, nie mając nic przed sobą, a wszystko za sobą!...

Podobne myśli przychodziły mi do głowy, gdyśmy szli wzdłuż ogrodu. Zapewne nie jedna burza przeszła po nad tym dworkiem i po nad temi drzewami sędziwemi. To, co pierwszy mieszkaniec tutaj dla przyjemności i wygody postawił i posadził, służyło prawdopodobnie jego potomkom za jedyny środek do życia. Drzewa dostarczały mu owoców, ale nie dla niego. Sprzedawał je zapewne, aby za nie kupić chleba i soli. Ziemię pokopał w grządki i zagony, aby najpotrzebniejszej strawy powszedniej dostarczała. I postawiła dworek o ścianach nachylonych mieścił niegdyś kilka rodzin, jak to widać było z okien w rozmaitych sposobach pomalowanych.

Dzisiejsi mieszkańcy prawdopodobnie niedawno tu przybyli. W ogródku widać było dopiero usiłowania, aby tej pustce nadać jakiś lepszy pozór. Wprawdzie większą część ziemi przeznaczono na różne warzywa, ale nie zapomniano także o tém, aby i oko mogło się czém pożywić. Korzystano z każdej piędy i zasadzono kwiaty. Zagony i ulice przyprowadzono także do porządku. Na odnowienie tylko domku nie stało jeszcze albo czasu, albo pieniędzy. Stał smutny i oszarpany jesiennymi słotami.

Weszliśmy do sieni. Szara nieznajoma otworzyła drzwi i zatrzymała się chwilę na progu, aby znajdującym się wewnątrz mieszkańcom dać czas do uprzątnienia różnych zawał.

Ciepła para uderzyła nas w oczy. Weszliśmy z Ewunią do pierwszej izby.

W izbie było mnóstwo rzeczy, potrzebnych do ubrania kobiecego. Białe kołnierze i kołnierzyk, czepki i zarękawki leżały w bezładzie wielkimi stosami.



Podeszła kobieta, z surowym wyrazem twarzy, stała przy stole z żelazkiem w ręku do prasowania. Nie patrzyła wiele na nas, zajęta swoją robotą. Chciałam ją pozdrowić, ale nie mogłam uchwycić żadnego jej spojrzenia. Byłyśmy dla niej tak obojętną rzeczą, jakby nas wcale w izbie nie było.

Całe jednak jej ułożenie świadczyło, że nie zawsze była tą pracą zajęta. Przyszła mi dziwna myśl do głowy, że może ta kobieta była niegdyś uprzejmą i uwielbianą gospodynią domu, która gości swoich witała z czarującym uśmiechem na ustach, z błyskotnym dowcipem w każdym słowie. Rój wielbicieli otaczał ją do koła, w ich oczach była i piękna i mądra!...

Dziś się wszystko zmieniło! Zmarszczki pokryły jej twarz; ubóstwo zabrało wszystkie świecidełka. Rój trutniów rozleciał się na cztery wiatry, i cóż jej zostało?—Oto praca, tylko praca! Zajęta pracą nie widzi już świata przed sobą! Obojętni są jej goście, bo ona się dzisiaj już nie bawi, ale pracuje. Praca musi się wyrzec wszystkich form towarzyskich, bo nie staje na nie czasu.

Weszliśmy do drugiej izby. Tam był już większy porządek. Przy stoliku koło okna siedziały dwie młode dziewczynki i szyły. Przy nich leżały kawałki płótna, a na oknie kilka książek. Podłoga była czysta, stołki białe umyte.

Dziewczynki spojrzały przełotnie na nas i zaraz wróciły do pracy. Szara nasza przewodniczka podziękowała je serdecznym uśmiechem i otworzyła trzecie drzwi. Weszliśmy za nią z Ewunią.

Był to mały pokój. Na ścianach widać było ślady dawnego malowidła. W kącie za parawanem

stało skromne, białą pościelą okryte łóżko. Koło okna mały stoliczek, na którym opierała się szafka z książkami.

Całą moją uwagę zwrócił fortepian. Był to instrument jednego z najznakomitszych fabrykantów. Utwierdzał on moje przelotne domysły, że mieszkańcy tego dworku schronili się tutaj zapewne po jakiejś przebytej burzy.

Nie szukałam zbyt daleko przyczyny takiej burzy. W naszych oczach odbywają się najdziwniejsze przemiany losów. Wielkie fortuny topnieją w krótkim czasie. Nie wszyscy mają ochotę zejść do wymagań dzisiejszych wyobrażeń: więc też herby starożytnych wodzów strąca z nad bramy zamkowej ręka przemysłowca, a natomiast pisze firmę swoją. Trudno rozstać się nam z dawnym życiem próżniaczem, kiedy próżnować było o czem. Do tego jeszcze nieprzyjemne wpływy nieba i ziemi zadają często ostatni cios tam, gdzie jeszcze tleje isierka dobrej woli i rozsądnych postanowień na przyszłość!...

Domysł więc mój, że tu mieszka podupadła jakaś rodzina, bynajmniej mnie nie zadziwił. W dzisiejszych czasach tyle biedy i nędzy widzimy tam, gdzie przed chwilą był dostatek, a nawet i przepych!...

Smutno spojrzałam na palisandrowy fortepian, jakby na świadka lepszych i to niezbyt dawnych czasów. Od fortepianu podniosłam oczy, aby spojrzeć na młodą kobietę, która jakby w oczekiwaniu stała przed nami. Spotkałam się z jej spojrzeniem: było dziwne. Nie umiem go ani opisać, ani bliżej określić. Czułam tylko, że to spojrzenie wchodzi gdzieś w głębi duszy mojej, i nawskróś ją przenika. Z trwogą od-



wróciłam się od tego spojrzenia, bo zdawało mi się, że może mi coś w duszy zatruć...

Nieznajoma spostrzegła moję obawę przed jej badawczym wzrokiem. Podniosła głowę jednym rzutem do góry, i stała przed nami w tak dumnej i wyzywającej postawie, że ani Ewunia, ani ja nie miałyśmy odwagi opowiedzieć jej celu naszych odwiedzin. Uwolnił nas z tego przykrego położenia pocziwy Żydek, który właśnie teraz za nami do izby zdążył. Wziął z rąk Ewuni przygotowane wzorki i podał je nieznajomej z potrzebnymi objaśnieniami.

Zdawało mi się że nieznajoma wcale tych objaśnień nie słyszała: osłupiałem okiem patrzyła bezmyślnie na podany wzorek. Po twarzy jej przebiegały kiedy niekiedy jakieś dziwne dreszcze. Czasami były tak silne, że jej całą twarz dziwnie wykrzywiały. Oczy ciemno-szafirowe przybierały chwilami blask jakiegoś nieokreślony.

Bardzo naturalnie wytłumaczyłam sobie to wszystko, com widziała. Stojąca przed nami hafciarka była prawdopodobnie dopiero w pierwszych tygodniach swego nowego zawodu. Fortepian i wiele innych drobniaków, świadczących wymownie o dawniejszym jej stanie, przekonywały mnie, że mimo wszelkich rozumowań, trudną dla niej była nowa jej rola. Być może, iż do niedawna obce ręce pracowały na nią i ubierały ją od stóp do głowy: dzisiaj zmuszoną jest ręczną pracą zarabiać sobie na kawałek chleba. Przy najsilniejszym charakterze trudno jest w takim razie ustrzedz się wzruszeń.

Tak wytłumaczyłam sobie tę dziwną, z dumą przed nami stojącą kobietę.

— Więc pani żądasz odemnie haftu według tego wzorku?—ozwała się po chwili głosem dziwnej jakiejś vibracji.

Zapewne sprawił ten głos na Ewuni wrażenie niepospolite, bo szybko odrzekła, jakby się tłumacząc:

— Faktor w hotelu powiedział nam, że pani podejmujesz się prac podobnych!

— Tak jest — odparła spokojnie,—jest to mój zawód!

I mnąc nielitościwie w rękę podany przez Żydkę wzorek, wpatrywała się we mnie z jakąś dziwną uwagą.

— Chciałybyśmy mieć od pani odpowiedź!—zauważyłam nieśmiało po chwili.

Zdawało mi się, że szara nieznajoma namyslała się nad odpowiedzią. Po twarzy jej przebiegały najrozmaitsze odcienie; napół otworzone usta drżały, jakby im trudno było wymówić tych słów kilka. Wreszcie odetchnęła głęboko i rzekła:

— Za tydzień może pani przysłać. Nazywam się Kornelia.

— Zwracam jeszcze uwagę pani—wtrąciła Ewunia,—że ta robota potrzebna jest do wyprawy.

— Wiem o tém — odrzekła szybko hafciarka, i poczerwieniała, a potem szybko zbladła na twarzy.

Ewunia spojrzała na mnie z zadziwieniem. Uśmiechnęłam się boleśnie, bo w tej chwili serce mi się ścisnęło. Przyszło mi bowiem na myśl, że ta stojąca przed nami młoda i piękna kobieta marzyła prawdopodobnie niegdyś o podobnej wyprawie dla siebie. Role snów rozkosznych okrażały jej młodą główkę. Dzisiaj, przy biędzie i niedostatku potrzeba może wyrzucić się na zawsze tych marzeń złotych i służyć tylko za



narzędzie do szczęścia innych!... Ulitowałam się nad biędną ofiarą przewrotów społecznych, i chcąc ją pocieszyć, o ile to w téj chwili było w mojej mocy, rzekłam do niej:

— Ponieważ kuzynka moja wspomniała o wyprawie, mogę więc w razie potrzeby zażądać pomocy pani?

Spotkałam się w téj chwili z jej wejrzeniem. Było w nim tyle bólesci i ironii, że ja więcej nie powiedzieć nie mogła. Zwróciłam się do Ewuni, dając jej do poznania, że tutaj nie więcej nie mamy do czynienia. Ewunia czekała tylko na ten znak i szybko zbliżyła się do drzwi. Żegnając nas, ozwała się Kornelia:

— Jeżeli w czém pani pomocną być mogę, uczynię to chętnie!

Odetchnęłyśmy swobodnie na ulicy. Właśnie chcieliśmy obie z Ewunią powiedzieć sobie wzajemnie kilka słów o wrażeniu, jakie sprawiła na nas ta kobieta, gdy do nas zbliżył się młody, jasnowłosy mężczyzna, który jakby na nas czekał przy bramie.

Nieprzyjemnem było dla mnie to spotkanie. Młody ten człowiek znany był w całej naszej okolicy; nazywał się powszechnie pan Sławosz, chociaż nie wiem, czy to imię słowiańskie nadano mu przy chrzcie, czy później sam sobie je przywłaszczył. Był to jeden z tych próżniaków miejskich, których każda obca kobieta, przyjeżdżająca za interesem do miasta, ujrzy za sobą.

Pan Sławosz był ozdobą takich próżniaków. Matka jego miała niegdyś znaczny majątek tuż pod miastem. Ówdowiawszy młodo, porzuciła wieś; i jako niezrozumiana dotąd i niepojęta kobieta, osiadła w mie-

ście, aby się dać bliżej komu pojąć i zrozumieć. Zabawa ta kosztowała ją dosyć drogo, bo i majątek przeszedł, i młodość przeszła. Został jej tylko Sławosz, jasny jak laleczka blondynek, który niczego w życiu się nie uczył, a o którym miała kochana mama wyobrażenie, że się może ożenić z panną o milionowym posagu. Stosownie więc do téj roli zaopatrywała go zawsze w jasne rękawiczki, a fryzyer miasteczka urozmaicał jego głowę co kilka miesięcy w najnowsze pukle na kredyt.

Pan Sławosz czekał na nas przy bramie i według wszelkiego prawdopodobieństwa miał niezachwiane przedsięwzięcie odprowadzić nas przez całą długą ulicę dlatego tylko, aby mieszkańcy miasta przy nas go widzieli.

— Myślałem, że panie przemieniły się w białe gołąbki i dymnikiem tego dworku wyleciały!—zagadnął do nas, zdejmując kapelusz.

— Byłby to z naszej strony concept niefortunny—odparła Ewunia, która często lubiła drwić sobie z niego.

— Spodziewam się, że przyrównaniem do białych, niewinnych gołąbków bynajmniej paniom nie ubliżyłem.

— Wcale nie! Ale nabawiłeś pan nas niemałego strachu—mówiła dalej Ewunia.

— Nie wiem dlaczego?

— Boś pan z dzisiejszą fryzurą podobny zupełnie do jastrzębia! Wyobraź pan sobie, gdybyśmy były gołąbkami...

— To mój fryzyer przestraszył panie, a nie ja



Mówił mi łotr, że ta fryzura nazywa się *à la Pappenheim!*

— Pomylił się pański fryzyer—odparła Ewunia zachodząc się od śmiechu — są tylko buty *à la Pappenheim!*

— To wszystko jedno—przerwał niepokonany bohater małego miasta—buty czy nie buty, ale widać, że mój fryzyer jest odcytany!

— W każdym razie czyni on zaszczyt panu!

— Tam do kata! A on mi codziennie mówi, że ja jemu zaszczyt czynię! Obnoszę bowiem na mojej głowie sztukę jego po całym mieście i napędzam mu zarobku!

— I jesteś pan dla niego chodzącą reklamą!

— Dalibóg prawda! Pani mówisz jak z książki! Nie ja jemu, ale on mnie płacić powinien! Kto ma bowiem tyle stosunków...

Widziałam, że Ewunia gotuju się z jakimś nowym żartem na nieszczęście biednego Sławosza. Miałam zawsze litość nad ubogimi duchami. Żał mi się zrobiło biedaka. Przerywając Ewuni rzekłam do niego:

— Czy nie znasz pan tej młodej kobiety, u której byliśmy?

— A! szarady, szarady naszej!—odparł dowcipnie pan Sławosz.

— Jakto? szarady?

— Bo ona u nas nazywa się szaradą. Raz dlatego, że zawsze w szarych sukniach chodzi; powtórę, że nikt nie może odgadnąć kto właściwie ona jest. Próbowano wielu zbliżyć się do niej, ale odeszli z nosami na kwintę. Ja sam...

— Cóż się panu wydarzyło?

— Ot, powtarzać niema co, ale zawsze warto wiedzieć. Przed pół rokiem zjechała tutaj i zajęła ten opuszczony dworek. Zrazu widzieliśmy w niej kobietę dystygowaną. Czy to na ulicy, czy w kościele sprawiała zawsze efekt. Mówiono na ucho, że księżniczka jakaś z Ukrainy dla kaprysu wybrała sobie takie *incognito*. Więc chodziliśmy gęsiego za nią, gdzie się tylko pokazała. Bo też to i warto chodzić. Piękność rzadka!

— Poczynasz pan być rozwlekłym!

— Pewnego razu spotkałem ją na ulicy Franciszkańskiej. Chodziłem trop w trop za nią. Stałem po godzinie przy każdym drzwiach sklepowych. To była kampania nielada! Wreszcie zdawało mi się, że ją nieustannym fiksowaniem skruszyłem. Wychyliła się ze sklepu z porywającym uśmiechem i podając mi sztukę płótna z pięćdziesięciu łokci, rzekła do mnie: „*Pardonnez monsieur*, mój służący nie nadszedł. Czybyś pan nie mógł mi tej grzeczności wyświadczyć i to płótno matce mojej oddać?” *Parbleu!* pomyślałem sobie, to przecież ona sama zawiązuje znajomość, a nawet od razu poznam matkę, zaprezentuję się...

— A tymczasem?

— Biegnę ze sztuką płótna, która najmniej ćwierć centnara ważyła, fantazyja oskrzydla me kroki, marzę o podwojach książęcych, a tu tymczasem wychodzi do mnie jakaś szwaczka!...

— I czy to pana rozczarowało?—zapytałam pana Sławosza dosyć zgryźliwie.

— A jużci!—odparł dandy miasteczkowy — ja-kież bowiem relacye mogę mieć z córką szwaczki?



I tak odegrałem dosyć śmieszną rolę służącego, o czém tylko paniom w zaufaniu powiadałem!

Przyszła mi dziwna myśl do głowy. Chciałam próżniakowi miejskiemu dać materyał do zapełnienia czasu, i chciałam przytém skorzystać coś dla własnej ciekawości. Rzekłam więc do niego z całą powagą:

— Niech się pan nie smuci tym domysłem, żeś uczynił przysługę praczce czy szwaczce. Bardzo słusznie nazywacie ją panowie szaradą. Jest ona prawdziwą, dla panów nieodgadnioną szaradą. Ja, która teraz od niej idę, a byłam tam nie bez pewnego celu, mogę to panu sumiennie powiedzieć, że to nie jest szwaczka!... Są wypadki w życiu... są wyjątkowe położenia, gdzie, choćby dla chwilowego kaprysu, wypada odegrać pewną rolę...

Pan Sławosz otworzył gębę na rozcież. Potém uderzył się po czole, aż pięciu Żydów się obejrzało, i krzyknął:

— Julko miał słu szność! Gdym mu pod sekretem powyższe zdarzenie opowiadał, powiedział mi to samo. Mówił: „Wiesz Sławoszu. nie umiałeś ze szczęścia korzystać! Kto wie, kto to być może? Czytałem niedawno w kalendarzu, że jakaś milionerka, chcąc się przekonać, czy ją kto bez pieniędzy kochać będzie, poszła za pannę sklepową! Kto wie...?”

— Być może, że pański przyjaciel miał słuszność!

— A wiész pani, że w tém coś jest! Pewnego razu wieczorem zabłądziłem tutaj i zacząłem krążyć około dworku. Okna były otworzone, wieczór ciepły, a księżyc świecił jak we dnie. Z okna wychodziły tony muzyki. Na trawie była rosa, a mówią, że mu-

zyka lubi się ślizgać po rosie. Otoż jak zaczęły po téj rosie jechać do mnie różne akordy i tryle. to mówię paniom, że podobnej muzyki nie słyszałem, chociaż żaden koncert w mieście nie obejdzie się bezemnie! Mama mówi, że muzyka to mowa dusz; dalipan, moja dusza coś tam jęj nawzajem szwargotała!... Ale nie dość na tém. Zaczęła śpiewać!... Aj, aj, aj! co to był za śpiew! Mówię paniom, że takie miałem uczucie, jakby mi kto serce z piersi wyprół i z niem potém uciekał odemnie!

— Cóż potém nastąpiło w dziejach serca pańskiego?

— Co?... Rozczarowanie. Okrutne rozczarowanie!

— Cóż sprowadziło to rozczarowanie?

— Myśl złowieszcza, że to śpiewa praczka czy szwaczka!

Smutne uczucie ogarnęło mnie w téj chwili. Pocziwy Sławosz wypowiadał się tak jasno, dla niejednego mężczyzny jest kobieta!... Gdyby była księżniczka, gdyby zresztą miała jaki posag nie zpetny, pan Sławosz byłby do dziś dnia jeszcze rozczulał się nad jęj śpiewem, nad wdziękami i przymiotami jęj luszy!... Gdy się jednak dowiedział, że jest biedną, że pracą rąk swoich musi na codzienny chleb zarabiać, znikł z przed jego oczu cały urok, który przed chwilą ją otaczał!...

I pomyślałam sobie: Czémby i ja była dla tego brzydkiego świata, gdybym nie miała posagu? Myśl ta zaparła mi na chwilę oddech w piersi, a biedna szara hafciarka stanęła mi przed oczyma smutna i zapłakana!...



— Tę myśl, to jakiś zły duch panu podszeptał, — rzekłam po chwili, — a gdyby to nawet rzeczywiście była praczka...

Pan Sławosz otworzył szeroko usta. Roześmiałam się nad wychowaniem biédnego gagatka, który prawdopodobnie pod cudzym płotem umrze, bo pracować nie umie, i rzekłam do niego z powagą:

— Raz jeszcze panu mówię, że życie ma wiele tajemnie niezglębionych... Wielu patrzy tylko oczyma, i widzą tylko to, co zwykłemi oczyma widzieć można! Szczęśliwszy, kto własną zasługą wykryje tajemnicę...

Podobało się Ewuni to zaciekawienie pana Sławosza. Popychając myśl moję jeszcze dalej, mówiła do niego:

— A ja ręczę panu, jeśli pan zadasz sobie tylko przez kilka dni tyle pracy, aby zawsze być koło dworku, to pewne odkrycie może pana uszczęśliwić... W szarzej lupince mieści się drogocenna perła, a wasza szarada, jeśli kto odgadnie, będzie sowitą nagrodą!

— Panie wprowadzają mnie na straszliwie rozkoszne domysły — odparł pan Sławosz. — Teraz nawet wierzę, iż nie może to być praczka, skoro tak pięknie gra i śpiewa... to coś wyższego, coś „z towarzystwa“.

— A czegokolwiek pan się dowiesz, podzielisz się z nami! — dorzuciłam z uśmiechem.

W téj chwili stanęliśmy przed hotelem. Powóz już czekał za nas.

## XXVI.

W drodze mówiliśmy z Ewunią czas niejaki o szarą młodą kobietę, o której wiedziałyśmy tyle, że się nazywa Kornelia. Ewunia miała dobre serce, więc ubolewała nad nią razem ze mną. Nie przeczyła memu zdaniu, że położenie téj kobiety jest nader smutne, że prawdopodobnie dawniej była w dostatku a teraz jeszcze zupełnie nie wzięła się nową koleją życia. Tém tłumaczyłyśmy sobie jej wną w obec nas rolę. Mówiliśmy także o panu Sławoszu, a Ewunia cieszyła się z mego konceptu, że zafascynowałam tego miejskiego próżniaka zaciekawieć osobie nieznajomą. Spodziewała się ztąd jakichś zajmujących, a może nawet romantycznych wiadomości o kobiecie, która również i dla nas była istną szaradą. Po jakimś czasie przestałyśmy mówić o tém w ogólnym zniu. Dla Ewuni, która nie lubiła zajmować się jedną myślą, prawdopodobnie ten wypadek przestał być ciekawym. Dla mnie było w nim coś nieodgadnionego, tajemniczego. Wyobrażnia moja nawiązała do niego dziwne nici i snuła z nich jakąś tkanę fantastyczną... Milczałyśmy obie przez resztę drogi.



W domu czekała nas niespodzianka. Zastaliśmy Stanisława: przyjechał po Ewunię. Po przywitaniu się z nami, dobył pugłaresik, i z uśmiechem tajemniczym wyjął mały, na cienkim papierze pisany liścik.

— Papier ten — rzekł do mnie — ma dla kogoś wielką wartość. Zdaje mi się, że nie potrzebuję być dyskretnym w tym razie. Wprawdzie pisze Cezaryusz do mnie, ale widać z całego listu, że był tak pisany, aby go narzeczona czytać mogła. Przyjaciele i krewni narzeczonej odgrywają czasem dziwną rolę. Narzeczony czyli kochanek, otwiera przed nimi serce, spowiada się ze wszystkich uczuć i marzeń swoich. Niedomyślni wierzą, że to dla nich ten afekt szczególny, a tymczasem służą tylko za konduktora, za posłańca, który ten afekt komu innemu ma przenieść!...

— I cóż pisze Cezaryusz? — zawołała Ewunia, sięgając ręką po list.

— Za pozwoleniem — odpowiedział Cezaryusz podnosząc rękę z listem do góry, — za pozwoleniem, ten list należy wyłącznie do Reginy, chociaż niby do mnie jest zwrócony!

Rumieniec wystąpił mi na twarz. Serce odezwało się żywiej. Dziwne ogarnęło mnie wzruszenie.

Wyobraźnia kobiety ważną gra rolę w dziejach jej serca. Gdyby w tej chwili stał przedemną sam Cezaryusz, i to co w tym liście było napisane, ustnie wszystko wypowiedział, możeby na twarz moją nie wystąpił rumieniec, ani serce nie doznałoby dziwnego wzruszenia; ale Cezaryusza nie widziałam już kilka tygodni: był tylko w mojej pamięci, a wyobraźnia zajmowała się nim dosyć często. Odtwarzała go w najrozmaitszym oświeceniu, i wynajdowała dla niego

rozmaite sytuacje. Raz widziałam go smutnego, siedzącego w samotnym dworku z twarzą ku mnie zwróconą, liczącego drgnienia wskazówki na zegarze. Potem znowu patrzyłam na niego, jak zapomniawszy o mnie rzucił się wolny i swobodny w świat uciech i zabaw kawalerskich, a czoło jego marszczyło się, gdy go myśl nachodziła, że tam gdzieś na podgórzu karpackim ma narzeczoną, która jest koniecznym, piątym aktem w dramacie życia!... Przyznam się, że w takim razie serce moje ogarniał żywy niepokój, a wśród tego niepokoju wchodził Cezaryusz coraz więcej w głąb duszy mojej, i stawał się jej nieoddzielną własnością...

Więc też list Cezaryusza poruszył aż do dna serce moje. Wzięłam go z ręki Stanisława. Ewunia pochyliła się na moje ramię, by razem ze mną czytać. Lekko odsunęłam ją ręką od siebie i rzekłam:

— List ten, chociaż pośrednią drogą przyszedł do mnie, jest jednak moją wyłączną własnością. Listu narzeczonego nie profanuje się wspólnym czytaniem. Daruj Ewunio, ale to pismo straciłoby wszystko dla mnie, gdyby równocześnie i twoje oczka je czytały. Niech ja piérwój sama niem się napieszczę, a potem jeśli uznam za stosowne, mogę cię przypuścić do tajemnicy.

Schowałam list za rąbek sukni, i wyszłam z nim do mojej biblioteczki.

Spojrzałam po szafach z książkami, czy który z dawnych moich przyjaciół na mnie nie patrzy: wszyscy patrzali na mnie, i zdawało mi się, że mi są radzi. Jakiś jaśniejszym wydał mi się w tej chwili ten pokój ciemnymi firankami osłoniiony, powietrze, którym od-



dychałam, było pełne jakiśs woni przyjemnej... Rzeczywiście kochałam Cezaryusza w tej chwili!

Z dziwnym wzruszeniem rozwinęłam papier i czytałam:

„Nie rozumiem i nie pojmuję sam siebie. Odkąd wasze strony opuściłem, nie mam ani jednej chwili, w którejby myśl moja nie była przy was. Tutaj tłoczą się wkoło mnie dawne figury, którym tyle życia poświęciłem! Wierzą mi, patrzę na nie z pewnym wstrętem. Wszystkie wspomnienia, które się do nich wiążą, napawają mię goryczą, żem był tak ślepy, żem prócz ich nieodłącznych conceptów nic innego w świecie nie podziwiał!... Gdy sobie pomyślę, że ci ludzie wzięli tyle drogiego czasu z mego życia, i do tego jeszcze wmówili we mnie, żem się z nimi bawił, bierze mię ochota zamknąć ich do domu karnego, wytoczyć im proces o kradzież i rabunek popełniony nie tylko na mnie, ale na całym społeczeństwie!... Zapytasz mnie może, zkad we mnie taka zmiana? Nie! wiem, że nie zapytasz. Ty wiesz dobrze, kto mnie przemienił i co mnie przemieniło! Zaprawdę, przy niej wszedłem w jakąś inną, świetlaną atmosferę. Obaczyłem rzeczy, które dla mnie były piérwój niewidome. Usłyszałem harmonią, której śród gwaru niższego świata różnić nie mogłem. Napoiłem serce i duszę jakimś innym, czarownym napojem!... I po tém wszystkiém chcesz, aby mi ta duszna, zgnila atmosfera nie ciążyła na piersiach?... Ale z drugiej strony żal mi całej mojej bezużytecznej przeszłości! Dzisiaj potrzeba było zbierać, a jam nic nie siał! Czasami nawet chwytam się mnie myśl rozpaczliwa, czy to już nie zapóźno?... Serce jednak odpowiada mi zawsze, że dla tego kto

kocha, nie jest zapóźno, nie niema niemożliwego! Więc téż powracam dziś do rzeczy, które już dawno spełnić byłbym powinien; zaczynam od abecadła, aby przynajmniej zbliżyć się do ideału, o którym mówiliśmy z Reginal!... Czuję, że dla niej muszę stać się lepszym, niż dotąd byłem; inaczej nie dam jej tego szczęścia, jakiego pragnie jej dusza!...“

Przeczytałam te słowa kilkanaście razy, a czytałam je zawsze z dziwnym wzruszeniem serca. Były one dla mnie świadkami, że Cezaryusz mnie kocha, i że to wszystko było nieprawdą, co mi wyznała wyobraźnia moja wśród wielkich udręczeń. Na tę czystą spowiedź uderzyło wzajemnie serce moje, a imię Cezaryusza wryło się głębiój w tajniki duszy!...

Długi czas siedziałam w bibliotece. Chciałam do końca wysnuć wątek marzeń swoich; ale nader trudno było mi przyjść do końca. Każda myśl nawiązywała drugą, każdy obrazek łączył się z drugim, jakby jaka cudowna panorama. Zdawało mi się, że Ewunia słusznie utrzymywała, mówiąc niegdyś zemną o miłości. Według jej zdania należało tylko uchwycić tę nić złotą, a reszta znajdzie się sama z siebie; należy tylko iść po tej nici dalej, a dojdzie się do samego pasma.

I ja w tej chwili widziałam już przed sobą to złote pasmo, owo runo mityczne, po które trzeba przepływać tyle cichych zdradliwych głębin, tyle wzburzonych fal i bałwanów morza!...

Z twarzą zarumienioną wyszłam do Ewuni. Chciałam wyjść do niej spokojną, z sercem regularnie bijącym, ale tego uspokojenia nie mogłam się doczekać; przeciwnie samotność drażniła mnie coraz więcéj.



Ewunia czekała na mnie z niecierpliwością: jęj piękne, pogodne czoło pokryło się nawet małą chmurką.

— Wierzę teraz—rzekła do mnie,—że jesteś samolubną i nie masz dla mnie przyjaźni!

— Czy cię to zadziwia?—odpowiedziałam z uśmiechem,—wszak mówią, że serce jest największym samolubem!

Spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Pomysłała chwilkę, a wyciągając rękę po list, ozwała się:

— Już mnie nudzą twoje dziwaczne sentencje! Daj list, niech go nareszcie przeczytam! Dość długo pieściłaś się nim!

Schowałam list do kieszeni, a biorąc Ewunię pod ramię, pocałowałam ją w skroń i rzekłam:

— Przebac mi, ale listu tego teraz nie dostaniesz. Może później. Nie wiem czy jestem zazdrosną, że to, co się mnie tyczy, dla siebie samęj zatrzymać pragnę, czy mniej próżną, że ze zwycięstw moich przed światem nie mogę się chlępić!

— Co téż ty bredzisz?

— Ewunio, w tém zawsze różnić się będziemy. Tybyś nie była szczęśliwą, gdyby szczęścia twego inni oglądać nie mogli, a ja całe szczęście moje widzę tylko w tajemnicy serca! Pozwól mi pieścić się tą tajemnicą, a mój pocałunek niech ci świadczy, jaką jest ta tajemnica!

I ucałowałam ją z całą namiętnością kochającej kobiety!

## XXII.

Od tego dnia coraz więcej myślałam o Cezaryuszu. Nie było prawie chwili, w którejbym widziała go przed memi oczyma. Coraz jaśniejsza atmosfera otaczała go. Wpatrywałam się, w rysy jego, śledziłam najmniejsze objawy jego charakteru i usposobienia. Byłam w téj mierze podobną do poddanych, którzy z trwogą i nadzieją oceniają przymioty następcy tronu. Zaiste, Cezaryusz miał wkrótce zostać władcą całego mego życia: czyż mogło mi być obojętném, jakie będą jego rządy?

Listy nadchodzące teraz codzień prawie do Stanisława, odsłaniały mi coraz więcej Cezaryusza. W samęj rzeczy nie omyliłam się w nadziei, że z oddalenia lepiej go poznam, niż gdyby stał przy mnie nieodstępnie aż do ślubu. Serce ma tyle spraw subtelnych, które giną w życiu codzienném, życie bowiem nasze jest dzisiaj tak realnie nastrojone, że każdy odmienniejszy dźwięk struny wydaje się dziwnie niezgodném brzęczeniem. Znałam ludzi kochających się, którzy w obec siebie nigdy takimi nie byli, jakimi odsłoniли się później w listach do przyjaciół. Więć i dla mnie każde



słowo listu Cezaryusza miało znaczenie daleko sięgające. Z pojedynczych tych słów mogłam sobie dopiero złożyć całego człowieka, i śledzić jego przeobrażanie się pod wpływem uczucia, które jego serce ogarnęło.

Co do mnie, zdaje mi się, że Stanisław nie szczędził różnych wskazówek Cezaryuszowi. Nie wypytawałam go o to nigdy. Ewunia tylko wyszczebiotała coś czasami, co mi zawsze rumieniec na twarz wywoływało. Była to jednak dla mnie przestroga, że mnie obserwują i Cezaryuszowi o wszystkim zdają sprawę. Nie mogłam więc być zupełnie szczérą dla Ewuni, bo nie chciałam, aby Cezaryusz wiedział więcej, niżeli godność kobięca dozwolić może: zresztą nie maskowałam się w niczém.

Z listów Cezaryusza dowiedziałam się, że między nami była dziwna emulacya. Kiedy ja kilka godzin dziennie poświęcałam na to, aby ostatnią naszą wspólną myśl w czyn wprowadzić; gdy już nawet spore grono biędnych dzieci wkoło siebie zebrałam, aby im dać to wszystko, do czego zarówno z każdym człowiekiem niezaprzeczone prawo miały,—pisał Cezaryusz do Stanisława w jednym ze swoich listów między innymi:

„Wracam jeszcze do tego nieszczęsnego serca. Regina powiedziała mi, że nic nie ma bardziej upokarzającego dla mężczyzny, niż być zerem. I zaprawdę, gdy teraz o tém myślę i w życiu się rozpatruję, to widzę, że prawie wszyscy jesteśmy zerami! Któż to z nas ma przynajmniej ochotę wyjść z tego zakłętego kółka i stać się jakąś cyfrą? Nam się zdaje, że już jesteśmy czémś, jeżeli nam przypadek włożył pod poduszkę peł-

ną kiesę. Zdaje nam się, że jesteśmy czémś, jeżeli z tój kiesy hojnie wydajemy, rozumié się dla siebie!... Zdaje nam się, że nikomu za to nie jesteśmy odpowiedzialni. A myśmy tymczasem wzięli tylko od społeczeństwa pożyczkę, od której potrzeba opłacać procent i dawać kwotę amortyzującą kapitał!... Bo weźmy tylko na uwagę, że to wszystko co mamy, jest majątkiem społeczności; cóż się stanie z tą społecznością, jeżeli w pojedynczych częściach całą sumę stracimy?... Nie ma położenia, któreby wyłączało nas od pracy osobistej, od pracy w szerszym i ciśniejszym zakresie słowa. Może cię zadziwia, zkąd nagle takie myśli biorą się w mojej głowie? Oto odpowiem ci szczerze: czytam i czytam dosyć wiele. Czyń i ty to samo, a podobne zdania nie będą ci się wydawały dziwnemi!...”

W drugim liście pisał znowu Cezaryusz:

„Piszesz mi, że Regina poświęca kilka godzin ulubionej myśli swojej. I ja tutaj nie próżnuję. Objechałem sąsiedztwo. Wszędzie byli mi radzi, i zaraz po przywitaniu kładli karty preferansowe na stół... Nie uwierzysz, jak wiele tutaj obojętności dla wszystkich wyższych interesów. Zgnilizna kompletna, a trzeba zaczynać od pracy Hérkulesa. Patrzą na mnie z politowaniem, i mówią, że obudziła się we mnie ambicya i chciwość jakichś zaszczytów powiatowych. To mnie jednak nie zraża. Sądzę, że Reginie zdam dosyć korzystny rachunek z czasu, w jęj nieobecności przebytego.”

Podobne listy rozświecały coraz więcej mój horyzont. Zdawało mi się, że czarodziejskie uczucie miłości przetwarzało zwolna Cezaryusza, który z każdą chwilą stawał się podobniejszym do mego wymarzone-



go ideału. A im więcej w wyobraźni mojej do niego się zbliżał, tém żywiej i rozkoszniej biło mi serce, z tém większą tęsknotą oczekiwałam jego powrotu.

Były chwile, w których czułam się zupełnie szczęśliwą. Patrzyłam w przyszłość jasną i pogodną, a na tém pogodnym i czystym niebie szczęścia kreśliłam ulubione obrazy, bez których dusza moja żyć nie mogła!

W téj dobie szczęścia i rojeń rozkosznych chciałam, aby wszyscy, co mnie otaczają, byli również szczęśliwymi. Nie mogłam spojrzeć na biednego żebraka, któryby nie pożegnał mnie weselszym wzrokiem; na pracującego wieśniaka, którego znoju nie osłodziłabym słowem i czynem. Chore wieśniaczki miały we mnie lekarza i opiekunkę, a spragnieni na duchu dostawali odemnie pożywienie, na jakie stać mię było. Nawet zwierzęta wiedziały, że byłam szczęśliwą, bo smutnych i zgłodniałych nie mogłam widzieć przed sobą. Serce przepełnione szczęściem, chciało wszędzie nieść z sobą szczęśliwą swoją atmosferę...

Jeden punkt czarny stanął mi teraz w drodze. Potrzeba było pojechać do miasta po haft zamówiony.

Biedna hafciarka przychodziła mi często na myśl. Utwierdzałam się coraz bardziej w przekonaniu, że to jakaś ofiara losu, która jest godna mojej pomocy. Myślałam nieraz o niej i o sposobie, jakby jęj prawdopodobne nieszczęście osłodzić. Wpadałam na różne plany, ale wyrokować o nich nie mogłam, póki się téj nieszczęśliwej istocie bliżej nie przypatrzyłam.

W tym celu wybrałam się pewnego dnia do miasta. Ewuni nie brałam z sobą, bo zdawało mi się, że sama bliżej będę mogła przystąpić. Zresztą dla mnie

była hafciarka jakimś ciekawszym przedmiotem, niżeli Ewuni się wydawała. Nie wiem dlaczego, ale zawsze z pewnym wstrząśnieniem serca przychodziło mi myśleć o niej. Zdawało się, jakoby się czegoś obawiała. To mię przekonywało, że w jęj pięknych, lecz smutnych rysach twarzy mieści się jakaś tragedia, która już zdala, jak chmura gromami brzemienią, chłodnym wiatrem zawięwa.

Przez całą drogę tylko o niej myślałam. Myślałam także i o Sławoszu, i ciekawam była pierwszego jego spotkania: spodziewałam się od miejskiego próżniaka jakichś ciekawych wieści w téj mierze.

Jedno z tych oczekiwań spełniło się zaraz przy wjeździe do miasta: przed hotelem stał Sławosz w angielskim kapelusiku i jasnych rękawiczkach; miał twarz ku mnie zwróconą, jakby na mnie oczekiwał.

— Byłem pewien, że panie przyjadą — rzekł do mnie, otwierając drzwiczki powozu i podając mi rękę.

Podał także rękę i pannie służącej, która mi towarzyszyła, a poznawszy, że to nie Ewunia, cofnął się na stanowisko jemu przynależne, i powtórzył do mnie powyższe słowa swoje, z niejaką jednak odmianą:

— Byłem tego pewien, że pani przyjedzie!

— Czy to pan opierasz tylko na przeczuciu? — zapytałam żartobliwie.

— O nie, wcale nie na przeczuciu! — zaprotestował szczerzy i otwarty pan Sławosz — ale na dzisiejszym śnie moim!

— Czy można wiedzieć, co się panu śniło?

— Już nad samém ranem, gdy Piotruś przyniósł



mi do łóżka kawę z ładnym kozuszkim, zdrzemałem się raz jeszcze, a to dlatego, że wczoraj późno w noc byłem na nogach, wypełniając rozkazy pani!

— Moje rozkazy?

— A tak! Naprzód pani mi rozkazała, a potem ja sam sobie rozkazywałem, bo to stało się dla mnie wielką rozrywką. Nie uwierzysz pani, jak nasze miasto jest przerażająco nudnem. Zawsze jedne i te same znane figury! Wiem już, o której godzinie, minucie i sekundzie obaczę jedną z tych figur. Wiem nawet jaki program jest ich ubrania na cały tydzień. Wiem co mówią do siebie i co za tydzień powieǳą. Jednostajność i ciasnota aż rozpacz bierze! Gdyby nie ta szarada, czy raczej gdybyś pani nie zaciekawiała mnie tą szaradą, nie byłbym już miał żadnego konceptu do dalszego życia. Być może, iż w braku wszystkiego, byłbym się może zakochał...

— Takiego braku nigdy pan w życiu swoim nie uczujesz—przerwałam szybko Sławoszewi, który miał ochotę coś z tych słów dalej wysnuć, jak to śmiejące się jego oczy przepowiadały.

Biędny Sławosz spojrział na mnie z uwagą, jakby nie wiedział, czy za słowa moje ma się gniewać czy podziękować. Namyslił się jednak na drugie; ze słodkim uśmiałem pochylił głowę naprzód i odparł:

— Pani jesteś zawsze dla mnie zbyt łaskawą. Rzeczywiście w życiu jest tyle zajęć i różnych interesów, że o podobnej próżni trudno nawet pomyśleć. Ale przychodzi czasem kréska na Matyska! Ręczę pani,

że niekiedy mamy w życiu taką samą przyjemność, jak przy czytaniu romansu!

— Jakże pan daleko zaszedłeś!

— Nie, pani: jestem bardzo blisko. Czytając romans, ciekawi jesteśmy, co to będzie w drugim rozdziale? a ja nie mniej ciekawy jestem, gdy wieczorem dostanę się do ogrodu panny Kornelii i przez okno ją zobaczę. Pomyślę sobie przytém, co to będzie, jeśli jeszcze pół godziny będę patrzył?... I tak mija godzina po godzinie, a ja nawet nie czuję, żem się zaziębił i kataru dostał!... Co téż to może jedna zagadkowa kobiéta! To jeszcze stokroć ciekawsze od romansu!

— Więc dowiedziałeś się pan czegoś o pannie Kornelii?

— Tyle co nic; ale zawsze dosyć wiele, są bowiem w mieście ludzie, którzy i tyle nie wiedzą. Julko np. powiada... ale co tam o tém mówić, co lada głupiec gada! Pies szczeka w lesie, a wiatr niesie!

— Niech pan wróci do panny Kornelii!

— Zgadłaś pani, że ona trzyma w garści jakąś wielką tajemnicę; ależ cóż z tego? jeśli chcę zajrzeć, to zawsze obaczę—figę!

Rozśmiałam się, patrząc na twarz Sławosza. Malował się na niej taki rozpaczliwy smutek, a szeroko otwarte oczy jego z brwiami w górę podniesionymi wyglądały jak u pierwszego tragika sceny niemieckiej. Zapytałam go po chwili:

— Czy pan mówisz o jakim rzeczywistym fakcie, czy tylko używasz figury krasomówczej?

Sławosz pomyślał chwilę, posunął palcem po szerokiém czole i odparł:



-- Chciałem tém słowem „figa“ oznaczyć zawód, jaki mnie spotyka każdego wieczora!

— Ale przecież opowiedz mi pan co!

— Wszystko pani opowiem. Czternaście wieczorów spędziłem w bliskości tego zaczarowanego dworku, i nie nie widziałem!

— Niceś pan nie widział? Nic nie słyszał?

— Nic nie widziałem, to prawda, ale nasłuchiwałem się za to co niemiaral... Po całych wieczorach bowiem, jeśli nie pracuje, nie modli się i nie płacze, to gra i śpiewa! Otoż téj gry i tego śpiewu mi aż nadto było, chociaż przyznam się, że wołałem to niżeli klęczenie i płakanie!... A gra i śpiewa zawsze tak smutno, aż serce boli. W pieśni jednej powtarzała kilka razy, i dlatego zostało mi w pamięci:

„Wzięłeś serce, wzięłeś duszę,  
A ja żyję, i żyć muszę!...“

Sławosz wydeklował te wiersze tak patetycznie, że w inném usposobieniu wywołałby śmiech na moje usta. Przyłożył rękę do piersi, czoło namarszczył, a głowę podniósł do góry, jak to widział w tragicznych rolach wędrującej trupy teatralnej. W téj chwili jednak nie mogłam się rozśmiać. Tych kilka w prostocie ducha wymówionych wyrazów Sławosza podnosiło mi tajemniczą zasłonę, która kryła przedemną tę biedną kobietę. Była to prawdopodobnie ofiara nieszcześliwej miłości; prawdopodobnie oprócz niedostatku cierpiała też na boleść rozdartego serca!...

Sławosz stał ciągle przedemną w pozycji tragicznego bohatera. Nie wiem, jak sobie tłumaczył to

dziwne milczenie moje. Spostrzegłam jednak, że jakimś niezwykle wzrokiem wpatrywał się we mnie. Przerwałam mu to spojrzenie.

— Panie Sławoszu!—rzekłam do niego — pan jesteś na drodze zakochania się w nieznajomej!

— W téj chwili o pani myślałem!—odpowiedział nie zmieniając postawy.

— Prawdopodobnie masz pan wiele czasu do tracenia!

— Była to tylko kontynuacja dzisiejszego snu mego!

— O sen już nie pytam.

— Mimo to winienem pani opowiedzieć go!... Jak powiedziałem, wczeraż długo w noc stałem między jaworem a gruszą, i patrzyłem w okna panny Kornelii. Przyszedłem późno do domu i długo spać nie mogłem. Nad ranem, kiedy już kawa stała przedemną, zdrzemnąłem się, i oto we śnie widziałem panią. Śniło mi się, że stałem między jaworem a gruszą, kiedy do ogródka weszła pani w stroju jasnym z zielonemi kwiatami na głowie. Szłaś ścieżką pomiędzy astry i malwy do dworku. Wreszcie otworzyłaś pani drzwi i zniknęłaś w sieni... Po niejakiem czasie widziałem panią wychodzącą z dworku; ale jasnej sukni i zielonych kwiatów na głowie nie było! Miałaś pani na sobie strój czarny, niby zakonny, a na twarzy smutek głęboki!...

Mimowoli wdrygnęłam się na ten dziki obraz fantazyi Sławoszowej, ale w téj chwili usłyszałam za sobą głos trzeciej osoby. Był to nasz Żydek usługny, który naprzód zapytał o zdrowie ojca i Ewuni, a po-



tém ofiarował mi swoje szczére usługi we wszystkich dzisiejszych sprawunkach.

Zamówiwszy sobie dobre jego chęci na później, pożegnałam Sławosza, i aby zmylić jego oczy, puściłam się ze służącą wprost przeciwną ulicą od téj, którą właśnie iść miałam.

Za godzinę dopiero zbliżyłam się do upragnionego dworku.

X

XXVIII.

Jest to już w naturze naszej, że z pewnym niepokojem zbliżamy się do miejsc i osób, z którymi dłuższy czas bawiliśmy się w myślach. Taki sam niepokój ogarnął serce moje, gdy ujrzałam wśród drzew ten osamotniony, podupadły dworek.

Weszłam do ogródka. Prócz starannie wygracowanej ścieżki, nie było w nim żadnej zmiany. Na kilku jesiennych jabłoniach czerwieniły się jabłka, a z poza nich wyglądały szare zimowe gruszki. Astry i malwy kołysały się z wolna, pociągane lekkim podmuchem wiatru, to w tę, to w ową stronę. Zresztą było cicho, spokojnie, smutno!

Otworzywszy drzwi do sieni, usłyszałam gwar podobny do licznych głosów małych dzieci. Byłam zaciekawiona. Zwolna ujęłam klamkę. Hałas wydobywający się z izby, zagłuszył skrzypnięcie drzwi. Wejrzałam w sam środek tego dziwnego zgromadzenia.

W obszernej izbie, kilku długimi ławami umeblowanej, było kilkanaścioro dzieci w ustawicznym ruchu. Miały po trzy, cztery lub pięć lat. Ubogie



ich ubranie, konopne koszulki i różne lachmany okazywały, że to była młodsza generacja uboższego przedmieścia; lecz dobry i zdrowy duch ożywiał tę małą biędotę, bo twarze były rumiane i uśmiechnięte.

Widok ten był dla mnie prawdziwą niespodzianką. Sprawił on na mnie takie wrażenie, jakbyśmy nagle przed sobą ujrzeli to, czego gorąco w duszy pragnęliśmy. Zaprawdę wyznać muszę, że przez chwilę myślałam, iż śni mi się to wszystko!

Dzieci tworzyły różne grupy. Widać było, że się bawiły z sobą. Według wieku i usposobienia łączyły się i rozchodziły, aby się znowu inaczej ugrupować. Na ławie leżało kilka małych książek z dwiema literami.

Głównym punktem tych wszystkich grup fanstycznych, była młoda, blada kobieta. Siedziała na krześle twarzą do mnie zwrócona. Trzymała w ręku biały kawałek płótna i szyła. Na małym stoliku stała przed nią biała, świeżo rozkwitła róża.

Śród krzyku i hałasu nie spostrzegła mnie zrazu. Miałam sposobność jeszcze raz dobrze się jej przyjrzeć.

Wszelkie moje domysły znajdowały w moich oczach coraz dobitniejsze potwierdzenie. To nie była zwykła, na kawałek chleba pracująca kobieta. Wyraz jej twarzy kazał się domyślać innego ongi otoczenia, innego zajęcia. Jeżeli przyrównania użyć można, wydała mi się podobną do dowódcy, który wziął na siebie ubiór i rynsztunek prostego żołnierza, i zajęty jest właśnie czyszczeniem broni...

Zdawało mi się, że robotę szycia odbywa mechanicznie. Również gwar dzieci nie powstrzymywał

biegu jej myśli, które gdzieś daleko poza ten dworek wylatywały!... Oczy miała szeroko otwarte, jak czynią ludzie głęboko zamyśleni; a kiedy w te piękne, szafirowe oczy dłuższy czas się wpatrywałam, zdało mi się, że ujrzałam na długiej rzęsie wisząca lżę jasną, promieniejącą!...

W tej chwili postrzegł mnie jakiś chłopiec pyzaty: stanął nagle zdziwiony i czarne oczy wlepił we mnie, jak w tęczę.

Młoda kobieta zwróciła na to uwagę. Posunęła zwolna oczy za wzrokiem chłopca i poczerwieniała cała. Wstała szybko, a gdy się do mnie zbliżyła, była już blada, jak ściana.

— Przepraszam panią — rzekłam do niej, podając rękę — przepraszam stokrotnie, że pozwoliłam sobie wykraść choćby na chwilę ten precudny obrazek! Ale nie ja tylko patrzyłam... na taki piękny obraz patrzył sam Pan Bóg z nieba!...

Młoda kobieta zbliżyła się do mnie i patrzyła na mnie chwilę wzrokiem, którego opisać nie umiem. W jej ciemno-szafirowych oczach malowało się wielkie wezbrane uczucie. Blask tych oczu ciemniał coraz więcej, a twarz nabierała wyrazu nieokreślonej piękności. Piękna, szlachetna dusza zdawała się coraz bardziej na zewnątrz wychodzić.

To dziwne wpatrywanie się we mnie młodej kobiety i to chwilowe zawahanie się, wytłumaczyłam sobie w sposób nader prosty. Każde wyższe uczucie, schwytane na uczynku przez obce oko, traci na chwilę odwagę i oczekuje z niedowierzaniem, jak je zwykły świat przyjmie. Potrzeba więc było ośmielić ją i dać



jój do poznania, że takie szlachetne uczucia pojmuję i całą ich zacność uznaje.

Prawdopodobnie malowało się to na twarzy mojej i w oczach; doznałam bowiem tak przyjemnego wzruszenia, jakbym patrzyła w tej chwili na anioła stróża, zesłanego z nieba dla opieki nad biednymi, opuszczonemi dziećmi...

Wyczytawszy to w mej duszy, młoda kobieta wyciągnęła do mnie rękę, którą ścisnęłam z całą serdecznością; ręka jednak jej była zimna i martwa: nie ucułam godnego wzajemnego ściśnienia...

Po chwili, jakby się ze snu przebudziła, wyjęła rękę z dłoni mojej, przesunęła nią po czole i oczach, i rzekła:

— Haft dla pani skończony: proszę do pokoju.

Otworzyła drzwi do sieni, przeslizgnęła się, jak piękne widmo przedemną, i zaprowadziła mię na drugą stronę dworku, gdzie już byliśmy za pierwszym razem z Ewunią.

Uderzył mię ten sam widok, co wtedy. Podeszła kobieta z surową twarzą prasowała różne ubrania niewieście! Nie zwróciła na nas najmniejszej uwagi. Dla niej nie było gości, nie było żadnych obcych ludzi; miała, przed sobą pracę i tej pracy poświęcała całą baczność: świat i stosunki światowe były dla niej obojętne.

W trzecim pokoiku usiadłyśmy z młodą kobietą naprzeciw siebie. Zdawało się, że obie zapomniałyśmy o hafcie, jedynym prawie celu naszego spotkania się. Patrzałyśmy wzajemnie na siebie, jakbyśmy o czémś ważniejszym miały z sobą do mówienia. Spoj-

zenia nasze ustawicznie się krzyżowały. Żadna z nas nie miała odwagi zacząć o hafcie.

Wreszcie przemogłam milczenie, które wzajemnie wydawało nam się uciążliwem, i rzekłam:

— Może wyrzadzam krzywdę biednym dzieciom, pozbawiając je obecności panil

— Nie to nie szkodzi, nadgrodzę im tę chwilę w dwójnasób! Zresztą kurytarz jest ciemny, a otwór we drzwiach pozwala mi patrzeć na nie, choć mnie nie widzą. I mają to przekonanie, że moje oko zawsze je widzi!

— Czy pani codzień je zgromadzasz?

— To są z przedmieścia dzieci biednych mieszkańców, którzy po większej części żyją z dziennego zarobku. Widziałam na własne oczy, jak smutny jest los tych biednych dzieci, gdy rodziców niema w domu. Albo siedzą zamknięte w ciasnych izbach i głupieją w samotności, albo w złém towarzystwie psują zamłodu pocziwe serca i dusze. Z takich to szeregów napełniają się później kryminały i domy poprawy!... Otoż rodzice, wychodząc na zarobek, przyprowadzają dzieci do mnie, do tej pustej izby. Tam bawią się, lub trochę uczą pod mojem okiem. Sprawia mi to rozrywkę w smutném życiu, a pracy mojej wcale nie przeszkadza. Gdy rodzice od pracy wracają, biorą je odemnie do domu.

— Ale mieszkańcy przedmieścia są ludzie biedni — odpowiedziałam nieśmiało, — wynagrodzenie więc za rudy pani...

Tu urwałam, bo młoda kobieta podniosła nagle głowę do góry, jakby słowa moje jej ubliżały. Patrzyła chwilę na mnie wzrokiem ożywionym. Na jej



twarży igrał uśmiech gorzkiej ironii. Wyraz tej twarzy zdawał się mówić do mnie: „Wy, ludzie bogaci i w dostatkach żyjący, nie pojmujecie tego, aby człowiek kiedy mógł co czynić bez oglądania się na zapłatę! U was każda zapłata, to brzęcząca moneta, która rzuca się biednemu wyrobnikowi! Zapłata dobrego sumienia, słodkie przekonanie, że się spełnia czyn pocziwy i pobożny, to dla was rzecz niezrozumiała! Biedny, podług was, to machina, którą porusza pieniądź, zarobek!...”

Takie myśli czytałam na twarzy młodej kobiety. Chciałam je szybko przerwać, bo serce mi nie pozwalało dozwolić jej, by się dłużej karmiła goryczą mojej obelgi.

— Niech pani słów moich źle nie tłumaczy,— rzekłam z pośpiechem.

— Nie—przerwała mi Kornelia,—krzywdy na-przód nikomu nie wyrządzam; winnam jednak wytłumaczyć się pani.

— Słucham z jak największą uwagą!

Młoda kobieta oparła się o poręcz krzesła i założyła na krzyż ręce. Twarz jej uspokoiła się i pobladła, jak marmur. Zaiste, była w tej chwili podobną do pięknej marmurowej statui. Światło padało z okna ukośnie i oświecało w sposób artystyczny wszystkie wypukłości na jej pięknym czole; tylko w oczach szafirowych migotał płomyk życia i grał różnemi barwami.

— Każda kobieta—ozwała się po chwili — musi w życiu coś ukochać i do tego całe życie swoje przywiązać; inaczej niema dla jej duszy spokoju, dla jej serca wytechnienia! Będzie jak ów liść spadły z drzewa, którym wiatr ustawicznie pomiata. Nie wie gdzie

się zatrzyma, dokąd go nowy powiew zanieśnie... Takie tułactwo duszy i serca, to największe nieszczęście dla kobiety!...

Serce mi uderzyło żywiej na te słowa. Zdawało się, że ta, która tak mówi, jest moją siostrą rodzoną!... Młoda kobieta mówiła dalej:

— Los różnie darzy kobietę: jednej składa szczęście już w kołysce; inną wydziera z rąk, kiedy mozolnie już je sobie zapracowała! Pierwsze mają szczęście zadarmo; drugie postradawszy zapracowane, muszą stwarzać sobie szczęście sztuczne... Do drugich ja należę... Nie mając innego, stworzyłam sobie szczęście sztuczne. Przywiązałam ubogą działość do siebie, a służąc jej za opiekunkę, uspakajam własne sumienie, że bezużytecznie nie żyję na świecie! To jedyna moja zapłata!

Podawałam jej rękę z wielkim wzruszeniem, które mnie w tej chwili opanowało. Na odpowiedź słów naprędce znaleźć nie mogłam. Ręka jednak młodej kobiety była zimna i martwa, jak pierwiej. Patrzyła na mnie z uwagą, jakby mnie badać chciała. Chwilę tę uważałam za stosowną, aby się zbliżyć do jej serca, które widocznie srodze bolało. Rzekłam do niej:

— Szlachetność i wzniosłość takiego życia w zupełności uznaję; to jednak, coś mi pani mówiła, jest tylko owocem wielkiej boleści i smutnych zawodów.

— Dlatego może, iż mniej ma wartości—przerwała szybko z ożywieniem;—ale któż osądzić może, dlaczego takimi a nie innymi drogami prowadzi nas Opatrzność do wielkich celów swoich?... Pani naprzykład jesteś teraz u szczytu szczęścia...



— Uśmiech złowieszczy na twarzy pani budzi niepokój we mnie...—przerwałam bez namysłu.

— Może to tylko przecucie tego, co dziś lub jutro przyjdzie!—odparła z uśmiechem tak dziwnym, że mnie zimno wskrós przejęło!

Nastąpiło milczenie. Wyraz twarzy mówiącej sprawił na mnie tak głębokie wrażenie, że mi nagle oddechu w piersi zabrakło. Spostrzegła to młoda kobieta. Złowrogi blask jej oczu zniknął powoli; zastąpił go wyraz niewymownie smutny. Podała mi tym razem sama rękę, i rzekła głosem przerywanym:

— Nie lękaj się pani; nie każdego serca dzieje tak się kończą, jak się skończyły moje. Ale z każdym dniem mnoży się coraz więcej takich wypadków, bo z każdym dniem olbrzymieją niefortunne stosunki czasu, które zabijają pewne nieszczęśliwe kobiety!

— Czy nie mogłabyś pani bliżej określić tych kobiet?

— Kobiety, które się rodzą ubogie, lub z czasem ubogimi się stają!

Wyrzekłszy te słowa głosem nieokreślonej boleści, rzuciła się w tył krzesła i oparła głowę o poręcz. Zacisnęła usta, jak gdyby nie chciała nic więcej powiedzieć. Piers jej podniosła się głębokim westchnieniem.

Uszanowałam jej boleść: ze wszystkich sfer społeczeństwa najdotkliwszą dumą jest duma ubóstwa.

— Czy nie zbyt czarno patrzysz pani na świat?—ozwałam się po chwili. Ubogim odmawiasz pani szczęścia na ziemi, a przecież mnie się zdaje, że ubodzy więcej go używają, niżeli bogatsi. To szczęście

jest tylko zupełnym, na któreśmy własną pracą zarobili. Bogaci nie znają takiego szczęścia!

Młoda kobieta spojrzała na mnie ze zdziwieniem. Po jakimś czasie uśmiechnęła się boleśnie i rzekła:

— To są frazesa i nic więcej! Od biednego wszystko ucieka, słońce inaczej mu świeci, gwiazdy i księżyc są bledszel...

— Ale serca ludzkie...

— Serca, powiadasz pani?—zawołała młoda kobieta, i wyprostowała się na krzesle — o sercach mówisz pani? O jakich sercach? Czy o tych, które opiewają poeci? czy też o tych, które ludzie w piersi noszą, jako rzecz niepotrzebną?

— To wyjaśnia mi nieco żal pani do ludzi, do świata!—rzekłam z uśmiechem współczucia.

Młoda kobieta nic na to nie odpowiedziała, tylko ruszyła głową na znak przyznania.

— Jeżeli słowa moje pani nie urażą, to pójdę dalej w moich domysłach.

Uśmiechnęła się gorzko i pochyliła głowę, jakby dalszych przypuszczeń moich słuchać chciała.

— Pani zapewne kochałaś i byłaś kochaną!

Patrzyła przed siebie, a szafrówce jej żrenice zamigotały rozkosznym uczuciem.

— Ktoś panią przestał kochać, bo byłaś ubogą!

Usta jej skrzywiły się zwolna do cierpkiego, bolesnego uśmiechu: na białym czole zarysowała się chmurka.

— Jeżeli on sam był ubogi... jeżeli nieubłagane warunki życia... wychowanie i potrzeby pani...

Podniosła się z krzesła i stanęła przedemną



w całej okazałej postaci. Położyła rękę na piersi i rzekła:

— Jeżeli kobieta prawdziwie kocha, to umie potrzebom swoim nadać takie granice, jakie chce... Niestety moim jest, że mnie kochał człowiek bogaty i ja go kochałam... Miłość ta stała się przekleństwem dla mnie na całe życie!

— Jakto?—przerwałam,—był to człowiek bogaty i przestał panią kochać, jego serce zamilkło!

Młoda kobieta spuściła głowę na piersi, a ręka jej spadła bezwładnie na dół. Patrzałam na nią z uwagą. Cała jej postać była w tej chwili taka piękna, jakiej jeszcze może żaden artysta nie namalował... I dziwne przysły mi myśli do głowy: „Jakto? człowiek bogaty mógł przestać kochać tę kobietę tak bogatą w piękność ciała i duszy?... Zaiste nie znałam żadnej inną, któraby w tym obojętym bogactwie mogła jej wyrównać! Cóż jest miłość? Co kocha mężczyzna w kobiecie?”

Smutek jakiś zaczął ogarniać mi serce. Ujęłam piękną, bezwładnie puszczoną rękę Kornelii, i rzekłam:

— Czyż to być może, aby człowiek zamożny, nie znający kłopotu o codzienne potrzeby życia mógł się od pani odwrócić?

— Odwrócił się!—odpowiedziała, jak automat, głosem bez dźwięku.

Przysła mi w tej chwili dziwna myśl do głowy; przypomniałam sobie słowa mojej krewnej. Kornelia prawdopodobnie nie korzystała z drogiego czasu, w którym była tak blisko serca kochającego.

— Czy niema w tej smutnej tragedii winy po stronie pani?—zapytałam po chwili.

— Winy?—odpowiedziała z niejakiem ożywieniem Kornelia—jakażby mogła być moja wina?

— Wina, na pierwszy rzut oka wcale niedopatrzona. Bogaci ludzie mają swój własny świat, ciasny, egoistyczny. Kobieta, której serce ma szerzy horyzont przed sobą, powinna z przywileju korzystać. Gdy serce mężczyzny jest dla niej otwarte, powinna razem z sobą rzucić w nie cały świat wyższych, szlachetnych uczuć. Powinna otoczyć go nową, nieznaną mu atmosferą i tak się zrość ze światłem tej atmosfery, że bez niej nic lepszego nie mogłby dojrzeć. Serce jej powinno stać się dla niego kunsztownie oszlifowaną soczewką, przez którą patrząc na świat boży, widzi w nim cuda, jakich oko jego pierwój nie oglądało... Zapewne pani czarem miłości swojej nie przeniosłaś go w ten świat wyższy, który ciebie otacza, i nie przykułaś go tym do siebie...

Młoda kobieta milczała: spuściła głowę na piersi i patrzyła przed siebie wzrokiem osłupiałym.

— Więc pani nie jesteś bez winy?—mówiłam dalej.—Poświęciłaś zapewne ten czas drogi zabawkom i pustym frazesom...

Po niejakiem milczeniu odetchnęła młoda kobieta głęboko, i wyszepnęła zaledwie doszyszalnym głosem:

— On się dlatego odwrócił odemnie, że znalazł bogatszą!

— Więc był nikczemny! Nie wart załul!—zawołałam szybko z oburzeniem.

Młoda kobieta podniosła głowę, spojrzała na mnie z uwagą, a grożąc mi podniesionym palcem, rzekła:



— Nie mów pani, że nikczemny!... Oby to nie była zła godzina, w której te słowa wymawiasz!

Głos Kornelii brzmiał w tej chwili tak dziwnie, że zatrwożone serce moje żywiej uderzyło... Po chwili jednak uspokoiłam się. Przypomniałam, że mówimy o człowieku, którego Kornelia kochała. Prawdziwie kochająca kobieta nie pozwoli ulubieńca snów swoich nazwać nawet wtedy nikczemnym, kiedy już wręcz na to zasłużył! Tém się różniły od mężczyzn.

Spojrzałam na Kornelię: stała jeszcze przedemną z palcem, jakby do groźby podniesionym i z dziwnie przeszywającym uśmiechem na twarzy; jej oczy wpily się w głąb mojej duszy i ztamtąd nie mogły się wyrwać.

— Nie mów pani, że nikczemny — powtórzyła po długim milczeniu, — bo w takim razie będziemy sobie równie!

W tej chwili skrzypnął ktoś drzwiami od sieni. Przypomniałam sobie, że służąca czeka na mnie; wstając więc szybko z krzesła, rzekłam:

— Nie chcę więcej wykradać pani drogiego czasu; ale pozwól mi zanieść jedną prośbę. Przy bliższym poznaniu dowiesz się pani, żeśmy może sercem i duszą sobie pokrewne; cieszę się z tego, że sama już to widzę.

Młoda kobieta spojrzała na mnie z niejakim zadziwieniem; po chwili zbliżyła się szybko do stolika, a biorąc ztamtąd paczkę do ręki, rzekła do mnie:

— Zapomniałam, co nas od siebie na zawsze przedzieli!

To mówiąc, podała mi z uprzejmym ukłonem małą paczkę; był to ów haft zamówiony. Przyznam się, że nie w porę mi przyszedł; sprowadził on nasz wza-

jemny stosunek do smutnej rzeczywistości: przedemną stała tylko biedna zarobnica. Piękne myśli i obrazy, które przed chwilą jej głowę otaczały, rozwiały się, jak złudne mgły jesienne, gdy słońce zejdzie...

Unikając dalszego upokorzenia biednej pracownicy, schowałam pakiecik, a natomiast nieznacznie zostawiłam na stole banknot, który według zwykłego rachunku, daleko przewyższał należną za haft kwotę. Mówiłam jeszcze coś o wyprawie mojej, w której jej pomocy potrzebować będę i pożegnałam ją serdeczném ściśnieniem ręki. Przyobiecując jej rychło odwiedzić. Młoda kobieta zegnała mnie z widoczną obojętnością; była roztargniona, jakby słów moich nie słyszała.

Zaledwie jednak ze służącą zdążyłam do hotelu, zastałam już tam czekającego na mnie Żydka. Odał mi list następujący:

— „Zapewne przez zapomnienie zostawiłaś pani banknot, nie mówiąc mi, abym z niego wydała reszty; czynię to teraz. Za haft, jako za pracę dziesięciodniową, biorę dziesięć złotych. Wprawdzie w sklepie daleko więcej się płaci; biedna jednak kobieta, która cały dzień mozolnie pracuje, nie może więcej zarobić. Może osoby opływające w dostatkach i zbytkach mniej liczyłyby sobie podobną pracę; ale to już przekleństwem jest biednych, że ich trud, pracę, a nawet poświęcenie się oblicza świat na pieniądze tylko i to nader mało!... Resztę odsyłam.“

Takić treści był list przyniesiony przez Żydka. Poznałam w nim duszę dziwnie ekscentrycznej kobiety. Co większa, domacałam się w tych słowach pewnej pychy względem mnie jako bogatszej. Tę pychę ubóstwa można często napotkać u biednych; znamionuje



ona jednak zawsze jakiś grunt lepszy, chociaż sama przez się jest naganną.

I przyznam się, że tém postępowaniem tej dziwnej kobiety czułam się upokorzoną. Przekonałam się, że nie zawsze pieniądz nasz ma tam wartość, gdzie go kładziemy; często się zdarza, że wyszedłszy z rąk naszych, staje się dla innych fałszywym leżmanem i takim także do nas wraca!..

Takie myśli zaprzętały moję wyobraźnię podczas powrotu z miasteczka do domu.

XXIX.

W dniach następnych wszystkie moje myśli i marzenia podzielone były między Cezaryusza a Kornelią. Roilał sobie rzeczy najęudowniej-sze. Do planów moich na przyszłość przybyła trzecia osoba. Jój szlachetne serce, jój dusza pełna wzniosłych uczuć obiecywała mi siostrzaną pomoc we wszystkich naszych wspólnych projektach. Widziałam ją przy swoim boku, jako siostrę, która mnie rozumiała i pojmowała. Nieszczęście, które grubym ki-rem jój umysł oblekło, przyciągało mnie do niej jakąś potęgą tajemniczą. Zdawało mi się, że pod wpływem mojej przyjaźni i przy wspólnych pracach naszych, straci to nieszczęście raniące kolce swoje i pozwoli jój zwolna pogodzić się ze światem. Marzyłam nawet, jak o tém wszystkiém Cezaryuszowi opowiadać będę, i jak go mocno uraduję tym niespodzianie znalezio-nym klejnotom na drodze naszego życia!..

Takie rojenie snułam sobie przez dni kilka. Na-więzywały się one snadnie do marzeń moich o przy-szłości, szczęściu, Cezaryusz bowiem pisywał codzien-nie, jakby chciał dać mi niezbity dowód, że cały czas



wolny od zajęć gospodarskich i interesów ogólniejszych, tylko mnie poświęca. We wszystkich jego listach przebijała gorąca miłość dla mnie, nieogarniona ku mnie tęsknota. Bez marzeń o mnie wydawało mu się życie pustem i ciemnym, jak podróżnemu droga wśród nocy!...

Miłość kobiety jest najczęściej biernym uczuciem. Jój położenie społeczne, obyczaj odwieczny, a nawet sama istota jój serca nie pozwalają jój wyjawiać pierwój nowych uczuć, dopóki druga strona milczeć się zdaje. Rzadko bardzo się zdarza, że dwa serca naraz do siebie uderzą i w jednej chwili się zrozumieją, najczęściej dopiero wypowiedziane uczucie mężczyzny wywołuje u kobiety wzajemność, i to tym większą, im silniejsze jest pierwsze.

Taką była moja miłość dla Cezaryusza. Rozłączenie nasze wywołało między nami tyle objawów jego przywiązania do mnie, że w końcu uczułam prawie takie samo silne uczucie w duszy, jak owo, o którym nigdy tak gorąco marzyłam!

Teraz już go kochałam naprawdę, kochałam całą duszą, całym życiem. Nawet wszelkie wspomnienia dawnych marzeń moich, wspomnienia tym ponętniejsze, bo w rzeczywistości nie dosnute, blakły teraz i ginęły w obec nowych wzruszeń, jakich serce moje doznawało!

I nie mi prawie już nie brakło do szczęścia. Bawiłam się rozkosznie tym szczęściem, jak się bawi dziecię błyskotnym cackiem. Na wszystko, co mię otaczało, patrzyłam okiem szczęśliwej kobiety. Jesienne pogodne niebo z białymi obłoczkami, gwiazdy migające z milczącą twarzą księżycy, tajemniczy szum

lasów zielonych, śpiew ptaków i poświst wiatrów północnych, wszystko było dla mnie zrozumiałe, pełne uroku, i z dziwną rozkoszą wnikało w całą moją istotę! Zdawało mi się, że tym wszystkim żyję i oddycham, że za każdym oddechem wchodził ten cały świat w piersi moje i rozpiekał je jakimś dziwnie rozkosznym uczuciem!...

Czy pojmie, czy zrozumie kto miłość kobiety?...

Szczęście moje ceniłam w tej chwili tym wyżej, im ciemniej odbijała od niego smutna dola biednej Kornelii. I ona marzyła niegdyś o podobnym szczęściu, i ona miała wszelkie prawo do niego, a może nawet większe odemnie, bo była wyższa przymiotami duszy i serca! Dlaczego Bóg jój nie dozwolił być zarówno szczęśliwą?...

Nieszczęście biednej kobiety naprowadzało mnie na różne myśli. Naprzód ogarniał mnie strach niemoty, gdy pomyślała, że podobny los byłby i mnie spotkał, gdyby nie ten przypadek, że się nie urodziła ubogą. Wyobrażałam wtedy siebie porzuconą od całego świata, upokorzoną i nieszczęśliwą. Miałam żal do społeczeństwa, że tak haniebnymi prawami się rządzi. Przywilej mój bolał mię, bo był okupiony łzami wielu nieszczęśliwych, a w gruncie może wyższych odemnie! Szczęście moje wydawało mi się z jednej strony tym ponętniejszym, że obok niego tylu nieszczęśliwych na mnie patrzyło z drugiej strony rozpiekała serce skarga, dlaczegoż i tamci równie szczęśliwymi być nie mogą?...

Byłam podobna do żeglarza, który w pysznym okręcie odbił od brzegu. Na pełnym morzu rozbija



się okręt; wzburzone fale rozłamują kruchą budowę; wielu z moich towarzyszy tonie, inni dobywając ostatnich sił, pasują się z rozhukanym żywiołem. Mnie dostała się jedna deska, której trzymając się, unosiłam się na fali. Zrazu smutno mi było, że nie mogła dalej płynąć w wygodnym, pysznym okręcie. Narzekałam na los, że mnie pozbawił tak przyjemnej podróży; ale spojrzawszy wkoło siebie i widząc, że wielu potonęło, a inni towarzysze podróży ze śmiercią walczą—przycisnęłam pozostały mi kawałek deski do piersi i podziękowałam Bogu, że i tak o mnie nie zapomni! Na tę deskę luźnie po falach pływającą przeniosłam wszystkie moje marzenia z rozbitego okrętu!...

Taką wydała mi się miłość moja. Ogarnęłam ją całym ciepłem duszy, bo wiedziałam, że inną między ludźmi już nie znajduję. Ale obok mego szczęścia myślałam o nieszczęśliwej Kornelii! Chciałam ją bliżej przyciągnąć do siebie i złagodzić jej cierpienie: nie łatwe to jednak było zadanie.

Za kilka dni znów byłam w mieście; wzięłam z sobą coś z mojej wyprawy: chciałam tym sposobem naprzód materyalnie przyjść w pomoc Kornelii. Ale się zawiodła. Kornelia przyjęła mnie z jakąś trwogą, z jakąś bojaźnią. Nie zbliżyła się do mego serca, ani pozwoliła mi zbliżyć się do siebie: była dla mnie zimną, dumną, hardą.

Spostrzegłam, że w obec tej kobiety na nic się nie przydadzą wszystkie moje dobre chęci. Podejrzewała mnie prawdopodobnie o intencje jałmużnicze, i odpychała je z całą dumą niezasłużonego ubóstwa. Potrzeba było szukać innej drogi. Za robotę, którą jej dałam, brała tak mało, że to przechodziło wszelkie

wyobrażenie. Posądzałam ją o tajoną chęć dokuczenia mi. Chciała mi dać uczuć całą nędzę ubóstwa swego, a przytém z pewną ostentacją okazywała dumę, z jaką umie znosić los nieszczęśliwy.

Przypadek rzucił mi znowu w drogę pana Sławosza. Próżniak miejski miał twarz już naprawdę znużoną.

— Przychodzisz pan na zawołanie—rzekłam do niego;—właśnie myślałam o panu.

Sławosz zdarł skwapliwie angielską czapeczkę przyzwaną głowę i uśmiechnął się z wyrazem nieszczęśliwionego.

— Czy umiesz pan milczeć?

— Jak zimny grób, panie!—odparł skwapliwie.—Milczenie jest moim najlepszym przymiotem, bo w moim nie jestem zbyt tęgi!

— Pani Kornelia potrzebuje mojej pomocy; ale ja muszę pozostać ukrytą.

Sławosz zadrżał od wzruszenia rozkoszy, która mu nowe romantyczne obiecywała przygody.

— Odbierzesz pan ze sklepu różne płótna i poleciś jej uszyć różne potrzebne mi rzeczy według załączonych wzorów.

— Bał ale czy ją to nie obrazi? A nuż nie jest ona prostą szwaczką, tylko...

— To pan poszlęj służącą, tylko o mojem nazwisku niech pan nic nie wspomina!

Pan Sławosz przyrzekł wszystko wypełnić, a ja udałam się do sklepu dla zakupna potrzebnych rzeczy...

Powróciwszy do domu, przebyłam dni następne w pewnym miłym spokoju, który bywa owocem spełnionego dobrego uczynku. Jeszcze kilka razy posyła-



łam z różnemi drobnemi robótkami pannę służącą do miasta, a poczciwy Sławosz był zawsze tak uczynny, że mnie nawet przestał rozśmieszać prostotą swego ducha.

Niebo szczęścia mego wyjaśniało się z każdą chwilą i zamieniało w czysty, głęboki szafir. Wszystkie grożące mi zrazu mgły i chmury rozsunały się i osiadły na krawędziach widnokręgu, aby nigdy więcej nie wrócić.

Każde wspomnienie Cezaryusza, wywołało na mocniejsze bicie serca. Lada turkot wozu na dziedzińcu, napędzał mi rumieniec na twarz. Dziękowałam Bogu, że mi dał w pełni uczuć rozkosz miłości.

Wreszcie nadszedł list od Cezaryusza, w którym obiecywał, że za dni kilka przyjedzie. List był pełen najgorętszej tęsknoty. Cezaryusz używał w nim wyrazów, jakich nigdy od niego nie słyszałam. Byłam w dwójnasób szczęśliwą!

I jakbym się do tej uroczystej chwili przygotować chciała, wychodziłam codzień po kilka razy na drogę do lasu prowadzącą, i śledziłam długo, długo czy nie ujrzę jakiego podróżnego...

Serce mi biło przytęm, jakbym już w tej chwili Cezaryusza oczekiwała. Na twarzy czułam gorące jego spojrzenia, tak wymowne, jak gdyby miały usta. Rumieniłam się sama przed sobą... Zdawało mi się, że każdy liść patrzy na mnie...

W jednej z tych dziwnych chwil życia stałam na skrócie drogi niedaleko ogrodu; przyłożyłam rękę do czoła i patrzyłam w dal błękitną, gdzie wił się jasny pasek małej drożyny; serce biło mi niespokojnie.

Na bocznej drodze, o kilkadziesiąt kroków ode mnie, zaturkotał wózek. Spojrzałam w tę stronę.

Dziwne serce! uczułam nagle tak gwałtowne łokieć, jakby mi nagle z piersi wydobyć się chciało!...

Na wózku jechał jakiś mężczyzna w szarém myśliwskim ubraniu. Twarzy jego rozeznąć nie mogłam... Przyszedł mi na myśl... pan Andrzej.

Zawstydziłam się i przestraszyłam tego dziwnego wzruszenia. Marzenia dni owych leżały już w pamięci mojej porzucone i podarte, jak szmatki z lalki dziecięcej; a czemuż w tej chwili dobiły się z ciemnego kąta, by ciemną smugą swoją wypłynąć na jasne moje niebiosa?

Zawróciłam do domu, i za karę weszłam do biblioteczki mojej, abym tam w samotności odpokutować dziwne wzruszenie serca, które dzisiaj całe oddane było Cezaryuszowi.

Za godzinę wypogodziły się marzenia moje, a na jasnym niebie przyszłości siedział na tronie Cezaryusz. Ucułam znowu tęsknotę ku niemu, i znowu z bijącym sercem wyszłam na drogę, i patrzyłam na ten błękitny pasek drożyny...

Rzeczywiście tym razem ukazał się wózek podróżny, ale zamiast Cezaryusza ujrzałam stryjenkę.

Stryjenka rzadko mnie odwiedzała: tylko ważny interes rodzinny sprowadzał ją niekiedy do nas.

Spojrzałam na jej twarz, i przeczułam odrazu, że w jej wyrazie kryje się jakaś ważna kartka mojego życia.



XXX.

**Z**niezwykłą powagą powitała mnie stryjenka. Kazała mi usiąść przy sobie w powozie. Zaledwo kilka słów zamieniłyśmy między sobą. Jechałyśmy do dworu w głębokim milczeniu.

Ponieważ ojca mego nie było w domu, kazała stryjenka zaprowadzić się do biblioteczki. Był to najcichszy i najstronniejszy kącik w całym dworze: wносиłam ztąd, że stryjenka ma ze mną o czémś ważnym pomówić.

Z bijącym sercem usiadłam przy niej. Stryjenka patrzyła na mnie czas niejaki, a potem ozwała się spokojnie:

— Przeczuwasz zapewne, że zbliżam się do ciebie w zamiarze jak najlepszym. Słowa moje może z początku zabolą cię, ale w skutkach przekonasz się, że były podyktowane życzliwością i przyjaźnią dla ciebie.

Wstęp taki zaniepokoił mnie jeszcze bardziej; wstrzymałam oddech w piersi, aby żadnego z jej słów nie uronić.

— Wiem o tém — mówiła dalej stryjenka, — że

masz swój własny rozumek, który z tych książek wysalaś, i którym jak niezręcznie przyczepionym rudlem chcesz się kierować po falach życia. Wierzaj mi, życie nie jest, jak gładka, bezdenna powierzchnia morza, po której można pływać, jak się komu podoba: życie ludzkie jest to potok górski, który każdą skałę, każdy kamyk okrażać musi, jeżeli nie chce rzucić się w bezdenną przepaść i zginać!

— Słowa stryjenki trwożą mnie, — rzekłam z sercem ściśniętym.

— Słowa moje przychodzą zawsze w czas, aby grożące ci nieszczęście odwrócić. Wierzaj ludziom doświadczonym. Nie chciéj życia układać podług romansu. Gdyby Ewunia tak samo myślała, byłaby do dziś dnia stara panną. A tak potrzeba było na jedną rzecz oko przymrużyć, a resztę samo z siebie się ułożyło. Stanisław nie jest wprawdzie bohaterem romansu, ale jest człowiekiem, z którym wyrozumiała kobiéta żyć może. Jest dla Ewuni grzecznym i uprzejmym, co dzisiaj już wiele znaczy. Umié żyć w świecie, a jeśli ma jakie wady, to umié zachować je w tajemnicy. W wielu rzeczach zostawia Ewuni wolną rękę, co także wiele znaczy dla kobiety.

— Wszystkiego tego nie rozumiém!

— Bo ty, Regino, całego rzeczywistego świata nie roznmiesz. Szukasz całej sztuki drogiej materii, a tymczasem jest już dosyć, jeśli ta materya nie jest zupełnie podartą. Nie znajdziesz u żadnej kobiety całego szczęścia: każda naprawia i łąta, jak może, a do świata obraca stronę jak najlepszą!... Nie chciéj więc żądać rzeczy niepodobnych i weź życie, jakim jest!...



— Ale ja mam już całe moje szczęście gotowe! Nie potrzebuję nic szukać, nic brać!

— Jesteś nieszczęśliwą względem mnie. Wiem, że krzątasz się koło naprawy tego szczęścia, ale bierzesz się do tego nieoacznie. Podobną jesteś do majtka, który chcąc dno okrętu naprawić, wyrąbuje spróchniałe belki, aby je nowymi zastąpić; tymczasem przez zrobiony otwór bucha woda i zatapia okręt!

— Moje szczęście już naprawiłam, gdzie tego było potrzeba — odpowiedziałam z naciskiem, — a dzisiaj już się niczego nie obawiam.

— Zawsze ten sam krnąbrny rozumek, ta sama zarożumiałość. Zrazu wzdrygałaś się na samą myśl o przyjeździe Cezaryusza, a dzisiaj sama przyznajesz, że biorąc go za męża, bierzesz sobie szczęście, jakiego ci wszyscy zazdrościsz.

— Otwarcie wyznam, że mam przed sobą nadzieję szczęścia!

— Ale szczęście ludzkie jest kruche, nie trzeba żadnych eksperymentów używać.

— O eksperymentach nigdy nie myślałam. Czy stryjenka wie o czém, coby mi w tej mierze zarzucić można?

— Czy wiem, czy nie wiem, o to teraz nie chodzi; ale radzę ci dnia ślubu nie odwlekać, tylko jak najprędzej go postanowić.

— Przecież mi nie grozi żadne niebezpieczeństwo! Nic wkoło siebie nie widzę, coby mnie niepokoić mogło!

— Nie uwierzysz, jak świat w tym względzie złośliwy. Jeżeli gdzie się znajdzie para narzeczonych, wzbudza to jakąś dziwną pomiędzy ludźmi za-

zdrość. Człowiek jest samolubem, a każde szczęście budzi w nim zazdrość; wynajdują więc rozmaite rzeczy, które rzucają na drogę narzeczonym, aby ich rozłączyć: dla jednych jest panna za stara, dla drugich za młoda; narzeczony jest dla jednych ubogim na duchu, dla innych ubogim na kieszeni; raz ma nos za duży, drugi raz za mały: słowem nicuje się wszystko, że świętej cierpliwości potrzeba, aby wytrwać aż do ślubnego kobierca. Po ślubie wszystko samo z siebie upada. Para wydaje się wszystkim dobraną i jakby stworzoną dla siebie: on nie mógł się lepiej ożenić; ona nie mogła lepiej wyjść za męża. Ci sami ludzie, którzy przed ślubem niestworzone rzeczy wygadywali, przychodzą do młodego małżeństwa ze słodkim uśmiechem, winszując mu szczęścia i długiego życia!... Ach! wszyscy ludzie podobni są do dzisiejszych dyplomatów, którzy srożą się i grożą sąsiadom, a uginają głowę przed spełnionymi faktami, utrzymując, że stało się dobrze, bo inaczej stać się nie mogło!

— Jakąż naukę mam ztąd wziąć dla siebie? Do-tąd jeszcze nie widzę jasno, nie umiem sobie zdać sprawy...

— Nauka jest ta, abyś z Cezaryuszem wzięła ślub jak najprędzej, a gdy to będzie czynem dokonanym, umilkną wszystkie wieści i zbyt subtelnie wyrafinowane pretensje osób trzecich, które mają się za pokrzywdzone...

Na te słowa nie miałam już żadnej odpowiedzi. Stryjenka mówiła tak spokojnie, jakby słowa swoje opierała na jakichś znanych faktach, o których ja nie miałam najmniejszego wyobrażenia. Nie mogłam stryjenki ani pojąć, ani zrozumieć.



— Naprzód—mówiła dalej stryjenka—nie jesteś dzieckiem, aby tego nie pojąć, że jak w marzeniach kobiety znajdzie się coś, czego ona do przyszłego szczęścia nie potrzebuje i porzucone na dnie pamięci zostawia, tak samo i w życiu mężczyzny są pewne wydarzenia, które go w drodze życia napotkały, chwilę z nim szły, a potem jak pył z obuwia przed progiem przyszłego szczęścia jego odpadły. Takich drobnych wydarzeń nie trzeba nigdy brać zbyt surowo, a chociaż czasem surowo brane były, nie trzeba ich oświecać światłem tragicznym, bo to ani jednej, ani drugiej stronie na nic się nie przyda!

Zaczęłam przeczuwać jakieś wielkie nieszczęście. Serce moje ścisnęło się boleśnie. Czułam nad sobą grom zawieszony, ale nie wiedziałam, z której strony na mnie uderzy!

— Jakto?—ozwała się po długim milczeniu,—miałaby Cezaryusz ofiarować mi serce?...

— Serce mężczyzny — przerwała stryjenka,—to ostatnie jego słowo i postanowienie! Innego serca nie żądam od niego. Jest ono podobne do srebrnej monety, która czy nieco starta czy cała, ma zawsze jeden i ten sam hart. Zresztą kochająca kobieta posiada władzę przywrócić tej wytartej monecie jej dawny, srebrny połysk.

Uśmiechnęłam się boleśnie na tę dziwnie praktyczną filozofią stryjenki. Przy spokojniejszym usposobieniu, byłabym może podjęła tę myśl i dalej o niej zoprawiała; w tej chwili jednak nie chodziło mi o żadne teorie życia. Serce moje było ściśnięte jakąś trwogą nieokreśloną. Szczęście moje było zagrożone. Chciałam stanowczo zapytać stryjenki, z ką, i jakie

grozi mi niebezpieczeństw?—ale słów na to znaleźć nie mogłam. Lękałam się, abym od razu nie usłyszała czegoś takiego, co by może było nad moje siły. Tymczasem stryjenka mówiła dalej:

— Zważyć potrzeba jeszcze na to, że nie każda historia jest w gruncie taką, jaką wydawać się może napozór. Są kobiety, które z góry ułożą sobie pewną kampanię i przeprowadzają ją ze wszystkimi wymysłami taktyki i strategii. Podobne do zimnych aktorek, odchodzą z tragicznej sceny, aby za kulisami śmiać się i bawić w towarzystwie wesołym. Na scenie chodzą na koturnie i pozuja, a na wesołym wieczorku rzucają wkoło błyskotne dowcipy i zalotne spojrzenia!... Zważ tylko moje dziecię, że żadna kobieta nie szalała i nie rozpaczała po biednym kochanku, a za bogatym gotowa się posunąć do najtragiczniejszej sceny....

Nie mogłam dłużej powstrzymać oburzenia na takie poniewieranie serca kobiecego.

— Stryjenka—rzekłam z giewem—wyrządzasz wszystkim nam, a tém samém i sobie, wielką krzywdę!

Praktyczna i doświadczonego kobieta roześmiała się z ironią; patrzyła chwilę z uwagą na mnie, a potem się ozwała:

— Czy myślisz, że panna Halina inną rolę teraz odgrywa?

— Jaka Halina?

— Przecież masz z nią codzienne stosunki i więziłaś ją w szczególniejszą opiekę. Nie wiem, jaki ostatecznie masz w tém planik, ale obawiam się, że wynikiem coś z tego, może nadzwyczaj mądrego, ale bardzo niekorzystnego dla ciebie.



— Na miłość Boga!—zawołałam prawie z rozpaczą — nie znam żadnej Haliny i nie wiem, co się straszno święci!

— Może być, że inne imię przybrała, jak zwykły czynić aktorki!

— Gdzież ona jest?—krzyknęłam i chwyciłam ręką za serce, bo mi w tej chwili pęknąć chciało.

— Mieszka w mieście z matką i utrzymuje się z szycia!

Piers mi drgnęła konwulsyjnie: przyszła mi na myśl Kornelia.

— Jaktol i ta osoba miałaby posiadać serce Cezaryusza?—zapytałam drżącymi usty.

— Była prawie jego narzeczoną, jak o tém mówiono w całej okolicy!—spokojnie odrzekła stryjenka.

Teraz dopiero pojęłam słowa i całe zachowanie się Kornelii!... Świat mi pociemniał przed oczyma.

Pierwszej chwili tej nowej mojej sytuacji nigdy opisać nie zdołam: zdawało mi się, że piorun uderzył we mnie, ale nie czułam żadnej boleści, nie miałam żadnego czucia, ani życia w sobie. Myśli moje zatrzymały się nagle, jak koła maszyny parowej, pod którą ogień zgazono. Nie słyszałam nawet bicia serca, ani czułam, aby piers moja oddychała.

Stryjenka patrzyła na mnie z pewnym zadowoleniem. Moje odrętwienie wzięła za odwagę, z jaką słów jej wysłuchałam. Podgarnęła mu włosy, z pod których zimny pot płynąć zaczął, a nawet zdaje mi się, że mnie w czoło pocałowała. Późem mówiła dalej:

— Jakiegokolwiek zdanie twoje w pierwszej chwili być mogło, cieszę się z tego, że cię widzę odważną i spokojną. Chcesz biednej i nieszczęśliwej kobiecie

dopomódz, to i owszem; tylko miej się na baczności, aby cię nie zdradzono. Znasz bajkę o wężu, którego wieśniak w swoim zanadrzu wychował. Położenie twoje dzisiejsze jest bardzo niebezpieczne; dla tego nie przestanę wołać: ślub, ślub! jak najprędzej! Niech będzie raz fakt spełniony, sakrament dokonany; potem, już łatwiej i bezpieczniej oddać się miłości chrześcijańskiej!

— Czyż istonie grozi mi takie niebezpieczeństwo?—zapytałam, jak automat, głosem urywanym.

— Niebezpieczeństwo jest, bo serca mężczyzn są dziwnie kapryśne. Ona ma być piękną i posiada wiele ujmujących przymiotów. Cezar szalał za nią, tak umiała romans prowadzić: to właśnie spóźniło pierwszy przyjazd jego do ciebie.

Czułam, że połowa mojej twarzy była, jak w ogniu, a druga połowa zimna, jak lód. Teraz dopiero usłyszałam bicie serca: zbudziło się z całą gwałtownością. Wyznać muszę, że pierwsze jego uczucie było... podobne do zazdrości.

— Któż jest ta nieszczęśliwa kobieta?—zapytałam chciwie,—czém była dawniej? Od niej nie dowiedziałam się dotąd nic o jej przeszłości.

— Ojciec jej, straciwszy rodzinny majątek, chodził znacznemi dzierżawami. W ostatnich czasach sąsadował z Cezaryuszem. Panna Halina otrzymała wychowanie wykwintne i w całej okolicy słynęła za piękność angielską. Ma mieć rude włosy.

— Blond włosy! Prześliczne włosy!—poprawiłam stryjenkę.

— Mniejsza o włosy—odpowiedziała z chmurką na czole stryjenka,—ale ma mieć spryt wielki włada-



nia sercami mężczyzn. Otaczało ją nieustannie mnóstwo adoratorów. Wybrała z nich, rozumié się, najbogatszego i obmotała go złotą siatką. I kto wie, co by się stało, gdyby sam Pan Bóg téj misternéj osnowy nie był przeciał.

— Cóż Pan Bóg uczynił?—zapytałam z pewną boleścią.

— Nieboszczyk pan Krzysztof, podniecany ustawicznie przez Halinę, aby czegoś lepszego od innych dobił się między swymi, wdał się w różne eksperymenty, które go zrujnowały. Reszty dokonały klęski ziemi, nieba i różnych innych wydarzeń. Nastąpiła subhasta, pan Krzysztof zapadł na tyfus i śmiercią swoją zmazał wszystkie rachunki. Halina z matką osiadła w mieście i utrzymuje się z pracy.

— A Cezaryusz?

— Cezaryusz długi czas nie wiedział, co zrobić. Panna Halina brała na siebie, jak najczarniejsze suknie, czesała włosy *à la Niobe*, grała i śpiewała jedynie smutne melodie. Ale rozwaga i rada przyjaciół przemogła u Cezaryusza. Zerwał więc pozory stosunku, bo zaręczyn żadnych między nimi nie było!

— Więc to wszystko dobry Pan Bóg uczynił! — rzekłam, patrząc w zamyśleniu przed siebie.

— Widać, że Pan Bóg czuwał nad twoją przyszłością! — wymówiła szybko stryjenka; — dlatego miej ufność w Jego miłosierdziu, że cię i nadal nie opuści. Tylko swego rozumu nie kładź na szalę Jego wyroków, bo przecież najmądrszy człowiek z Bogiem mierzyć się nie powinien!... A więc unikaj wszelkich założonych intryg, i jeszcze raz: ślub, ślub, jak najprędzej.

Nie nie wiem, co się dalej ze mną działo. Zdaje mi się, że czułam na czole pocałunek stryjenki; potem jakoś zrobiło się wkoło mnie pusto i przestronno. Spojrzałam: byłam sama jedna! Rozśmiałam się śmiechem obłąkanego, a obfity strumień łez wytrysnął mu oczu, i płynął bez ustanku, jakby nim całe życie wyłynąć chciał!...



XXXI.

**P**o całogodzinym spazmatycznym płaczu uczułam ulgę. Przedemną poczęło się rozwidniać. Najbliższe przedmioty wystąpiły przed moje oczy ze wszystkimi swemi konturami. Patrzyłam na nie czas niejaki prawie bezmyślnie; potem przypominałam sobie słowa stryjenki. Wyskakiwały z głębi mojej pamięci, jak bańki powietrza uwieszone na dnie wody; zaczęły się znowa grupować obok siebie. Wyczytałam z nich to wszystko, co mi stryjenka przed godziną powiedziała!

Wszelako nie mogłam jeszcze zastanawiać się nad tém wszystkiém. Mąciło mi się w głowie, jedna myśl za drugą zaczęła się nie chciała. Biegały one luźnie po głowie bez szyku, bez logiki. Wreszcie z wielkim moim trudem sformułowałam sobie w ten sposób mój stan obecny.

Cezaryusz przedemną kochał inną. Osoba ta była godną miłości każdego z mężczyzn. Posiadał wysokie przymioty duszy i urody. Nieszczęście i ubóstwo odjęły jęj błyskotny pokost światowy, w którym przeglądają się dusze płytkie i powszednie. Wtenczas

uleciała od niej miłość Cezaryusza i zwróciła się do mnie. Cóż jest więc miłość? Czy Cezaryusz kochał Halinę? Cóż kochał w tej kobiecie? Cóż Cezaryusz dzisiaj we mnie kocha? Cóżby uczynił, gdyby podobny, jak Halinę, los mnie spotkał? Czy każda uboga kobieta ma być wyjęta z pod praw do szczęścia? Czy mam przykładem uświęcić tę dziką zasadę społeczną? Czy mogę sumiennie wziąć w posiadanie skarb, który gdzieindziej był w zastawie, a na który dano całe życie?... Czy serce moje rzeczywiście kocha Cezaryusza?

Na te pytania nie miałam na razie żadnych odpowiedzi...

Spojrzałam po książkach, stojących w długich czarnych szafach. Byli to dawniej jedyni moi przyjaciele; ale dzisiaj nikt mi z tych wiernych doradców nie odpowiedział. Twarze ich były milczące, usta marte, oczy zimne i skamieniałe!

Spojrzałam po obrazach wiszących na ścianach. Niegdyś myśl dziecinna szukała w nich różnych odpowiedzi na wątpliwości i zagadnienia życia; sceny, które wystawiały, tłumaczyły mi nieraz najdziwniejsze zapytania. Dzisiaj patrzyły smutno na mnie, a zamiast życia i myśli okazywały mi tylko czarną farbą drukarską lub różnorakie barwy na płótnie!

Spojrzałam przez okno na daleki i mroczny obraz, który szeroko roztaczał się przedemną. Tam w błękitnawej dali majaczyło coś, co nie mogło odpowiedzieć na zapytanie moje! Tam mnie rwało, i ciągnęło, i obierało radę, jakiej napróżno wkoło siebie szukałam. Zarzuciłam szal na ramiona i wyszłam do ogrodu, aby z tamąd pójść daleko po odpowiedź! W ogrodzie było



muienia niedawnych, złotych marzeń! Oto tam krzak agrestu, z pomiędzy którego Cezaryusz dobył ów kwiateczek powojul... Tam jeszcze nie powiedły zupełnie bratki i astry, o których tyle pięknych rzeczy mówiliśmy z sobą!...

Duszo, ciasno mi było wśród tych wspomnień. Chciałam je na chwilę wszystkie zostawić za sobą, aby nie głużyły odpowiedzi, jakiej, nie wiem od kogo, może od Boga, oczekiwałam!... Czémprędzej wyszłam z ogrodu.

Z ogrodu prowadziła ścieżka ku lasowi. Na tej ścieżce często z Eugenią spotykałam Cezaryusza, gdy do nas przyjeżdżał. Tam na skrócie drogi, wśród tych zarosli leszczyny, obaczyłam go po raz pierwszy!

Uszczknęłam garść liści z wiszącej nademną gałązki, bo zdawało mi się, że liście te szepcą mi to wszystko, com wtedy poraz pierwszy od Cezaryusza słyszała! Rzuciłam te liście na wiatr, który je pochwycił i poroznosił na wszystkie strony świata!...

Wreszcie, przebywszy las, wyszłam na obszerną, dalekimi górami zamkniętą dolinę. Széroka przestrzeń otwierała się przedemną. Oczy moje wyciągnęły się po tej przestrzeni i szukały jakiegoś punktu wypoczynku, któryby serce wzburzone mógł ukoić!...

Dziwne wrażenie sprawia rozległość na chore serce. Zdaje się, że cała istota nasza rozciąga się po tej przestrzeni niezmierzonej i sprawia nam ulgę pożądaną. W piersiach robi się przestronno, oddychamy całą przestrzenią. Wszystko, co tam jest, dzikie piękne, wody, łąki, góry i lasy, wchodzi kolejną pierś naszą i zostawia tam woń i urok dla naszego zepienia!

Takim orzeźwiającym widokiem nawiązała mię dolina. Czułam w piersiach zapach macierzanki i konwalii, mogłam pomiędzy nimi odróżnić woń najdrobniejszego kwiatka, jaką mi w dani posyłał; słyszałam każdy szept strumyka, śpiewkę każdego ptaka, słyszałam brzęczenie złotej muszki i szelest trawki, po której pełzał mały robaczek... ale odpowiedzi dla siebie nie słyszałam!

Usiadłam na kamieniu, który samotnie leżał na miedzy, i zamyśliłam się.

Życie ludzkie roztaczało się przedemną w dziwnych obrazach. Widziałam grupy najrozmaiciiej utworzone, w ustawicznym ruchu. Wrzało tam ciągle i kipiało, jak w mrowisku. Jedni biegli do celów swoich; inni wracali zgarbieni od starości lub skałeczeni. Żaden nie zważał na drugiego. Gdy jeden upadł, drugi stawiał na nim nogę, aby iść dalej, albo wyżej spojrzeć. Widziałam kobiety z rozpuszczonymi włosami, ciągnące za poły mężczyzn, którzy nęceni przez inne im się wyrwali! Słowem walka, powszechna wielka walka! A któż w tej walce najpierw i najczęściej upada? Oto biędni i ubodzy! Czyż to jest przekleństwem być ubogim na świecie?

Już prawie nad wieczorem wróciłam do domu. Nie przyniosłam z sobą żadnej odpowiedzi. Najdalejszy przedmiot, który w dolinie widziałam, samotnie na ostatniem wzgórzu stojący krzaczek mówił mi, że odpowiedzi jeszcze dalej szukać potrzeba!...

W domu zastałam ojca, który właśnie tylko co był wrócił z pola. Był wesół i niezwykłą pogodę miał na twarzy. Zapytałam go o powód weselości.

— Chciałem ci sprawić niespodziankę—rzekł to



mnie,—ale serce moje buntuje się przeciw temu. Cezaryusz przyjedzie dzisiaj... I cóż ty na to?

To mówiąc, pieszczotliwie podniósł dłonią twarz moją do góry.

— Czemużeś taka smutna?—zapytał, patrząc na mnie;—twoja twarz zimna, jak marmur, a oczy czerwone, jakby od płaczu?

Nic na to nie odpowiedziałam, bo czułam łzy pod powiekami. Ojciec pocałował mię w czoło.

— Odgaduję twój smutek — rzekł po chwili,—i mnie także smutno nieraz! Coraz bardziej zbliża się czas, w którym ja ciebie, a ty mnie utracisz! Oby Bóg miłosierny wynagrodził nam wzajemną stratę!

Przed gankiem zaryły się w téj chwili dzielne rumaki,—z powozu wyskoczył Cezaryusz.

XXXII.

Ojciec wybiegł na powitanie Cezaryusza. Dla mnie była ta chwila dziwną, jakiej opisać nie jestem w stanie. Zdawało mi się, że stoję między dwoma prądami, z których każdy ciągnie mnie zarówno w swoją stronę. Widok Cezaryusza, który niejako zrósł się z marzeniem mojem, a którego do niedawna z taką tęsknotą oczekiwałam, pociągał mnie gwałtownie do niego. Serce moje rwało się ku niemu, jak ptak długo pozbawiony swobody. Czułam, że wszystka krew uderza mi do twarzy, że wszystkie nerwy moje drżały jakimś dziwnym dreszczem wzruszenia; ale droga między mną a Cezaryuszem zakłęsa się nagle w przepaść niezgłębioną. Zimny, mroźny wiatr dął ku mnie z téj przepaści i lodowatém powietrzem owijał skroń moją gorącą. A nad przepaścią zawieszona, jak widmo w powietrzu, unosiła się śmiertelnie blada kobieta i groziła mi ręką do góry wzniesioną, jakby mówić chciała: „Między tobą a szczęściem twojem stać będę wiecznie! Wyciągając rękę po rozkosz życia, napotkasz mnie zimną, skostniałą z boleści; wy-



syłając oko po wonne barwy, obaczysz moje usta sine i zamarły na nich uśmiech kurczowy!...”

Diwny, okropny był stan mojej duszy. Nie wiedziałam, co uczynić, na którą stronę się przechylić. Przyznam się, że w obec takiej walki, jaka teraz w moim sercu się odbywała, byłam za słaba. Tyśiące kobiet przebiegłoby po tém zdarzeniu, jak po głębinie zamarzlęj wody suchą nogą. Cóż to bowiem tak strasznie dziwnego, że mężczyzna porzuciwszy jedną kobietę, którą kochał, a której pojąć za żonę nie pozwalały mu stosunki światowe, zbliżył się do innej, która przypadkiem posiadała warunki brakujące pierwszej, i ją także ukochał, i miłość swą węzłem nierozdzielny na całe życie zawiązał? Czyż to nie dzieje się codziennie? Któraż narzeczona myślała kiedy o tém, że przed nią te same słowa wymawia narzeczony, które wymawiał do innej przed chwilą, a której dlatego nie zaprowadził do ołtarza, że los kapryśny, *wyposażywszy* ją szczerze we wszystkie przymioty, odmówił jej tego przymiotu, który w zwykłym języku światowym właściwym *posagiem* się nazywa?

Zaiste, gdybyśmy same czuwały nad godnością naszą, gdybyśmy postępowaniem naszym nie zniżały siebie samych do bezdusznęj liczby, za jaką sobie towarzyszów życia kupujemy; gdybyśmy szanując w kobietach ubożęj urodzonych to, co prawdziwą istotę kobiety stanowi, same naszą godność kobiecą szanowały: nie miałybyśmy w życiu owych srogich rozczarowań, na które skarży się dzisiaj po wytrzeźwieniu z pierwszego szalu każda kobieta; nie byłoby łez krwawych i westchnień konwulsyjnych, które dziś życie kobiety stanowią!...

Może to było nieszczęściem mojem, że nie pragnęła chwili szalu, ale całego, trwałego szczęścia. Dlatego zwykłą drogą świata, jaką dzisiaj chodzą wszystkie kobiety, iść nie chciałam. W tém, co mi teraz na drodze szczęścia stało, tysiące kobiet nie widziałoby żadnej przeszkody, i z twarzą uśmiechniętą poszłyby dalej; ja jednak zatrzymałam się, bo ujrzałam zdradę popełnioną na sercu kobiecém. Jeżeli bowiem same siebie bronić nie będziemy, jakież wyobrażenie damy o sobie mężczyznom? Czémże dla nich będzie kobieta, jeżeli wolno zatruć jej serce, rozedrzeć duszę i — pójść do innej?

Odwracamy się od człowieka, który w sposób nieprawy przywłaszczył sobie jakąś drobną cudzą własność; pogardzamy tym, który z rozmyślnym planem wydał komuś rzecz drogą; potępiamy zbrodniarza, który targnął się na cudze życie, zabił drugiego, lub go na zawsze okaleczył: a człowieka, który zламаł na zawsze duszę kobiety dla błahych względów światowych, nazywamy bohaterem i rade otwieramy mu serca! Cieszy nas zwycięstwo nasze odniesione nad biedną ofiarą, i rozkoszujemy się w tém zwycięztwie, jak dziki tygrys rozkoszuje się we krwi ofiary swojej....

I przyszedł mi na myśl monolog straszny a prawdziwy, jaki wygłasza na widok pysznych marzeń swoich bohater Fiesco! Zaprawdę, małemi przestępstwami brzydzi się świat; przed wielką zbrodnią klęka i uwielbia ją!...

Sprawa jednej kobiety musi być solidarną, jeżeli chcemy ostać się na naszym wysokiém stanowisku; obelga i nieprawość wyrządzona jednej kapłance, poniża cały zakon...



Takie myśli przebiegały mą duszę, takie uczucia miotaly mém sercem, gdy obaczyła Cezaryusza. Z drugiej strony słabe kobiece serce rwało się ku temu, który był moim narzeczoną i którym pieściłam się w duszy tak długo, aż wyrósł niejako do ideału, przezemnie upragnionego. Powtarzam raz jeszcze, że w obec téj walki byłam słabą. Nie mogłam zaraz na wstępie wypowiedzieć mu tego, co w téj chwili czułam; nie mogłam również rzucić mu się w objęcia lub w serdeczném ściśnieniu ręki okazać mu to wszystko, co kochająca kobieta w takim razie okazać może. Wybrałam więc drogę, jaką zazwyczaj wybierają ludzie słabi, to jest drogę pośrednią: poszłam do swego pokoiku, aby zyskać na czasie, namyślić się i przygotować.

Okno mego pokoiku wychodziło ukośnie w kierunku do ganku; gęste gałęzie brzoskwiń i kwiaty stojące na oknie osłaniały mnie i pozwoliły z mego ukrycia patrzeć na to, co się przed gankiem dzieje.

Ze drżeniem serca przystąpiłam do okna. Przed gankiem stał ojciec i rozmawiał z Cezaryuszem. Co kilka słów otwierał ramiona i przyciskał go do siebie, jak rodzonego syna; na twarzy ojca widziałam radość i wzruszenie.

Twarz Cezaryusza wydała mi się nieco ogorzalą, lecz z tém mu było bardzo dobrze. Przybyło téj twarzy więcej hartu, więcej mękości; wyrażała znaczną siłę charakteru i pewne powzięte już postanowienie. Chciałam jeszcze więcej czytać na téj twarzy, chciałam wyczytać coś, co każdy winowajca ma w obec badającego sędziego, ale tego tam nie było; przeciwnie była to

twarz człowieka szczęśliwego, która ma sumienie, jak najspokojniejsze. Oczy tylko okazywały jakiś niepokój, ale niepokój ten prawdopodobnie tylko mnie miał na celu. Wśród rozmowy i uścisków ojca, często Cezaryusz rzucał spojrzenia ku drzwiom od sieni, czy mnie nie obaczy.

Swoboda i spokój rozlany na jego twarzy, zachwiała na chwilę mój niepokój. Może to wszystko, co dzisiaj słyszałam i z czego reszty się domyślałam, było tylko luźną wieścią, puszczoną przez niezłych ludzi, jakich nigdy nie braknie narzeczoną? Może to wszystko gruntuje się na jakiejś zamianie osoby? Może domysłami memi wyrządziłam mu krzywdę, która nie byłaby nigdy do przebaczenia!...

W końcu na szalę postanowienia mego przechyliło się serce; przemówiło zbyt wymownie za obwinionym bez dowodów; nie chciało niewczesném posądzeniem utracić ulubieńca, który już tam zamieszkał.

Przekonałam się również, jak wielką rolę w podobném położeniu odgrywają stosunki rzeczywistości. Widziałam ojca, jak mówił z Cezaryuszem o powozie i koniach. Powóz był nowy, lśniący, zapewne świeżo z fabryki sprowadzony; konie były także nowym nabytkiem i w świetnej uprzęży; wskazywało to, że Cezaryusz pełnemi żaglami zawija już do portu, pewny sprzyjającej fali, która go do brzegu doniesie!... Ojciec z radosną twarzą oglądał wszystko po szczególe; obmacywał koła i resory, głaskał konie, patrząc na nie to z boku, to z frontu.

Wszystkie te drobnostki rzeczywistości obowiązywały mnie niejako; wszystko to robiło się dla mnie z wiarą niezachwianą, z ufnością w moje uczucia: mia-



lyzby moje blahe domysły wszystko to w niwecz obrócić?

Wyszedł na ganek, aby powitać Cezaryusza...

Cezaryusz w okamgnieniu był przy mnie. Pochwylił mnie za rękę i tysiące gorących wycisnął na mnie pocałunków. W pocałunkach tych czułam całą jego duszę, czułam jego życie, które wchodziło we mnie...

Przyznam się, że w tej chwili nie myślałam o zdradzie popełnionej na biednej kobiecie... nie myślałam o umartwieniu, jakiego przed chwilą doznawałam... zdaje mi się, że o niczym nie myślałam!

Przedemną stał przyszły towarzysz życia, który mnie kochał taką miłością, jakiej od niego pragnęłam,—miłością wyższą, karmiącą się wyższym nad życie codzienne interesem, żyjącą życiem społeczeństwa, którego byliśmy ogniwem. A ja tego czło wieka wzajemnie kochałam!...

Ścisnęłam z całą serdecznością dłoń jego, i patrzyłam na niego chwil kilka w upojeniu, jakiego tylko kochająca doznaje kobieta, a żadne pióro oddać nie potrafi!

Ale na czole mojem błakała się zapewne jakaś myśl złowroga, widokiem szczęścia niedostatecznie spłoszona, bo Cezaryusz z uwagą patrzył na mnie czas niejaki, a potem się ozwał:

— Obawiam się, czy to, co widzę, jako przypadkową grę wieczornego słońca, nie jest rzeczywistą chmurką? Widzę coś na czole pani, co na chmurkę wygląda?

Słowa Cezaryusza wyrwały mnie z upojenia. Złowrogie widmo nieszczęśliwej kobiety stanęło nagle

między nami i rozdzieliło nas od siebie. Cofnęłam się w tył o pół kroku i odpowiedziałam z uśmiechem:

— Na niebie mego szczęścia nie znajdziesz pan żadnej chmurki... wyjąwszy, jeśliś z sobą jakiegś nie przyniósł! Wtedy mogłaby powstać straszna burza, któraby najpierw mnie zabiła!

Cezaryusz trzymał mnie za rękę i patrzył mi w oczy wzrokiem badawczym. Nie mniej badawczym okiem patrzyłam i ja na niego. Nie wiem, co wyczytał w twarzy mojej. W jego twarzy nic wyraźnego nie wyczytałam; widziałam tylko rozrzewnienie serca, słodycz czującej głęboko duszy i ukryte szczęście.

Po chwili milczenia podniósł moją rękę do ust i rzekł:

— O chmurkach nie godzi się mówić w pierwszych chwilach spotkania!

— Tém piękniejszą wyda nam się pogoda!—odpowiedziałam i ścisnęłam go serdecznie za rękę.

Zdawało mi się, że pocałunek, jaki w tej chwili uczułam na ręce, był zwykłym, konwencyonalnym.



XXXIII.

Mówią, że serce przeczuwa katastrofy, które je spotkać mają. Cezaryusz nie wiedział o niczym, niczego się nie domyślał; mimo to przez cały wieczór widziałam w nim jakiś niepokój, z którym ustawicznie we mnie się wpatrywał. Nie odrywał odemnie oczu ani na chwilę, jakby się lękał, aby cokolwiek nie uszło jego uwadze. Chciał widzieć, co każde uderzenie serca mego na moją twarz przyniesie, jakie myśli i marzenia przemkną po mojem czole. Z podwojoną uwagą patrzył na moje usta, gdy jakie słowo wymówić miałam; śledził poruszenia mej piersi, czy jakie ukryte nie błąka się tam westchnienie!...

Co do mnie, nigdy nie zapomnę tego wieczoru. Nie powiem, żebym była dla Cezaryusza nieszczerą, żebym kłamała przed nim to, czego w duszy nie czułam: tak długo mieszkał w myślach i marzeniach moich, że nawet po tém, co zaszło, nie mógł mi być obojętnym. Przeciwnie, w naturze serca naszego jest, że tém mocniej przywiązuje się do marzeń, którym grozi niebezpieczeństwo. Czasami dopiero wtedy roz-

tacza się przed nami cały urok naszego skarbu, kiedy bierzemy pióro do ręki, aby jednym podpisem rzec go się na zawsze! Dopiero przy zachodzie słońca czujemy żal, że nam uciekł jeden dzień życia, który już nigdy nie wróci!...

Zachowanie się moje względem Cezaryusza było tego wieczora nacechowane ową gorączkowością, owym niepokojem serca, który z całą słuszością mógł wziąć za oznakę mego przywiązania, a nawet miłości. Niektóre chwile, które wśród wzruszenia serce mi krwawiły, ginęły dla patrzącego oka w powszechnym niepokoju, jaki miotał duszą moją.

Z tego więc, co widział Cezaryusz, mógł być zupełnie zadowolony; nie widział jednak prawdopodobnie, co mnie ten nader długi wieczór kosztował! Nigdy, nigdy nie zapomnę tego wieczora!

A przecież zdawało mi się, że Cezaryusz coś przeczuwał. Szum wiatru w gałęziach lip na dziedzińcu, szczekanie psów, nawoływanie stróżów nocnych w około gumna i ogrodu, wszystko to trwożyło go jakoś: oglądał się nagle poza siebie, patrzył w okno, nasłuchiwał z uwagą.

Po herbacie prosił mnie, abym co zagrała. Usiadł przy mnie koło fortepianu, a krzesło przysunął bliżej, niżeli zwykł był czynić.

— Co mam panu zagrać?—zapytałam, z uwagą patrząc mu w oczy.

Cezaryusz podparł ręką głowę, spojrzał przed siebie, jak człowiek zamyślony, i odpowiedział w niejakim roztargieniu:

— Muzyka, to słowa serca; wygraj pani to, co



w tej chwili w niem się mieści: nie pojmuję, jak można komu rozkazywać, co ma grać lub śpiewać!

— Nie pytałam o rozkazy—rzekłam z lekkim wyrzutem a chciałam tylko wiedzieć, co się panu z tych rzeczy, które gram, najlepiej podoba! Panowie macie czasem odrębne gusta, a nam potrzeba się częstokroć do tych gustów stosować!

Cezaryusz spojrział na mnie zdziwiony. Patrzyłam mu śmiało w oczy, i śmiało wytrzymałam jego badawcze spojrzenie. Uśmiechnął się po chwili z pewną goryczą, jakiej pierwój na jego twarzy nie widziałam i rzekł:

— Jeśli się nie mylę, masz pani ochotę rozpocząć małą wojnę!

— Wojnę?—odpowiedziałam z uśmiechem—wojną? Czyż moje tak lojalne słowa zapowiadają wojnę?

— Jeżeli malkontenci w jakim państwie mówią, z ostentacją o bezwzględnej uległości, to żywią niezawodnie w sercach bunt nader blizki!

— Że pan wybrałeś porównanie! Tylko poddani zwykli się buntować, kobieta nie należy do nich!

— Prawda, porównanie było niezręczne; kobieta należy do rządzących...

— Ale rządzącym często wypada stosować się do opinii publicznej, do wymagań podwładnych.

— W takim razie, zostawiam pani zupełne prawo początkowania... klejnot zazdrośnie strzeżony przez wszystkie rządy...

— Więc korzystam z niego w całej rozciągłości, teraz i kiedyś także do niego się odwołam. W obu jednak razach, czy przyrzekasz pani mię słuchać? Wszak tak?

Gdyby Cezaryusz był wiedział, jaką myśl w duszy mojej pod te przypadkowe słowa podłożyłam, nie byłby może z tak jasnym uśmiechem wziął mojej ręki do pocałowania. Długo ją trzymał, jakby liczył w niej tętna, jakby z obiegu krwi chciał zbadać, co w tej chwili dzieje się w sercu mojem! Potém uśmiechnął się szcześnie i odrzekł:

— Teraz i zawsze słuchać będę: teraz muzyki, a potém rozkazów. Czém mi w tej chwili będzie muzyka, tém samém będą przez całe życie rozkazy pani!

Odpowiedziałam Cezaryuszowi za te piękne słowa ściśnięciem ręki i położyłam palec na klawiszach, aby wypełnić jego życzenie. I dziwna myśl przyszła mi w tej chwili do głowy. Wybrałam kompozycją stosowną do naszego obecnego położenia. Przebiegłam ałą skalę tonów, przeszłam całe bogactwo pięknych i poważnych akordów, i zagrałam—Karnawał wenecki!

Cezaryusz z razu słuchał z pewnem roztargnieniem. Zdawało się, że podczas gry mojej oddał się własnym marzeniom; podparł ręką głowę i patrzył zamysłony przed siebie: prawdopodobnie szukał myślą najbliższej przyszłości swojej!...

Jedni mówią, że każda muzyka wyraża pewne myśli i przed okiem naszym odsłania pewne obrazy. Zapewne nie każdy kompozytor był pewien tego twierdzenia, bo uznał za rzecz słuszną dać naprzód napis na swoim utworze, co oznacza, a potém jeszcze popodpisywać niektóre miejsca, jak np. chmury nadciągają, słońce zaczyna świecić, niebo się wypogadza, Filon woła Alcimadury i t. p. Bez tych napisów byłby może kto inny inaczej wytłumaczył sobie te melodie i kombinacye tonów. Drudzy znowu utrzymują, że



muzyka potęguje tylko to, co już w słuchaczach gotowego zastała. I tak: pewny znakomity krytyk opisu-  
sując koncert Liszta, wprowadza czytelników poza  
kulisy całego audytoryum, i z całą ścisłością anatomi-  
czną trepanuje wszystkie głowy, aby okazać, co  
w każdej czasce wywołał koncert znakomitego mi-  
strza. Zaraz na wstępie wyprowadza przed nas oka-  
zalego jegomościa, który od lat siedmiu marzy o klu-  
czu szambelańskim. Dla niego dziwnie działają tony  
mistrza; wypychają one na pierwszy plan klucz złoci-  
sty, wiszący na szerokiej wstędze. Każdy niezwy-  
klejszy akord, każda śpiewniejsza nота, to dźwięk te-  
go złocistego klucza o złote, przy bocznych kiesze-  
niach fraka przytwierdzone guziki... Tam spekulant  
giełdowy zaciska usta, ilekroć długie palce maestra  
zbliżają się do basu. To złowieszczy dla niego sygnał.  
On spekuluje na podwyżkę *à la hausse!* Wszelkie ob-  
niżenie tonów, to obniżenie kursów na giełdzie!... Tam  
w ukryciu, jak fiołek w trawie, siedzi blada dziewczica  
i lekliwie patrzy na ufryzowaną głowę złotego mło-  
dzieńca. Marzenia jęj postępują razem z rosnącą grą  
artysty, a gdy ten całą siłą do kulminacji swojej kom-  
pozycji dąży, dziewczica widzi siebie już w białym stro-  
ju na stopniach ołtarza, i czuje na palcu obrączkę  
ślubną, i szepce słowa: „I ja nie opuszczę aż do śmier-  
ci...” i t. d. O czém myślał w takim razie krytyk,  
który miał bilet gratysowy?... Zapewne o przyszłym  
efekcie swojej krytyki!

Nie wiem, jakie myśli i marzenia rozbudziła gra  
moja w duszy Cezaryusza? Czy wniosła tam co nowe-  
go? czy tylko służyła słuchającemu za wygodną pauzę  
milczenia, jak się często w salonach wydarza?

Po chwili, jakby się ze snu ocknął, spojrzał na  
mnie Cezaryusz, i rzekł po niejakiem milczeniu:

— Pani grasz wybornie Karnawał wenecki! Ni-  
gdy nie był on dla mnie zrozumialszym. Zdaje mi się,  
żem widział plac przed kościołem Św. Marka, żem  
słyszał ten cudowny dyalog dwóch...

— Dwóch masek! — przerwałam Cezaryuszowi,  
biorąc ostatnie akordy karnawału.

— Masek?... prawda; to maski rozmawiały z sobą!

— Rozmowa ich nie była szczérą! Była tylko  
czczą zabawką dla chwilowego ubawienia się!

— Prawdopodobnie, ale nie zawsze. Czasami  
przed maską wypowiada się prawdę, jakiej bez maski  
niktby nie powiedział!

— Ach! taka prawda musi być straszna!...

— Przeciwnie: dla własnej wygody naszej bie-  
rzemy ją za żart, to jest tak, jak nam ją podano!

— Taka wygoda życia jest okropna! Nigdy nie  
chciałabym się spotkać z podobną wygodą u innych!

— Zapewne... ale niech po tej maskaradzie za-  
gra pani coś na seryo: czuję potrzebę poważniejszych  
uczuć!

— Znasz pan *Elegię* tego samego mistrza? Znasz  
pan tę smutną katastrofę w życiu kompozytora?

Cezaryusz pochylił głowę na znak, że zna jedno  
i drugie. Zaczęłam grać *Elegię*!

Żywo stanęła mi w tej chwili smutna katastrofa  
poety, którą w tej kompozycji tak pięknie, ale oraz  
tak smutno wyspiewał. Grałam może z większym, ni-  
żeli zwykle zapalem, może lepiej nawet w tej chwili  
rozumiałam kompozytora!...



— To smutna tragedia serca!—rzekł Cezaryusz, i odetchnął pełną piersią.

— Serce kobiety pękło z bólu!—dodałam, i przestałam grać nagle.

W téj chwili wstał ojciec z sofki. Skończywszy lulkę i przejrzawszy gazety, zaczął przechadzać się po pokoju; to było znakiem, że zamierza udać się na spoczynek. Zegar nad kominkiem wskazywał godzinę pierwszą.

Po krótkiej powszechnej rozmowie rozeszliśmy się wszyscy.

XXXIV.

Upragnioną była mi w téj chwili samotność. Chciałam zebrać wszystkie wrażenia dnia dzisiejszego; chciałam się zmierzyć sama z sobą, czy na wypadek koniecznej ofiary i stanowczego kroku, sił mi nie zabraknie.

Rzuciwszy się na krzesło w samotnym pokoiku swoim, przyłożyłam rękę do serca, by się dowiedzieć najprzód, co ono mówi: serce biło mi żywo i chętnie nawet mogłoby się pogodzić z rzeczywistością. Było ono prawie zupełnie po stronie Cezaryusza, pieściło się jego obrazem, który tam, tak długo przemieszkował; zamarzyło nawet o świetnej, szczęśliwej przyszłości, jaka mnie czeka przy boku przyszłego, dogonnego towarzysza. Świat cały zazdrościł mi; wszyscy patrzali na mnie, jak się patrzy na szczęśliwą!...

Ale w téj chwili wychyliło się do mnie blade, smutne, widmo. Jakiś głos wewnętrzny mówił mi, że pałac szczęścia mego, obronny zamek rządów moich spoczywać będzie aż do ostatniej mojej chwili na podziemnym więzieniu, z którego w chwilach nocy spokojnej, doleci do mnie jęk męczonéj podemną ofiary!...



Gdziekolwiek okiem rzuciłam, widziałam przed sobą smutną twarz biednej kobiety, której serce pękło z bólu, że nie mogła być tém, czém ja dzisiaj byłam, chociaż może więcej odemnie na to zasługiwała.

Widziałam ją, gdy na suchy kawałek chleba zarabiała całodzienną pracę, a jeszcze wśród tej pracy poświęcała w marzeniach swoich wiele chwil temu, który w jej duszy rozbudziła potargał złote marzenia...

Widziałam, jak na kolanach błagała Boga o mężstwo i odwagę do dalszego życia, które prócz ostrych cierni nie miało już dla niej żadnych kwiatów, żadnego wdzięku!

Widziałam, jak postradawszy miłość, która jej całe życie wypełnić miała, nie wsiąkała w siebie zółci i złośliwej ironii życia, jak to wiele z zawiedzionych kobiet czyni, ale napełniła serce swoje jeszcze czystsza i jaśniejszą miłością Boga i ludzi, wśród których żyła!

Czyż nie byłoby z mojej strony niesłychanem okrucieństwem, abym tę kobietę zostawiła bez żadnego ratunku na drodze życia? Czyżbym mogła spokojnie królować w pałacu szczęścia mego, gdyby ona z podziemia do mnie jęczała?

Ale jakież byłby sposób jej ratunku?

Na to pytanie serce ścisnęło mi się boleśnie. Odpowiedź była dla niego straszna, zabijająca. Potrzeba może było rzec się tego, co moje jedyne szczęście stanowić miało! Potrzeba było wyrzec się — Cezaryusza!

Ta myśl odebrała mi na chwilę przytomność. Oparłam głowę o poręcz, a wkóło mnie zaczęły dziwne rzeczy majaczyć...

— Jak to! — szeptał mi ktoś do ucha — i ty mo-

głabyś powziąć myśl tak dziką, niepojętą? Gdzież jest kobieta czyniąca ofiarę z serca, które zdobyła? Gdzie odrzucająca od siebie szczęście, które samo do niej przychodzi? Czyż nie jest całe życie nasze tylko walką? Mocniejsza kobieta zdobywa laury, a przecież zdobywa je w walce z innemi! Cóż ztąd, że inne padną. Wszak to los każdej walki! Któż zwyciężonemu władzcy oddaje berło i koronę, jeżeli panowanie jest niepodzielne? Jakież mogą mieć skrupuły, idąc dalej drogą własnego szczęścia?...

Gdy taki głos wewnętrzny do mnie przemawiał, było mi coraz smutniej, coraz boleśniej w duszy. Uczulałam żal do samej siebie, że podobnego głosu tak długo słuchać mogłam. — Kolana moje mimowoli się zgięły, z oczu wytrysnął potok łez...

Zacząłam się modlić. I długo, bardzo długo się modliłam; nareszcie wstałam i uczułam jakąś ulgę.

Zaledwie jednak napowrót usiadłam w krześle, by po odbytej walce wewnętrznej odpocząć, zbliżył się znowu do mnie kusiciel.

„Jesteś narzeczoną — szeptał mi do ucha; — zaręczyny twoje odbyły się z całą okazałością; wszyscy sąsiedzi dzielili tę uroczystość... Cóż dzisiaj świat na to powie, że twój narzeczoną z pierścieniem swoim odjedzie od ciebie? Cóż powiedzą sąsiedzi, jeśli zamiast spodziewanego wesela usłyszą wieść stugębną, że Cezaryusz zerwał z narzeczoną!... I jakkolwiek będzie tego przyczyna, jakiekolwiek będą pobudki twoje do tak stanowczego kroku, świat cały wytłumaczy je na twoją niekorzyść, bo to jest jego odwiecznym zwyczajem! Świat nigdy nie łączył się ze słabszymi, a szczęśliwym zbrodniarzom służył zawsze



z uniżonością. Świat, to żyjąca wiecznie ironia dobrego, to szatan splełany i walczący z aniołem, to myśl szlachetna w mózgu zatwardziałego złoczyńcy, z którego nigdy na jaw wydobyć się nie mógł... Ten świat osypie cię śmiechem szyderstwa! Przyjaciele, którzy przed chwilą życzyli ci szczęścia, będą się z ciebie natrzęsali i palcem wskażą cię na wszystkich drogach twoich. Wymyślą najokropniejsze historye, a ty odegrywać w nich będziesz rolę niefortunną bohaterki, którą ze sceny gwizdaniem i obelgą wygnano!... Wierzaj, kobieta dla opinii świata częstokroć wiele, a czasami nawet wszystko poświęca! Gdy przeciw wodzi płynąć nie można, trzeba iść z wodą. Świat ma swe stare, pozytywne prawa, a prawa natury, serca i sumienia nie są dotąd księgą obowiązującą. Dwa te światy walczą wprawdzie nieustannie z sobą, ale prawa pierwszego nie są jeszcze w praktyce niczém uszczuplone, choćby nawet inne głoszone zasady...“

Myśli podobne coraz mocniej działały na serce moje. W piersi brakło mi tchu, brakło westchnień. W oczach nie miałam już łez. Duszno, strasznie duszno było mi w cichej komnacie: przystąpiłam do okna i otworzyłam.

Noc była zimna, jesienna. Niebo świeciło nademną ciemnym szafirem, a na niém rozsypane miryrazy światów mrugały do mnie z jakąś dziwną przyjaźnią. Z poza ciemnego lasu na krawędzi góry przeźnierał się księżyc i srebrną luną znaczył swój pochód na szafir rozpięty.

— I zdawało mi się, że na tém czystém, pogodnym niebie widzę tron Boga na gwiazdach oparty, obłokami otoczony. W błękitnej szacie, ze srebrnym

włosem na głowie patrzył ku mnie z miłością straszliwy Władzca światów. Na jego sędziwej twarzy igrał uśmiech dobroliwy, i zdawało mi się, że mówi do mnie:

„Patrz dziecię! Oto miryrazy światów otaczają mój podnózek i od wieków słuchają mych rozkazów. Zakreśliłem im tory, z których bezkarnie zbaczają nie mogą, zliczyłem je, podzieliłem je między słońca, które im dają światło i ciepło. I całemu stworzeniu dałem podobne prawa, a każde z nich chowa je w duszy swojej. I nie wolno im przeciw tym prawom wykroczyć bezkarnie!... Czy nie umiesz tych praw jasno w swęj duszy odczytać? Cóż ci wzrok zaciemnia? Mówisz o względach dla świata?... O biedna, trzykroć biedna! Czémże w obec szumu tych milionów światów, jest szept drobnej trawki, którą nazywasz opinią twojego światka?... Gwar ten przeminie, jak przemija szmer liści, nie zostawiwszy po sobie wspomnień, a w księdze świata zapisane tylko będą wszystkie uderzenia twego serca, prawe i nieprawne!... Strzeż serca, słuchaj co mówi prawo moje, a głos świata zostaw za sobą!“...

I długo, długo patrzałam w to niebo gwiaździste. Wiatr chłodny, jakby zmaczaną chustą owijał skronie moje, a serce zaczęło mi bić coraz wolniej. Błogi spokój ogarniał je zwolna; lepsze, szlachetniejsze myśli brały górę nad wzburzoną namiętnością.

W tém jakimś dziwném, nieokreślonym uczuciu czułam rozkosz niewymowną. Gotowałam się do wielkiej ofiary. Słodki dreszcz przebiegał po wszystkich nerwach. Czułam w duszy jakieś nowe, dotąd nieznanne mi życie!...

Tymczasem księżyc przebiegł sporą przestrzeń



nieba i zniżał się ku lasom przeciwnéj strony. Iskrzące gwiazdy zaczęły zwolna przygasać, a szafirowe tło nieba bielalo coraz więcej. W końcu z poza najwyższej góry trysnął różowy strumień światła; całe niebo podzieliło się na dwie połowy: ku jednej mknęły ciemne duchy nocy; druga gotowała się na przyjęcie nowego gościa, który biały i jasny wychylał się z poza krawędzi widnokreśła. Nowy dzień zaczął świtać.

Walka moja była skończona! Sumienie wzięło górę nad miłością.

Odeszłam od okna i spojrzalam w zwierciadło. Rzecz dziwna: zamiast bladéj, bezsenną nocą zmęczonąj twarzy, ujrzałam w zwierciadle twarz świeżą, pełną uroku i życia. Nigdy nie widziałam siebie tak piękną! Cóż mnie nagle uczyniło tak piękną? co mi dodało tyle powabu?...

Nie poszłam już wcale do łóżka, bo nie czułam potrzeby spoczynku. Miałam tyle sił i zdrowia, jakbym najlepiej całą noc przespala. Umysł mój był trzeźwy i pogodny, a jesienna woń zwiedłych liści, wydała mi się tak przyjemną, jak woń wiosny!...

XXXV.

**G**dy już dostatecznie serce do wielkiej ofiary przygotowałam, zaczęłam nad tém rozmyślać, aby ofiarę moja wydała należyte owoce; niedosć mi bowiem było zrzec się Cezaryusza, chciałam Kornelii szczęście przywrócić.

Było to zadanie nader trudne. Serce nie lubi pośrednika, bo gdzie pośrednik sprawę ujmuje w ręce, tam niema już serca. Nie mogłam więc staować otwarcie między Cezaryuszem a Kornelią, i jak to się w wodewilach dzieje, stanąć pomiędzy nimi i połączyć ich ręce. W życiu sprawa serca postępuje innemi szlakami: potrzeba mu było zostawić swobodną drogę.

Długo się zastanawiałam nad tą drogą; wreszcie szczęśliwa myśl przyszła mi do głowy: serce uderzyło mi żywiej, a w duszy uczułam tak dziwną zozkosz, jakiej nigdy w życiu nie doznałam...

Dzień tymczasem coraz jaśniej wybijał się z poza czarnych lasów. Już kilka ptaków zaświergotało w konarach lip, szczyty topoli zabłysły czerwonym złotem; w cerkiewce ozwał się dzwon na pozdrowienie Maryi Panny...



Zarzuciłam szal ciepły na siebie i wyszłam do alei ogrodu. W alei przechadzał się już ojciec. Trzymał czapkę w rękę i głośno od mawiał Pozdrowienie Anielskie. Na widok ojca ścisnęło mi się serce.

— Dzień dobry ci, moje dziecko, — ozwał się ojciec, całując mnie w głowę; — właśnie myślałem o tobie.

Zacięłam usta, bo przeczuwałam, że się zaczyna moja droga cierniowa. Poświęcenie się jest piękną woniejącą różą, ale kolce jej ranią rękę, która ją zrywa: pierwsze kolce miały mnie zranić w tej chwili.

— Właśnie myślałem o tobie, moje dziecko — mówił dalej ojciec, — bo miałem noc dziwnie niespokojną. Obawiam się, aby nad naszym dachem nie zawisła jaka chmura nieszczęścia. Nie umiem ci się bliżej wytłumaczyć, bo właściwie nic nie wiem i nic nie widzę, coby wam na drodze do szczęścia stanąć mogło; a jednak czegoś niepokoi się serce moje!

— Cóżby się na przykład tak złego stać mogło? — zapytałam z bolesnym uśmiechem.

— Coby się stać mogło? Różne rzeczy dzieją się z dopuszczenia bożego.

— Co Bóg dopuści, to już być złém nie może!... Są rzeczy, które za złe uważamy, a które w końcu stają się dla nas szczęściem!

— Prawda, prawda, temu nie przeczę... Ale widzisz moje dziecko: człowiek jest człowiekiem i przywiązuje się do szczęścia, które ma pod ręką, a nie wypuszcza go, aby kiedyś z lichwą napowrót je odebrać! Przyszłość nie nasz!

— Czy ojezulko stosuje to do mnie w tej chwili?

— Niekoniecznie, ale tak... widzisz, przy nie-

spokojném sercu różne myśli przychodzą do głowy... Naprzykład, gdyby twój ślub z Cezaryuszem...

— Gdyby mój ślub z Cezaryuszem nie przyszedł do skutku? Czy to miałeś ojeze na myśli? Czyżto byłoby już niepowetowane nieszczęście?

— Nie, nie, tego nawet nie przypuszczam. Tak przywiązałem się już do tej myśli, i tak go jako syna pokochałem, że jakiegokolwiek w tej mierze nieszczęście mogłoby mnie zabić!

Pełknęłam kilka gorzkich łez i zacisnęłam usta. Nic na to ojcu nie odpowiedziałam, bo mi żadne słowo przez usta przejść nie chciało.

— Nie, nie, nie! — mówił ojciec dalej, machając ręką przed twarzą, jakby nie mile myśli od siebie odpędzał, — nie, nie, nawet myśleć o tém nie chcę!

— Przecież zapewne był jakiś powód, który ojcu podobne myśli nasunął — rzekłam z zapartym oddechem.

— Ej, żaden powód! Co tam powtarzać cudze głupstwa! Pies szczeka w lesie, a wiatr niesie!

— Przecież ojciec nie ma przedemną żadnej tajemnicy? — zapytałam z niejakiem zdziwieniem.

— No, to ci powiem, tylko nie przywiązuj do tego żadnej wagi. Służący Cezaryusza, którego Szymek wczoraj uraczył, miał się wyrazić, że on póty nie uwierzy w ożenienie swego pana, póki nie zobaczy go przy ołtarzu. Powiedział także, iż jeździł ze swoim panem do pewnego dworu, gdzie była panna bardzo ładna i gdzie się pan miał żenić, ale jakoś się urwało!

Mówiąc to do mnie, patrzył ojciec z uwagą na mnie. Nie wyczytał na twarzy mojej żadnego zdziwienia; nie było mu to jakoś na rękę. Z lekką chmur-



ką na czole odezwał się do mnie po niejakiem milczeniu:

— Powiedziałem ci to dlatego, abyś z wiadomości korzystać mogła. Wyrobiłaś bowiem sobie dziwne wyobrażenia o miłości. Chcesz ludzi brać na próbę, odwlekasz dzień ślubu, a ja ci mówię: kto strunę przeciągnie, to ją urwie!

Chciałam coś ojcowi na to odpowiedzieć, ale zamiast słów na usta, cisnęły mi się łzy do oczu. Łzami jednak w tej chwili mówić nie chciałam. W nieszczęściu pragnęłam mieć twarz pogodną, jak niebo lipcowe. Łzy miałam tylko dla siebie i przed Bogiem...

W tej chwili ekonom odwołał ojca do gospodarskiej narady.

### XXXVI.

Dzień listopadowy, pogodny i ciepły, zajaśniał w całej okazałości. Słońce wysunęło się już dość wysoko i oblało może poraz ostatni ciepłym światłem odumierające kwiaty i drzewa. Małe, złote muszki, które już na sen zimowy w kryjówkach swoich się pokładły, zbudzone ciepłymi promieniami, wyszły na powrót do życia i miłym brzęczeniem napełniały powietrze.

Smutno, bardzo smutno zrobiło mi się na widok tej pięknej, jakby na nowo do życia budzącej się przyrody. Wszystko oddychało nowym, pełnym życiem, dla wszystkich poczynął się dzień nowy szczęścia i rozkoszy, tylko dla mnie zachodziła w tej chwili gwiazda szczęścia, którą pieściłam się tak długo i taką tęsknotą ogarniałam!...

Na widok zdrowych, dziennych barw życia, serce moje zaczęło się buntować. Myśli poczęte w nocy zaczęły blednąć przy tonach rzeczywistości. Jeszcze raz przystąpił do mnie kusiciel i mówił bardzo rozsądnie, lecz i tym razem odszedł zwyciężony. Rozkosz poświęcenia, jaką już dzisiaj uczułam, obowiązywała mnie do wychylenia czary do dna.



kazy co do ubrania w trumnie... Ja wesela nie oczekiwalam!...

Po obiedzie postanowiliśmy wycieczkę na górę, na której majaczył mały błękitnawy krzaczek; krzaczek ten odrysowany niejasno na tle nieba, był olbrzymiem drzewem!

Tymczasem i ojciec był z nami. W przejeździe przez las, na skrócie drogi, rzekła do mnie Ewunia:

— Renio, tu obaczyłaś po raz pierwszy pana Cezaryusza: weź garść liści z téj leszczyny na pamiątkę!

Cezaryusz sięgnął ręką do góry i chwycił za gałązkę leszczyny: gałązka została przy drzewie, tylko liście pozostały w garści Cezaryusza. Patrząc na tę gałązkę z liści odartą i smutnie sterczącą między innymi, rzekłam do Cezaryusza:

— Spójrzysz pan, coś uczynił! Z pięknej zielonej gałązki pozostała tylko smutna bezlistna łodyga! Czy ze wszystkiem pan tak postępujesz?

— Jeżeli dobrze pojmuję aluzję—odparł Cezaryusz z żywym uśmiechem — to na takie pytanie sama tylko pani odpowiedzieć możesz!

— Masz pan słuszność: ja na to winnam panu odpowiedzieć.

— Czyż serce pani oberwałem ze złotych marzeń jego, jak tę gałązkę z zielonych liści?

— A gdybyś pan nie mnie, ale kogo innego o to zapytał?

Na ustach Cezaryusza zaigrał uśmiech żartobliwy, ale na czole jego wystąpiła mała chmurka. Przerwywając szybko tę scenę, sięgnęłam po liście leszczyny, które trzymał w ręku i wzięłam z nich trzy listki.

Schowałam je za rąbek sukni na piersi. Ewunia trąciła ręką Cezaryusza, a osypując mnie pocałunkami, zawołała:

— Patrz pan, patrz pan! Nigdy nie myślałam, że będzie tak sentymentalną!

I chciała jeszcze tak dalej wesoło szczebiotać, gdy nagle spojrzawszy na mnie, umilkła i posmutniała: w moich oczach były łzy!...

Dalszą drogę odbyliśmy w poważniejszym nastroju.

Na szczycie góry, usiedliśmy pod olbrzymiem drzewem. Słońce dosyć ciepło przygrzewało; na stoku góry pasło się kilka gromadek owiec: z różnych stron dochodził do nas odgłos fujarek pasterskich.

Przed nami rozwijał się przecudny krajobraz: długa dolina, dwoma pasmami gór, jakby w ramki ujęta, wybiegała nam z pod niej i mknęła gdzieś w dal błękitną, aby się w końcu z niebem poślubić. Wzięła mu z pod nóg prawie pyszny kryształowy potok, który, jakby tęskniąc do nas, kilka razy zwracał, i przepadła razem z nim w bezbrzeżnym przezroczu!... Tu i ówdzie sterczały grupy drzew, jakby z gór sąsiednich stoczonych, a czasem błysnęły mały stawek, który na ziemi drugie niebo tworzył...

Widok natury ma w sobie coś podobnego do muzyki. Oko i ucho działają tutaj na dusze w jednaki sposób: budzą w niej marzenia drzémiące, i potęgują je w miarę wrażenia, jakiego doznajemy.

Staliśmy długo w milczeniu. Zdaje się, że każde z nas było samo sobą zajęte. Myśli i uczucia wyśnawiały się z duszy naszej, jak lśniące, różnobarwne tęgi, dążyły razem z potokiem w przestrzeń daleką,



wiazały się na jój krańcu z białemi obłokami nieba, które, jakby naumyślnie zniżały się tam ku ziemi...

Nie wiem, jakie były marzenia ojca; wnosząc jednak z jego twarzy i jasnego wejrzenia, były to marzenia jasne i pogodne. Widział zapewne szczęście moje, rozciągające się szeroko i daleko, jak ta dolina przed nami, ubarwiona grupami drzew zielonych, przeźroczem wód błękitnych i sinemi górami. Ewunia patrzała przed siebie z lekką chmurką na czole. Na widok téj pięknej natury czuła zapewne żal do życia, które nie dało jój tak pięknego otoczenia. Cezaryusz, tak samo, jak ojciec i Ewunia, patrzył przed siebie, ale patrzył okiem rozmarzonym. Zdaje się, że w duszy jego tłoczyły się w téj chwili piękniejsze od natury widoki, bo widoki bliżkie, szczęśliwiej przyszłości!

Na mnie ta piękna dolina sprawiła inne wrażenie: zdawało mi się, że poraz ostatni patrzę na nią z sercem żywiej bijącym, że za dni kilka zamilknie to serce i zasunie wzrok mój mgłą szarą i smutną. Kto wie, czy wtedy dusza moja będzie wrażliwą na to wszystko, co dzisiaj przed sobą podziwiał? Nastroj naszego oka zależy od tego, co się w sercu dzieje; cóż obaczymy, jeśli tam smutek lub gorsza od smutku cięsza grobowa osiedzie?

Chciałam przerwać te smutne medytacje; rzekłam do Cezaryusza:

— Szukajmy jakiego ostatniego jesiennego kwiatka, którego by jeszcze mróz nie zwarzył? Kto pierwszy znajdzie, ten znajdzie szczęście swoje!

— Szukajmy więc wspólnie okiem — odpow...

dział z uśmiechem Cezaryusz, — bo tylko wspólnie szczęście znaleźć możemy!

Rzekłszy to, zbliżył się do mnie i zaczęliśmy oboje szukać jakiego kwiatka na ziemi. Ojciec założył ręce i przechadzał się pod drzewem, patrząc daleko w dolinę. On nie pragnął już żadnego kwiatka na ziemi: szczęście całe widział wemnie. Ewunia jednak schyliła wzrok do ziemi, jakby jeszcze kwiatka szukała: czyż ona nie czuła się szczęśliwą?...

Miejsce, gdzieśmy z Cezaryuszem kwiatka szukali, tworzyło lekką pochyłość góry, która nagle załamывała się w przepaść stromą, bezdenną. Na samej krawędzi téj przepaści rosły krzaczki jałowcu. Patrząc na te krzaczki, zdawało mi się, że nie bez celu rzuciła je tam ręka Stwórcy. Była to dla drobnych, pełzających zwierzątek jakoby baryera, chroniąca je od przepaści. Mogły się na tych liściach i gałązkach powstrzymać i napowrót cofnąć. Nie przeczuwałam, że jeden z tych krzaczków jałowcu odegra daleko ważniejszą rolę...

Szukając kwiatka, zaczęłam się zwolna w tył cofać. Nie wiedziałam, że byłam blisko przepaści. Żółte i czerwone listki, drzewa, leżące na trawie, ludziły mnie barwą swoją. Za każdym krokiem myślałam, że widzę kwiatek. Cofałam się więc krok za krokiem, od jednego złudzenia do drugiego...

W téj chwili krzyknęła Ewunia; podniosłam oczy i obejrzałam się: stałam na ostatniej piędzi ziemi, nad samą przepaścią... Do tego jeszcze lekki powiew wiatru wziął szeroką suknię moją i zawiesił ją nad brzegiem...

Rzucił się ku mnie Cezaryusz. Na nieszczęście Wiktorya Regina.



usunęłam się w téj chwili z miejsca; nie mogąc już mnie ręką dosięgnąć, stracił w zapędzie równowagę i zsunął się w przepaść!

Nie zdołam opisać téj chwili ogólnego przestrachu: Ewunia zemdliała, ojciec stanął, jak wryty, Cezaryusz nagle zniknął mu z oczu.

Ja tylko jedna, stojąc nad brzegiem przepaści, widziałam co się stało. Zsuwając się w przepaść, — pochwycił Cezaryusz krzaczek jałowcu i zawisł w powietrzu; ale krzaczek był mały i słaby, a ziemia, w której zapuszczał korzenie, była krucha i pulchna...

Widziałam z przerażeniem, jak spory kawałek masy rawy odkroił się nagle od brzegu, a głębsze korzenie krzaku zaczęły, jak nitki pękać jedna po drugiej...

Kilka sekund wahania, a Cezaryusz znikł z krzaczkiem w bezdennéj otchłani...

Ratować go nie było sposobu. Rękoma trzymałam się za krzaczek, a całym ciałem był już daleko poniżej, krawędzi. Niepodobna się schylić, aby mu podać rękę...

Przytomność jednak nie opuściła mię. Widząc odkrojoną murawę i pękające korzenie krzaka postąpiłam szybko parę kroków naprzód i stanęłam nad samą przepaścią, na odpadającym kawałku ziemi, który przykrywał korzenie krzaka... Ciężarem swoim powstrzymałam dalsze wrywanie się korzeni, lecz lada chwila mogłam sama stoczyć się w przepaść...

Z kolei ojciec odzyskał przytomność. Przyskoczył do mnie i położył się na ziemi; spuścił w przepaść rękę i chwycił Cezaryusza za ramię. Powoli, powoli wysunął się Cezaryusz na murawę.

Otarł pot z czoła i boleśnie spojrzał na mnie. Ściskając go za rękę, rzekłam do niego:

— Nie tylko oboje nie znaleźliśmy szczęścia, ale byliśmy w niebezpieczeństwie życia!

— Zawdzięczam pani ocalenie życia! — odpowiedział Cezaryusz, całując mnie serdecznie w rękę.

Patrzyłam długo ze smutkiem w twarz jego, zdarzenie dzisiejsze nasuwało mi dziwne myśli.

— Tak jest — odrzekłam — uratowałam pana, chociaż pan właściwie mnie na ratunek śpieszyłeś. Nie chciój pan o tém zapominać: ratować życie można w rozmaity sposób.

Cezaryusz wytłumaczył sobie te słowa na własną korzyść. Namiętnie całował moją rękę.



XXXVII.

Pierwszy z ostatnich trzech dni mego szczęścia przeszedł dosyć szczęśliwie. Wydarzenia tego dnia wzięłam za wskazówkę Opatrzności, które wytykały mi drogę, jaką iść miałam dalej.

Na drugi dzień odwiedziliśmy z Cezaryuszem mały mój zakład dla drobnych dzieci, których rodzice odrywać się musieli do dziennéj pracy. Naśladowałam w tém biedną Kornelię. Chciałam tym sposobem choć myślą zbliżyć Cezaryusza do istoty, dawniej przez niego ukochanej...

Owa ochronka, był to stary, bezużyteczny dworski budynek; kazałam go naprawić i w dużej izbie urządziłam przytułek, a zasnę staruszkę wybrałam na nadzorczynię. Biedna dziatwa, która czas ten, gdy rodzice w polu lub na zarobku byli, spędzała w bezczynności i swawoli, zgromadzona tutaj pod okiem starszój kobiety, uczyła się porządku i przyzwoitości.

Cezaryusz z wielkiem zajęciem przypatrywał się dziatwie, roznawiał z nią, egzaminował i małym datkiem uszczęśliwiał. Jakby idąc ze mną w zawody,

opowiadał mi, że i on coś podobnego u siebie zaprowadził, i opowiadał jeszcze wiele, wiele innych rzeczy, których tutaj wyliczać nie będę.

Sądząc z tego wszystkiego, przekonałam się, że Cezaryusz prawie zupełnie się odrodził. Powrócił z czeczych foremek światowych do prostych, a zacnych uczuć; od połyskliwego, fałszywego dowcipu przeszedł do myśli poważnych i pożytecznych. Zabolalo mnie, że ten człowiek, który pod wpływem mego uczucia tak się przetworzył, odejdzie odemnie i stanie mi się obcym... ale sumienie i prawo boże nie pozwalały mi inaczej postąpić...

Gdyśmy wracali do domu, rzekł do mnie Cezaryusz:

— Nie taję tego, bo sama pani to widzisz, że patrząc na panią, napoiłem duszę szlachetniejszym uczuciem, o jakim pierwéj nie miałem wyobrażenia. I przyznam się, że to rozbudzone uczucie nie daje mi teraz pokoju. Wynajduje wszelkie najdrobniejsze nieprawości moje i każe mi je naprawiać. Tak np. w majątku moim był grunt włościański obok mego; gospodarz tego gruntu był człowiek dla mnie nieprzyjazny; chciałem go za tę nieprzyjaźń ukarać. Kazałem sprawdzić granice naszych gruntów, z czego się okazało, że głęboko worał się w moje pole. Odebrałem więc rzecz ukradzioną, mimo płaczu i narzekań całej rodziny włościańskiej. Dzisiaj przechodząc koło tego gruntu, przypominałem sobie cały wypadek. Cóż pani powiesz na to? Sumienie ozwało się do mnie: czy zbyt sprawiedliwie nie wyrządziłem krzywdy biednej rodzinie? I kazałem ję napowrót wziąć dwa zagony z mego pola...



— To więcej, niżeli szlachetnie!—odpowiedziałam.

— Stary Marek ukradł mi kilka kóp pszenicy z łanu; byli świadkowie; oddałem go w ręce sądu, i spory czas siedział w więzieniu. Dziś i to wyrzucało mi sumienie: przywołałem go i dałem mu kilka zagonów pod kartofle... Obawiam się, jeżeli to tak dalej pójdzie, i wszystkie moje powszednie grzechy zaczną się budzić i wołać wynagrodzenia...

Ścisnęłam go z całą serdecznością za rękę i odpowiedziałam:

— Sumienie szlachetne nie jest nigdy niebezpieczne; każde szlachetniejsze uczucie jest podobne do czystej wody, wlanej do próżnego naczynia: co tylko tam jest nieczystego, rozpuszcza się i wychodzi na wierzch!

— A tym szlachetnym uczuciem jest... nasza miłość!—rzekł Cezaryusz, i spojrzał mi kłiwie w oczy.

Nie mogłam znieść w tej chwili jego wejrzenia i odwróciłam się. Wzrok mój padł na grubą łodygę słonecznika, który złamany chwiał się od podmuchu wiatru...

Przeminął dzień drugi, szczęśliwy, i zawitał nareszcie dzień trzeci, ostatni! W tym dniu postanowiłam odsłonić cały mój plan i rozpocząć bój z sobą i z ludźmi.

Już pierwszy świt zastał mnie przy modlitwie. Prosiłam Boga, aby mi użyczył męstwa i odwagi, aby nie odstępował mi, gdy padać będę w bólu i rozpacz!...

A gdy się dzień w całej pełni rozbudził, obudziło się i w sercu mojem owo powszednie życie kobiety, od

którego tak trudno się odłączyć. Przywołałam służącą i kazałam się ubrać świetniej, niżeli zwykle; może to była próżność kobieca, a może duma ofiary, która za lepszą myśl oddaje całą swą przyszłość. W dawnych bojach żołnierz brał na siebie mundur parady i w takim ginął! Chwila boju była u niego uroczystością, która podwajała w nim męstwo i odwagę...

Starannie ubrana, przejrzałam się w zwierciadle. Myśl pusta przyszła mi do głowy. Kto z nas zwycięży?—zapytałam siebie:—ja, czy Kornelia?... Lecz zaraz spuściłam głowę, jak winowajca, i nie dopuszczałam już do siebie podobnej myśli...

Wcześniej niż zwykle wyszłam do ogrodu; zdaje się, że Cezaryusz, jakby czekał na mnie: zjawił się zaraz przy mnie.

— W dniu dzisiejszym — ozwał się do niego zaraz po przywitaniu—czeka pana praca nielada!

— Cóż może być takiego, coby mi w usługach pani sprawiło ciężką pracę?—zapytał z radosnym uśmiechem Cezaryusz.

— Dzień dzisiejszy poświęcisz pan moim sprawom: mam interes do miasta!

— Każę natychmiast zaprządz, a na obiad stanę z powrotem!

Cezaryusz wyrzekł te słowa tak lekko, tak swobodnie, jakby nic nie przeczuwał, co w tych słowach było! Patrzyłam z uwagą na twarz jego, czy się czego nie domyśli? czy serce jego nie ma jakiego dziwnego przecucia? Prócz szczęścia i rozmarzenia nic nie widziałam. Mój Boże! pomyślałam sobie, jak to często biedny człowiek nie o tym nie wie, co się zbiera nad



jego głową!... On tak swobodnie wymówił „z powrotem,“ a któż odgadnie, jaki to będzie ten powrót?...

— Sprawunek mój—mówiłam dalej—jest wprawdzie napozór dobry, ale pan wiesz, że życie kobiety składa się z samych drobnostek!... Dałam haft do wyrobienia, a potrzeba do tego bliższego porozumienia się z hafciarką...

Tu głos mi się urwał, bo serce moje zaczęło się buntować. Była to dla mnie chwila stanowcza. Mogłam jeszcze zawrócić, rzucić kir niepamięci na cudze łyzy i cierpienia i wejść w posiadanie szczęścia aż do śmierci!...

— Potrzebne jest do tego haftu ustne porozumienie się...—mówiłam dalej, a usta moje drżały...

— Wskaż mi pani tylko adres, do kogo mam się udać—ozwał się Cezaryusz najspokojniej.

— Przejdiesz pan ulicę Garbarską, Wesolą i Ustronną... Przy samym końcu Ustronnej jest mały, pochylony dworek...

Patrzyłam przy tych słowach z uwagą na Cezaryusza, czy czego z mojego planu nie odgadnie? Niczego się jednak nie domyślał.

— Pochylony dworek stoi w ogródku — ciągnęłam dalej,—zapewne zobaczysz pan dzieci przedmiejskie, bo osoba, do której pana posyłam, jest mi duchem i myślą pokrewną, tylko może szlachetniejszą... Nadzoruje ona dzieci, których rodzice chodzą na zarobek.

— Pani rada otaczasz mię szlachetnemi postaciami.

— Bo wierzę, że przy szlachetnych nie możesz

pan być nieszlachetnym!... Biedna hafciarka nazywa się Kornelia!

Cezaryusz usłyszał to imię z całym spokojem: niczego się nie domyślał.

Za godzinę powozik jego zniknął w błękitnawej mgłę doliny.



### XXXVIII.

**D**nia tego nigdy nie zapomnę. Gdyby życie ludzkie, jak niektórzy utrzymują, składało się z pewnej liczby uderzeń serca, to dzień ten kosztował mię niezawodnie kilka lat życia!...

Zaraz po wyjeździe Cezaryusza poszłam do swojej biblioteczki, bo to było jedyne schronienie, w którym nie nagabywali mię domownicy; tam mogłam w samotności płakać lub rozmyślać: prócz Boga nikt na mnie nie patrzył!

Zrazu czułam jakąś ulgę w sercu. Wszelka nie pewność i wahanie się znikły, krok stanowczy już był uczyniony. Nie było już żadnego odwrotu. Co odemnie zależało, już wykonałam; reszta była w ręku Boga. Za mną był już Rubikon, przedemną tylko losy wojny: jakikolwiek mógł być wypadek tej wojny, sumienie moje i honor były ocalone!

Chwilowe to jednak uspokojenie, które po każdym, ważnym kroku w życiu następuje, nie trwało długo. W duszy mojej powstała nowa walka; a była dla mnie tém boleśniejsza, im bliższą była chwila ostatecznego wyroku.

Naprzód ozwał się w sercu wielki żal po tém, co tracę. Prawie od roku karmiłam się marzeniami i myśłami o Cezaryuszu; widziałam, jak pod wpływem szlachetniejszych uczuć przybierał w oczach moich postawę szlachetniejszą; wreszcie wszedł do mego serca i tam zamieszkał. Porównyując go z ludźmi powszednimi, widziałam w nim człowieka lepszego i wyższego. Widziałam jego gorącą miłość dla mnie, przywiązanie do tego, co mnie otaczało: dzisiaj sama go opuściłam i wysłałam, jak żołnierza na stracony posterunek!...

Żal ten rozdzierał mi serce. Egoizm jego wyrzucał mi zbrodnię popełnioną na samej sobie. Wyobrażałam sobie skutki swojego kroku w barwach najczarniejszych. Ciągłe szeptał mi ktoś do ucha:

— Jeżeli Cezaryusz ujrzawszy ukochaną dawniej osobę, powróci do dawnych uczuć, a ty sama pozostaniesz, cóż się stanie z tobą, z twoim ojcem, Ewunią i całym sąsiedztwem? Ileż to smutku i rozpaczyny wyniknie ztąd dla najbliższych twego serca! ile powodów do śmiechu i szyderstwa dla nieprzyjaciół! Któraż kobieta zdobywszy sobie szczęście, odpycha je dobrowolnie dla jakiejś fantazyi lub źle zrozumiałego skrupułu sumienia? Krok twój jest niczém inném, tylko istnieniem szaleństwem, obłąkaniem serca, chorobą zbyt drażliwej duszy!...

Takie myśli szarpały boleśnie sercem mojem, które nie mogło wyrzec się samolubstwa i nie rozumiało mojej ofiary. Wtedy budziły się we mnie nadzieje, że nad Kornelią mogę jeszcze odnieść zwycięstwo. Cezaryusz mógł wprawdzie z nią się widzieć i rozmawiać; nie wynikało jednak z tego, aby wrócił



do dawniej dla niej miłości: dzisiaj ja stałam już między nimi. W dziecięcym stanie może nas lada fraszka zabawić; za kilka lat, postąpiwszy w wyobrażeniach, patrzemy na tę fraszkę z obojętnością...

Tak samo mógł Cezaryusz patrzeć dzisiaj na Kornelię, marzyłam sobie, a serce moje biło żywiej na myśl zwycięstwa, odniesionego nad rywalką. Ale wnet się zasmuciłam, bo Kornelia nie była wcale fraszka, była piękniejszą a prawdopodobnie i szlachetniejszą odemnie! Bogactwo duszy przy zewnętrznych wdziękach zniewala każde serce do holdu!...

I serce moje ścisnęło się z bólu, jak serce każdej zwyczajnej kobiety. A wobec tego niebezpieczeństwa rościł Cezaryusz w oczach moich, jak rośnie urok obrazu, od którego się coraz bardziej oddalałam!

Siedziałam długo, jak posąg nieruchomy. Przemną snuły się najdziksze obrazy. Szala zwycięstwa między mną a Kornelią, ważyła się co chwila na inną stronę, stosownie do tego, czy serce nad lepszą myślą przeważało, czy sumienie nad sercem brało górę.

Upłynęło półtoręj godziny. Według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien w tym czasie Cezaryusz być już u Kornelii...

I dziwny obraz stanął mi w tej chwili przed oczyma:—Widziałam go klęczącego przed Kornelią; całował jej ręce i wyrzekał się wszelkich popełnionych względem niej grzechów. Przysięgał, że nigdy mnie nie kochał, że tylko względy światowe kazały mu zaręczyć się ze mną! Błagał o przebaczenie za obłąd chwilowy, przyrzekał poprawę i miłość dozgonną. Kornelia miała łzy w ciemnoszafirowych oczach i ów

anielski wyraz na bladej twarzy, który ją od wszystkich kobiet wyróżniał; miała wkoło swej jasnej głowy, jaśniejszą jeszcze aureolę ubóstwa i nieszczęścia, i długim, długim spojrzeniem przebaczała mu!...

Zerwałam się z krzesła na to dziwne widzenie, i zaczęłam szybko chodzić po pokoju. Zdawało mi się, że w sercu mojem zamiast krwi, płynęła lawa rozpalona; nerwy moje targał jakiś ból dotąd nieznan. Czy była to pycha kobiety, którą inna pokonała, czy żal po utraconém szczęściu? Czy miłość moja dla Cezaryusza była istotnie tak wielką?...

Pragnienia duszy kobiecej, jak trudno rozróżnić was i podzielić, które do nieba, a które do ziemi należały! Czyż to ma być prawda, co mówią poeci, że jesteśmy czemś połowicznem między człowiekiem a aniołem? Instynkta aniołów walczą w sercu naszym z żądzami ziemi, a walka ta jest życiem naszym!...

Duszną wydała mi się atmosfera pokoju: wyszłam do ogrodu. Chodziłam po wszystkich ścieżkach i drożynach, które chodziliśmy razem z Cezaryuszem. Dzisiaj wysłałam go na stracony posterunek... Czy wróci do mnie, czy będzie dla mnie stracony na zawsze!...

Wreszcie nadeszła pora obiadu. Kazałam czekać, a sama niecierpliwie patrzyłam na drogę pod figurą...

Minęła godzina, dwie; pod figurą nikogo nie było widać. Kazałam podać obiad.

— Czyś nie zdrowa, Regino?—zapytał ojciec przy obiedzie z tajonym uśmiechem.

— Z czegoż to ojciec wnosisz?



— Jesteś bledszą, niż zwykle i masz na twarzy jakieś drgania kurczowe; usta twoje drżą nieustannie!

— Mało spałam w nocy i czuję się zmęczoną!

— Nic to, moje dziecię — odpowiedział ojciec, kładąc mi rękę na ramieniu, — nie wypieraj się wzruszeń swoich przedemną. Znam źródło twego niepokoju. — Cieszę się z tego, bo to, co widzę, daje mi rękojmię, że będziecie oboje szczęśliwi, czego jedynie pragnę na świecie!

Biedny ojciec!... Poczułam łzy w oczach. Schyliłam się szybko, aby łez moich nie widział i rękę jego okryłam gorącymi pocałunkami. Na samą myśl, jak srogie go czeka rozczerowanie, przestało mi bić serce...

Po obiedzie wyszłam znowu do ogrodu i znowu długo patrzyłam na drogę pod figurą... Trzymałam rękę na sercu, bo mocno mi bolało w tej chwili... Figurę nie było nikogo!...

Cóż Cezaryusz tak długo robi w mieście?... Z tego to był, bardzo zły znak dla mego serca!... Kornelia prawdopodobnie nie była dla niego tém, czém dla niego był, rosnącego cacko potłuczone, którym bawił się, będąc dzieckiem!...

Nadszedł wieczór, gwiazdy wytryskiwały z ciemnego nieba, po rosie szeleścił wiatr wschodni: Cezaryusza nie było. Ojciec wrócił od zajęć gospodarskich i usiadł przed kominkiem w gościnnym pokoju. Był czegoś niespokojny; gazet wcale nie czytał; leżały nietknięte nad kominkiem.

— Czy nie spotkał Cezaryusza jaki wypadek? — zagadnęła po długim milczeniu.

Nic na to nie odpowiedziałam. Serce moje domyślało się, jaki to mógł być wypadek i co mię mógł

kosztować; nie wspomniałam jednak nic o tém, bo wiedziałam, że to może ojca jeszcze więcej kosztować!...

Grałam na fortepianie. Godziny mijały, ogień wygasł na kominku: Cezaryusz nie wracał!

Około północy ojciec wstał, powiedziawszy mi tylko „dobranoc“, udał się na spoczynek. Widziałam, że nie był kontent i o tém, co go niepokoiło, nie chciał ze mną rozmawiać, wypadało i mnie pójść w jego łady.

Już sporo po północy usłyszałam turkot na drodze. Serce mi się ścisnęło, byłam blizką omdlenia; zebrałam jednak wszystkie siły, uklękłam na ziemi i poleciłam Bogu biedne serce moje, które nie mogło nieść ofiary, jakiej od niego żądałam.

Do samego prawie rana nie zmrużyłam oczu; również do rana widziałam światło w oknach Cezaryusza. I on więc nie spał, nie mógł spać po widzeniu się z Kornelią?... Miałam w tém dostateczny powód do myśli, że serce moje poniesie cios oczekiwany, ale z drugiej strony mogłam być pewną, że ofiara moja nie pozostanie bez owocu...

Z brzaskiem dnia wstałam i ubrałam się; zbliżyłam się do okna, aby śledzić okna Cezaryusza. Z nie-malém zdziwieniem ujrzałam go prawie o świcie wychodzącego z sieni: miał głowę spuszczoną ku ziemi, jak człowiek zamysłony; udał się na samotną drożynę, która prowadziła na pola puste i łożą zarosłe.

I znowu mijały długie godziny, a Cezaryusz nie wracał. Ojciec zapytał o niego przy śniadaniu, i dziwiła go widocznie tak długa nieobecność; pocieszał



się tém tylko, gdy od służącego się dowiedział, iż żadnego wypadku w drodze nie mieli.

Dla mnie jednak nie było to dostateczném...

Wreszcie nadeszło południe: Cezaryusz nie wrócił jeszcze z samotnej przechadzki...

Na tém już mogłam mniej więcej opierać moje domysły. Widoczną było rzeczą, że spotkanie się Cezaryusza z Kornelią nie było obojętne: odświeżyło ono w jego sercu dawną miłość ku niej. Z tém odrodzonym uczuciem nie mógł, czy nie chciał stanąć Cezaryusz przedemną; szukał samotności, aby je zwalczyć i pokonać...

I nie było w tém nic niepodobnego. W każdym innym razie byłby Cezaryusz może z uśmiechem na ustach przeszedł po tém wspomnieniu do porządku dziennego; dziś jednak było to przejście wielce utrudnione. Pod wpływem uczucia dla mnie Cezaryusz wyszlachetniał i stał się o wiele lepszym od tego, czém był wczoraj. W tém niejako odrodzeniu jego napotkało go wspomnienie jego dawniej miłości. Czy to wspomnienie nie obowiązywało go do innego? czy nie zbudziło w jego sumieniu przynajmniej takiego samego skrupułu, jaki wywołał widok włóścianina, za kradzież sprawiedliwie ukaranego?

Byłam już prawie pewną, że plan mój, chociaż z nie małą dla mnie boleścią, zaczyna mi się udawać...

Dopiero na obiad wrócił Cezaryusz. Tłumaczył się tém, że w lesie zablądził; z twarzy jednak jego poznałam, że nie mówi prawdy. Widziałam nawet, że mu to wielką boleść sprawiało, iż kłamać przedemną musi.

Patrzyłam uważnie na niego. Napozór nie

zmienił postępowania ze mną; serce jednak kobiety jest podobne do mimozy: lada powiew powietrza drażni je i zamyka. Czułam, że z jego duszy wieje już inne uczucie...

Po obiedzie używaliśmy zwykłych rozrywek. Przez cały czas z uwagą obserwowałam Cezaryusza: coś miał w duszy, z czego bardzo rad nie był. O Kornelii wspomniał zaledwie kilka słów. Nie wprowadzałam imienia tego do rozmowy, aby nie obudzić jego podejrzenia. Raz nawet utknął na tém imieniu, jakby chciał natomiast inne wymówić (właśnie nazywała się Halina) i zaczerwienił się. Udałam, że tego nie widzę; nie chciałam spłoszyć budzącego się dla niej uczucia, i nie dałam mu z mojej strony nic takiego do poznania, coby go na moję ukrytą myśl naprowadzić mogło.

Wiele jednak, bardzo wiele kosztowała mię ta rola. Ile boleści doznałam, z jakimi wyrzutami serca i sumienia walczyć musiałam, wiadomo tylko Bogu, który czyta najskrytsze myśli naszel...

Nadszedł wieczór. Cezaryusz nie prosił mię, jak zwykle, abym zagrała. Propozycją ojca, aby wcześniej się udać na spoczynek, przyjął bez namysłu; tylko żegnając mię na dobranoc, ucałował rękę moję z taką gorącą namiętnością, z takim dziwném wzruszeniem, jakby się lękał odejść odemniel...

Ale ja błagałam w téj chwili Boga, aby mi dodał sił i odwagi...



# XXXIX.

Noc przeszła mi nieco spokojniej. Podobną byłam do żołnierza ranionego w boju: podczas narady lekarzy i operacyi bolesnej bolał biedny, trwożył się i niepokoił; widząc jednak, że mu już rękę odjęto, uspoił się i zasnął.

Byłam prawie pewna, że Cezaryusz już do mnie nie należy. Wprawdzie było to tylko wspomnienie, które walczyło z moją miłością. Każda kobieta ma w takim razie podostatkiem środków, aby to wspomnienie przyćmić i nad swoją rywalką ostatecznie zatryumfować. Prawdopodobnie i mnieby się to udało. Nie przeczę, że nawet miałam do tego wielką pokusę; ale myśl lepsza, jaką Bóg do duszy włożył, zwyciężyła i tym razem.

Rano był Cezaryusz nieco spokojniejszy; w głębi jednak jego wzroku majaczyło coś, czego właściwym wyrazem nazwać nie umiem. Ile razy do mnie mówił, ile razy uwagę jakiś rzeczy poświęcał, odrywało go coś nagle i przenosiło myśli jego poza sferę naszą. Czasem był nieprzytomny i nie pojmował moich wyra-

zów. Bolesnie uśmiechałam się na to wszystko, ale nie dałam mu uczuć tego, co się działo w mej duszy.

Trzy dni przeminęły w ten sposób; czwartego dnia powiedziałam Cezaryuszowi, że znowu mam sprawunki do miasta.

Cezaryusz spojrział na mnie z niedowierzaniem. W jego oku błysnęło jakieś dziwne światło. Patrzyłam na niego z udaną obojętnością, jakbym nie miała żadnej myśli ubocznej.

W pierwszej chwili zdawało mi się, że Cezaryusz przeląkł się słów moich. Niepokój malował się w jego spojrzeniu. Patrzył na mnie z pewnym wyrzutem i żalem; potem przemknął po jego twarzy jaśniejszy promień: było to zapewne wspomnienie Kornelii, którą dzisiaj mógł znowu zobaczyć. Wspomnienie to nie było wcale nieprzyjemne...

Zajęłam się leżącą na stoliku książką. Nie chciałam nateżoną uwagą ciążyć na twarzy Cezaryusza; również nie chciałam mu okazać, co w téj chwili dzieje się w sercu mojem, które mimo wszelkich postanowień buntowało się co chwila...

Po długim milczeniu, odetchnął głęboko Cezaryusz, wziął mnie za rękę, patrzył chwilę na mnie i rzekł nieśmiało:

— Może Pawełek mógłby ten sprawunek załatwić?

— A, przepraszam pana—odpowiedziałam z bolesnym uśmiechem,—nie wiedziałam, że to będzie dla pana tak wielką ofiarą!...

— Tak jest — podchwycił szybko Cezaryusz—zbyt wielką ofiarą jest dla mnie nie widzieć pani przez cały dzień!



— Zostawiam tedy panu wolny wybór—rzekłam z pewną goryczą.

Cezaryusz dostrzegł zapewne tę gorycz w słowach moich. Patrzył czas niejaki na mnie, jakby się namyslał lub walczył z sobą; potem wziął szybko kapelusze ze stołu i rzekł z gorączkowym pośpiechem:

— Wypełniam rozkaz pani!

Oczy moje zalały się łzami, gdy go widziałam idącego szybkim krokiem do oficyn, aby wydać potrzebne do wyjazdu rozkazy.

I znowu przez cały dzień te same, co pierwszym razem, przechodziły uczucia przez serce moje, były jednak o wiele łagodniejsze. Serce moje oswajało się, już z myślą poświęcenia: i teraz jeszcze wybuchnęło tłumionym żalem, i żalem, i rozpaczą, ale nie było to już tak bolesnym jak przedwczoraj. Zrazu boli nas ukłucie śpilki, ale po odniesionej ciężkiej ranie nie czujemy ostrza lancetu. Byłam nawet weselszą i pogodniejszą: rozkosz poświęcenia przemogła już ból ofiary.

I tym razem nie przyjechał Cezaryusz na obiad. Po obiedzie kilka razy spoglądałam na dróżynę pod figurą. Serce moje zadrżało i rzuciło przed duszę całą wiązkę zeszlých marzeń; usunęłam je spokojnie na bok, aby kiedyś, gdy wszystko się spełni, spalić je na ofiarę Bogu!...

Wieczorem ojciec pytał kilka razy o Cezaryusza, nie okazywał jednak niepokoju, jak pierwszym razem: przyzwyczał się już był do myśli, że nie wróci z miasta przed północą. Grałam tego wieczora wiele, a muzyka sprawiała mi większą, niżeli kiedykolwiek przy-

jemność: zdawało mi się, że znowu jestem sama na świecie...

Cezaryusz wrócił po północy. Z pierwszym braskiem dnia widziałam go znowu wychodzącego z oficyn na puste pole i łąki. Ubiór jego i włosy były zaniedbane, jak u człowieka, który ma wiele na głowie...

Około południa spotkał mię w ogrodzie. Był blebszy na twarzy, oczy miał rozgorączkowane. Prowadziliśmy z sobą rozmowę zwykłą, obojętną. O sprawunkach tyle mi tylko powiedział, ile koniecznie było potrzeba. Nie wypytywałam go bliżej; jak najmniej mówiłam z nim o mieście.

Obserwując teraz Cezaryusza, widziałam między nim a sobą dziwną różnicę: ja byłam z każdą godziną spokojniejsza, jego niepokój wzrastał co chwila, w rozmowie z nim czułam coraz więcej pogody w duszy, jego słowa i spojrzenia zdradzały coraz więcej usposobienie gorączkowe; na moich ustach pojawiał się często uśmiech swobodny, jego twarz stawała się coraz bardziej znękana...

Był to naturalny przebieg dziejów serc naszych: ja dążyłam do portu, zrezygnowawszy z podróży po morzu; jego rwały zdradliwe fale na szeroki ocean! U mnie rezygnacya dobiegała do kresu, a u niego rozpalala się walka...

Tak minęło dni kilka. Widziałam i czułam, że oboje dążymy szybkim krokiem do katastrofy; pragnęłam przebyć ją jak najprędzej!...

W kilka dni potem wszedł do błękitnego pokoju Cezaryusz; wcześniej, niż zwykł był to od niejakego cza-



su czynić. Siedziałam na sofie i czytałam. Zdziwiło mnie to ranne przyjście. Był dosyć starannie ubrany.

Usiadł koło mnie i rozpoczęliśmy rozmowę obojętną. Cezaryusz słuchał słów moich tylko jednem uchem. Był niespokojny i często wstawał, aby się przejść po pokoju; stanął przy oknie i patrzył zamyślony przed siebie; kilka razy skierowywał rozmowę na sprawunki moje w mieście: mówił o sklepach, w których nie spodziewał się tak wyborowych towarów.

Dorozumiałam się z tego wszystkiego, że Cezaryusz radby znowu do miasta pojechać, tylko brak mu pozoru.

Spostrzeżenie to było dla mnie ostatecznym wyrokiem. Wstałam i odetchnęłam głęboko, jak człowiek, który już wszystko stracił, wszystko za sobą zostawił, ze wszystkiem zerwał, czém długo, długo karmił ducha... Cała przeszłość moja była już skończona, a przedemną leżała nowa, pusta, osamotniona droga życia...

Westchnęłam jeszcze raz i pobiegłam szybko do swego pokoiku, aby nikt leż moich nie widział. Serce ma swoje prawa: musi wyboleć, wypłakać się, choć rozsądek nie widzi bynajmniej potrzeby ni leż, ni bólu. Kornelia odniosła nademną zwycięstwo...

Za chwilę wyszłam do Cezaryusza z notatką sprawunków. Widziałam, że oczy jego błysnęły jaśniejszém światłem, gdy ujrzał ten papier w moich rękach, ale wnet się zasmucił, spojrzał na mnie okiem pełném boleści i rzekł:

— Czy pani jesteś zadowolona z mego załatwiania sprawunków w mieście?

Tu zatrzymał się Sławosz, jakby mnie chciał do czegoś ważnego przygotować! Serce biło mi w piersi... Sławosz mówił dalej:

— Pan Cezaryusz wszedł do ogrodu, a ja zatrzymałam się przy parkanie, do którego przypiera altanka, zieloną fasolą ocieniona. Przymrozek nocny zwarzył już fasolę i poczynił w ścianach altany znaczne otwory. Widziałem, że panna Kornelia była w téj altanie. Nie wiem, czy tam płakała, czy też czekała na to spotkanie; zdaje mi się jednak, że płakała, bo często widziałem ją tam płaczącą...

Wstrzymałam oddech w piersiach. Duszo mi się zrobiło, jakby zabrakło powietrza... Sławosz mówił dalej:

— Zrazu szedł pan Cezaryusz prosto do dworku, ale chłopczyzna mały wskazał mu na altanę. Teraz nie wiem, co się stało. Posłyszałem jakiś jęk przytłumiony, a pan Cezaryusz, jak wryty zatrzymał się w progu altanki...

— I cóż dalej?

— Co dalej?... Dalej nastąpiło to wszystko, co się zazwyczaj robi, gdy ktoś zemdleje... Przyniesiono wody, wołano, krzyczano...

— Czy wyszła z dworku matka panny Kornelii?—zapytałam skwapliwie, bo usta mi drżały nieustannie.

— Nie. Matki właśnie w domu nie było; tylko dzieci przedmiejskie narobiły hałasu i krzyku; przynosiły to wody, to chustki... Wreszcie uciszyło się. Dzieci wróciły do izby; w altanie została tylko panna Kornelia i pan Cezaryusz.

— Słyszałeś pan, co mówili z sobą?



— Wszystko słyszałem, bo rzecz była nader ciekawa. Naprzód panowało długie milczenie. Panna Kornelia siedziała oparta na stole i patrzyła przed siebie, jakby nie w tej chwili nie widziała; pan Cezaryusz stał przy progu oparty o słup, który tworzył niejako część odrzwi altany. Po chwili podniosła się panna Kornelia, jak to umieć, gdy kto do niej się zbliża, i rzekła z pychą, jakby księżniczka: — „jaki jest cel pańskich odwiedzin?... Pan Cezaryusz na to nic nie odpowiedział, tylko mocno się zmieszał. Panna Kornelia patrzyła z uśmiechem ironicznym i rzekła: — „Zapewne nie masz pan odwagi w tej chwili mówić ze mną, jako z biedną zarobnicą. Wstydzisz się pan dawniejszej znajomości, dawniejszej roli! Gdybyś mnie pan spotkał w pysznym salonie...“ Pan Cezaryusz ciągle milczał, jakby mu kto na kłódkę gębę zamknął. Potém zebrało mu się na odwagę; postąpił krok bliżej i rzekł: — „Losy nasze są w ręku Boga. Mamy żywe współczucie dla tych, którym one wypadły nieszczęśliwie; ale innym, dla których Bóg był miłosiernym, nie powinniśmy złorzeczyć!... Na to podniosła się szybko panna Kornelia i zawołała: — „Słusznie pan mówisz: nie złorzeczy wyrokom bożym; Pan Bóg według filozofii pańskiej, odbiera szczęście tym, których dotknęła klątwą ubóstwa i nie każe nawet szemrać na to! Serca opravione w złoto mają u Niego większą protekcją!... Dla nich przygotował Bóg szczęście tego świata, a biednym... biednym wolno przyczyniać się pracą swoją, skropioną łzami, do ich szczęścia!... Pan zapewne przyszedłeś po haft zamówiony? Szczęśliwa Regina, będzie w nim cudnie wyglądała!... Służę panu!“ To rzekłszy, wyszła z altany, jak królowa, a pan

Cezaryusz postępował za nią, jak niewolnik z głową zwieszoną, z oczyma w ziemię spuszczoneimi...

— I cóż dalej? — zapytałam, a twarz moja pałała.

— Co dalej, tego powiedzieć nie umiem; tyle wiem tylko, że po kwadransie może wyszedł z dworku pan Cezaryusz z jakąś paczką w ręku. Szedł ścieżką ku bramie, jak człowiek nieprzytomny, patrząc w zamyśleniu przed siebie. Zdaje się nawet, że zmylił drogę, bo zamiast do miasta, poszedł prosto w pole. Ciekawy byłem, co dalej z tego będzie? Poszedłem w niejakiem oddaleniu za nim. Z drogi zwrócił na ścieżkę, prowadzącą pomiędzy pola. Szedł ciągle z głową ku ziemi spuszczoną, w ręku niósł pakiecik, jakby sam nie wiedział, co niesie.

— Opowiadasz mi pan dziwne rzeczy — rzekłam po krótkiem milczeniu.

— I dla mnie wydały się one dziwnemi. Dzień cały prawie nic nie jadłem, bo mi ciekawość nie dała... Pan Cezaryusz chodził po polach, i bałem się, czy go nie opętał szatan i nie szepce mu do ucha czegoś grzesznego!... W końcu powrócił do hotelu, wszedł do stancyi i zamknął się na klucz. W kilka godzin zawołał Żydka i dał mu list dosyć gruby. Przed wieczorem wrócił Żydek i przyniósł mu list, nie wiem, czy ten sam, czy inny. Zapewne nie był pan Cezaryusz zadowolony z tego listu, bo późnym wieczorem wyszedł z hotelu i długo zamyślony chodził po ulicach miasta bez żadnego celu. Potém skierował się ku Ustronnéj; poszedłem za nim. Myślałem, że wejdzie do dworku, ale nie wszedł. Chodził tylko wkoło parkanu i przysłuchiwał się muzyce. Panna Kornelia grała coś na fortepianie. Dopiero koło północy wró-



cił do hotelu i wyjechał. Wróciłem do domu głodny i zakatarzony!

Sławosz zatrzymał się, jakby już skończył. I mnie się zdawało, że już koniec, bo więcej niepotrzeba mi było. Sławosz jednak odetchnął tylko, a potem zaczął znowu:

— Nazajutrz, gdy według zwyczaju wstąpił do OO. Franciszkanów na mszę, gdzie zwykle cały piękny świat miasta się gromadzi, poznałem w ciemnym kącie przed obrazem Przemienienia Pańskiego kłęzczącą Kornelią. Trzymała chustkę przy oczach i gwałtownie płakała...

Dłużej nie mogłam już słuchać Sławosza. Chciałam ból serca, jak najprędzej uspić rozkoszą dokonanego poświęcenia; chciałam dobiec do biédnej, nieszczęśliwej kobiety, otrzéć jéj łzy, przycisnąć ją do piersi i płakać z nią razem, ale płakać łzami radości i rozkoszy... choćby na usypanéj mogile marzeń moich!...

— Więc to już wszystko! — rzekłam z głębokim westchnieniem.

— Prawie wszystko — odparł Sławosz, — bo to, co potem zaszło, było już tylko powtórzeniem tego, co się pierwszego dnia stało. We trzy dni przyjechał znowu pan Cezaryusz. Znowu poszedł do dworku, ale powiedziano mu, że Kornelii niéma w domu. Długo czas chodził po ulicy tam i napowrót; był zamyślony, i kiedy niekiedy machał ręką, jakby jakieś myśli odpędzał od siebie... Wreszcie spotkał Kornelią, idącą z jakąś małą dziewczynką. Zbliżył się i uklonił. Kornelia oddała mu ukłon, z taką dumą, jakby tym ukłonem wielką łaskę wyświadczała. Cezaryusz za-

czął coś mówić do niéj; Kornelia wzięła dziewczynkę za rękę na drugą stronę, tak że dziecko było między Kornelią a Cezaryuszem: odgrodziła się więc od niego, jak w bajce Twardowski od dyabła. Mówili coś do siebie bardzo żywo. Cezaryusz miał minę winowajcy. Kornelia wyglądała na prokuratora, wreszcie przy bramie się zatrzymali. Zdaje się, że Kornelia nie chciała, aby Cezaryusz szedł z nią dalej. Gesty jéj stawały się coraz żywsze, gwałtowniejsze; w końcu przyłożyła jedną rękę do serca, a drugą groźnie wskazała na niebo; potem otworzyła furtkę i mocno zatrasnęła ją za sobą. Cezaryusz stał chwilę przed furtką, jakby nie wiedział, co się z nim stało; potem ocknął się, zwiesił głowę i poszedł znowu na puste pola... Ztamtąd wrócił prosto do klasztoru OO. Franciszkanów. U furtyana zapytał o Ojca Salezego. Ojciec Salezy to poczciwy i zacny staruszek, który słynie, jako spowiednik znakomity. Cezaryusz długo tam siedział u niego, potem wyszli obadwaj. Cezaryusz podążył do hotelu, a Ojciec Salezy w kierunku ulicy Ustronnéj... Za godzinę wszedł Ojciec Salezy do hotelu z miną nienajlepszą; rozmawiał chwilę z Cezaryuszem, który potem po odejściu księdza, długo zamyślony chodził po pokoju, jak to mi Żydek opowiadał...

— Jestem panu nadzwyczaj wdzięczną!

— Zaraz pani, tylko skończę. Wczoraj był także Cezaryusz. Dowiedział się od Żydka, że panna Kornelia zasląbla; pobiegł szybko do lekarza, a potem późnym wieczorem widziałem go stojącego między gruszą a kasztanem i patrzącego w okna dworku. Stał długo, może do północy!



Na tém skończył pan Sławosz opowiadanie swoje. W przekonaniu, że mi wielką uczynił przysługę, uśmiechnął się słodko i zatarł ręce, jakby najlepszy spełnił uczynek. Wyjątkowo był to dla mnie istotnie dobry uczynek.

Pożegnałam Sławosza i stanęłam na ulicy, jak błędna owca, która nagle drogę zgubiła!...

XXXVII.

Po krótkim zastanowieniu, wyjaśniło mi się położenie Cezaryusza. Według wszelkiego prawdopodobieństwa kochał on Kornelią ową lepszą, szlachetną miłością, którą dzisiaj nader rzadko napotykamy między ludźmi. Nagła zmiana stosunków Kornelii uderzyła niespodzianką w tę miłość; Cezaryusz miał wprawdzie znaczny zasób w sobie do wytrwania w raz powziętém uczuciu, ale był jeszcze zbyt powszednim człowiekiem, aby mógł zwyczajko wyjść z tego boju ze światem, z jego przesadami i odwiecznym obyczajem. Trzymał się czas niejaki, ale uległ opinii kółka, w którym się urodził i wychował; potargał więzy, czas miał reszty dokonać; podobne ciche, nieznane tragedye odbywają się codziennie...

Tu nastąpiła nasza znajomość! Stosunek nasz wzajemny, piękne, szlachetne uczucia uszlachetniły niejako duszę Cezaryusza. Nie pysznię się tém, że to było mojem dziełem, bo to było dziełem miłości, jaką ku mnie powziął Cezaryusz. Moją zasługą może było, żem nie marnowała na fraszki tego złotego uczucia, ale skierowałam je do źródła, z kąd wyszło: do Bo-



ga i obowiązków względem bliźnich i społeczeństwa... Pod wpływem tych wyższych myśli oczyścił Cezaryusz serce swoje ze światowych naleciałości i przywrócił mu pierwotną tklivość na to wszystko, co dobre, szlachetne i prawe...

W tém odrodzeniu jego napotkało go wspomnienie życia, które miał dawno za zmarłe; piękna, szlachetna kobieta stanęła przed nim, okazała mu serce zranione i duszę rozdartą!... Cezaryusz był tego sprawcą!...

Odżyły w nim nagle wszystkie chwile tego epizodu, i w duszy uszlachetnionej sprawiły wyrzut, który jak cień przywiązał się do jego kroku... Tego wyrzutu chciał się widocznie pozbyć, ale nie mógł: walczył sam z sobą, ale nie mógł dojść, ani do zwycięstwa, ani do przegranej...

Teraz nadszedł czas mojej roli.

Weszłam w ulicę Ustronną, która prowadziła do dworku Kornelii.

Dworek wydał mi się smutniejszym, niż dawniej. U okien były zasłony na dół spuszczone; złowieszcza cisza panowała w atmosferze ogródka; nawet świegotliwe ptastwo odleciało gdzieś z niego, aby téj ciszy grobowej nie mieszać żadnym weselszym odgłosem.

Z bijącym sercem otworzyłam drzwi do sieni; nie było tam, ani gwaru dziatwy, ani piosenki pracujących dziewczynek: był jakiś smutek w powietrzu, jakas duszność, której określić nie mogę.

Otworzyłam drzwi do pierwszej izby. Leżało tam na stole, jak przedtém mnóstwo świeżo wypranej bielizny, ale stariej niewiasty z twarzą surową nie by-

ło przy robocie; żelazko od prasowania stało zimne, na kominie nie było ognia.

Weszłam do drugiej izdebki. Na białém łożu leżała Kornelia blada, jak ściana; miała oczy przymknięte, a ręką i palcami czyniła ruchy, jakie spostrzegać można w chorobach gorączkowych; koło niej siedziała matrona z twarzą surową, i modliła się na książce, czasami spoglądając niespokojnie na chorą.

Wejścia mego nie spostrzegła sędziwa niewiasta. Zrobiłam kilka kroków naprzód; dopiero szelest mojej sukni zwrócił ję uwagę: podniosła oczy i surowo spojrziała na mnie, również otworzyły się powieki choręj.

Zbliżyłam się szybko do łóżka i wzięłam chorą za rękę. Kornelia nagle oprzytomniała, jakby cudowną siłą przenikniona; podniosła się z poduszek i usiadła w łóżku. Twarz ję nosiła ślady mocnej gorączki, ale oczy patrzyły trzeźwo.

— Haft już oddałam — rzekła do mnie, — czego pani chcesz jeszcze odemnie?

— Przychodzę panią odwiedzić i w słabości pocieszyć! — odpowiedziałam, a lzy drżały mi pod powieką.

Kornelia patrzyła chwilę na mnie z całą uwagą; potem uśmiechnęła się boleśnie i rzekła:

— Pociechy żadnej pani dać mi nie możesz! A to, co mi pani dajesz, jest dla mnie gorszem od pogardy!

— Gorszem od pogardy? — zawołałam skwapliwie — pogardza się tylko jałmużną nieprzyjaciela!

— Słusznie nazwałaś to pani! Jałmużna nieprzyjaciela! Precz z taką jałmużną! Milsza śmierć!

Rzekłszy to osunęła się na poduszki, a bledosc śmiertelna pokryła ję lica. Wzięłam ją znowu za rękę i chwilę tak trzymałam. Przyszła znowu do przy-



tomności i znowu wyrwała mi rękę. Podnosząc głowę, rzekła do mnie:

— Przestańmy grać rolę względem siebie: mów pani otwarcie, a ja również otwarcie na wszystko odpowiem.

— Mój narzeczony, pan Cezaryusz, kochał panią przed dwoma laty!

— W obec Boga i sumienia byłem jego narzeczoną, choć nie odbyliśmy ceremonii zaręczyn!

— Potém zapomniał.

— Nie, pani, nie tak. Potém klęski osobiste i powszechne odebrały nam mienie. Razem z naszym mieniem znikł dla Cezaryusza wszelki urok, jaki mnie dawniej w oczach jego otaczał. Wstydził się uczucia powziętego ku mnie. Reszty dokonały rady przyjaciół, których żywił swoim chlebem i poił winem. Narajono mu bogatą pannę; tam pojechał i targ przybił. Ale ta bogata panna, dowiedziawszy się o mnie, zaniepokoiła się; chciała czémś okupić szczęście swoje, i zostawiła biednej zarobnicy banknot, aby ję zapłacić za odstąpionego kochanka. Potém wymyśliwała różne roboty, za które hojnie płać i innych jeszcze podmawiała do podstępu. Chciała kilku papierkami, które, jak drobne strzęki wisiały od ję posagu, okupić moję boleść, zapłacić wszelkie pretensye... I pan Cezaryusz na podobną wszedł drogę... O zgrozo! Więć i on... on sądzi, że pretensye zawiedzionego życia dadzą się zapłacić?... O podły, nikczemny świecie! O ludzie przewrotni i grzeszni! I wy sądziecie, że pieniądz wasz jest wszechmocny, że zmyje łzy wypłakane w długich nocach bezsennych... że zapłaci za tyle kurzowych uderzeń serca... za tyle gorzkich i krwawych

westchnień... że wreszcie zmoże w księdze Boga to, co tam zapisano na sąd ostateczny!...

Wymówiwszy to z gorączkowem wysileniem, upadła na poduszki i straciła przytomność. Usta ję drżały jeszcze, ręką chwyciła coś w powietrzu, oczy napół przymknięte patrzyły przed siebie— ale już nie nie opowiadała.

Rzuciłam się przed nią na kolana, a z oczu moich puściły się łzy obficie. Zdało się, że ją płacz mój obudził. Oczy ję zamigotały słabym blaskiem; rękę zbliżyła do mnie, jak gdyby mnie szukała. Wzięłam ją za rękę i zawołałam:

— Na miłość bożką uspokój się Halino! Nie przyszłam do ciebie z jałmużną, ale chcę ci zwrócić cały twój skarb! Zwracam ci serce Cezaryusza, boś tego godna. Ty go kochasz i on kochać cię będzie, kochać musi! Miłość szlachetnego serca nie może zostać bez wzajemności!...

Halina była ciągle nieprzytomną; tylko na ostatnie słowa moje przebiegło jakieś dziwne światło po ję twarzy. Była to twarz kobiety szczęśliwej, w niebo wziętej!...

— Halino—mówiłam dalej—Halino, siostrze moja! oto weź z rąk moich, co nieprawnie mnie się dostało!

I zdjęłam z palca pierścień, który w dniu zaręczyn od Cezaryusza dostałam, i włożyłam ję na palec...

Jakiś dziwny, magiczny wpływ sprawił ten pierścień na nieprzytomnej: uspokoiła się, stała się nieruchomą, jak posąg, tylko w oczach napół zmrużonych rozlit się blask, jakiegoś uczucia rozkoszy, poczem



nastąpiło drgnienie całego ciała, zakończone na twarzy uśmiechem zachwyty...

Był to ostatni akt mojej ofiary. Obie byłyśmy w tej chwili bardzo szczęśliwe...

Po chwili wezwałam lekarza, a do ojca wysłałam umyślnie go z zawiadomieniem, że dzisiaj nie wrócę.

. . . . .

We trzy godziny wróciłam ze służącą do hotelu. Byłam pewna, że w tym czasie ktoś z domu przyjedzie; list mój bowiem pisany naprędce mógł słusznie wszystkich zaniepokoić.

Jakoż nie omyliłam się. Po półgodzinném oczekiwaniu zaturkotały koła przed hotelem, a pianą okryte rumaki zaryły kopytami. Przybył Cezaryusz. Za chwilę wpadł do mnie cały zmieniony.

— Czy pan sam przyjechałeś? — zapytałam go zaraz na progu.

— Ojciec i pani Stanisławowa jadą także — odparł, chwytając oddech w piersi; — ja tylko popuściłem konie, aby choć o półgodziny przedź od nich zdążyć. Zdaje mi się, że potrzeba nam chwili rozmowy sam na sam!

Podaliśmy mu rękę dosyć spokojnie i rzekłam:

— Zgadłeś pan, że na to liczyłam. W samą rzecz bardzo potrzebuję kilku chwil rozmowy z panem.

— Słucham — odrzekł Cezaryusz, i zaparł oddech w piersi.

Wzięłam go serdecznie za rękę, jak dawniej, i prosiłam, aby usiadł przy mnie.

— Panie Cezaryuszu — rzekłam do niego ze szczerem i otwartym wejrzeniem, — niech pan się przygotuje, że będziemy mówili o rzeczach bardzo ważnych, które rozstrzygną o naszej przyszłości.

Twarz Cezaryusza przybrała wyraz uroczysty, oczy tylko biegały niespokojnie i zdradzały burzę serca.

— Wierzę — mówiłam dalej, — że każde z nas pragnie szczęścia. Wyobrażamy sobie, że przyszłość nasza będzie szczęśliwą. Otóż, powiedz mi pan szczerze, czy bierzemy z sobą warunki naszego przyszłego szczęścia?

— Warunki? — ozwał się po chwili Cezaryusz głosem niepewnym, jakby nie wiedział, co ma na to odpowiedzieć, — warunki? O jakich warunkach mówi pani?

— Każda rzecz musi mieć swoje warunki, bez których istnieć nie może; tak samo i szczęście. Lekomyślnością jest, pragnąć i spodziewać się szczęścia, gdy warunków do niego niema!

— Zdaje mi się, że miłość sama mieści już w sobie warunki przyszłego szczęścia!

— Prawda, ale trzeba dobrze siebie obejrzyć, gdy do świątyni miłości przystępujemy. Trzeba mieć na sobie szaty czyste, godowe, bo inaczej w najbliższej przyszłości może się z nami stać to, co się stało z owymi zaproszonymi na biesiadę, którzy przyszli bez szat godowych. Oto, mówi przypowieść ewangeliczna: związano ich i wrzucono do ciemnicy, na płacz i zgrzytanie zębów!...

— Czy sądzi pani, że nie jestem godzien szczęścia?

— Przeciwnie, pan należysz do tych nielicznych



wyjątków, którym należy się szczęście w całej pełni... Nieszczęściem tylko jest może, iż idąc do przygotowanego szczęścia, zbłądziłeś pan z drogi, i zamiast do słońca, sięgnąłeś pan do małej gwiazdki!...

Cezaryusz patrzył na mnie z gorączkowym niepokojem; usta jego drżały, oczy rzucały dziwne blaski.

— Czy wierzysz pan w potęgę wspomnień?—zapytałam po chwili milczenia.

— Wspomnień?—powtórzył bezmyślnie — jakież to mają być wspomnienia?

— Jeżeli np. gotujemy sobie nową, szczęśliwą przyszłość, a tu za nami ciągnie się, jak chmura złowieszczą, jakieś dawne wspomnienie i przyczepia się, jak pijawka do naszej duszy!...

— Ach! to prawda... są straszne, zabójcze wspomnienia!

— Powszedni ludzie w życiu powszedniem nic sobie nie robią z podobnych wspomnień. Składają je na dnie duszy, jak stare, stargane rupiecie, na które nową, tandetną robotę rozwieszają. Tym ludziom nie dokuczają podobne wspomnienia. Brzydkie zwierzęta, mieszkające w nieczystościach podziemnych, nie czują upośledzenia swjej atmosfery i nie pragną świeżego oddechu; ptak jednak, który ma lot wyższy i swobodny, unikać będzie tych trujących wyziewów!...

Cezaryusz wstrząsnął nagle głową, jakby dopiero oprzytomniał; oczy jego zamigotały dziwnym ogniem, twarz poczerwieniała.

— Wiem już, wiem, do czego zmierzasz pan!—rzekł głosem dziwnie drżącym — wiem, co pani masz na myśli... ale na miłość bożką, powiedz mi pani, jakie jest wyjście z mego położenia?

Rzekłszy to, załamał ręce i zakrył twarz.

— Wyjście z tego—odpowiedziałam spokojnie—jest nader proste: należy wrócić się do punktu drogi, od którego zaczęliśmy zbaczać!

— To niepodobna!

— Kto chce, temu wszystko jest możliwe!

— Nie wszystko odemnie zawisło!

— To, co pana obowiązywało, jest rozwiązane!

— Jaki?—zapytał skwapliwie z wystraszonem wejrzeniem.

Zamiast odpowiedzi, okazałam mu rękę, na której już nie było pierścionka. Zrozumiał ten gest i tę odpowiedź! Wziął mnie za obie ręce i silnie je ścisnął. Dłonie jego drżały, jak w febrze.

— Więc wszystko między nami skończone?—zawołał z boleścią.

— Za to nawiązane tam, gdzie zerwanem być nie powinno!... Pierścioneł pana znajduje się na palcu Haliny!

Cezaryusz stał chwilę, jak człowiek, który nagle stracił zmysły; zdaje się, że w tej chwili nic nie widział, nie słyszał i nie czuł.

Powoli zaczęła się twarz jego ożywiać: w oczach rozżarzał się płomień coraz weselszy; podniósł rękę do góry, jakby od czoła chciał odpędzić jakąś mgłę złowrogą; potem odetchnął głęboko i łzy mu puściły się z oczu.

Uszanowałam tę chwilę boleści. I mnie puściły się łzy z oczu; w tej chwili bowiem rozstawałam się z marzeniami, które długo pieściłam w du-



szy... Serce bolało, choć dusza czuła rozkosz spełnionej ofiary...

.....

W tej chwili weszli do pokoju ojciec i Ewunia. Zobaczywszy ojca, zerwałam się z krzesła i pośpieszyłam ku niemu; upadłam do nóg jego i zaczęłam je łzami oblewać.

— Ojciec mój, drogi ojciec!—zawołałam z najgłębszą boleścią — przebacz mi, przebacz za smutek i zmartwienie, jakie tobie zgotowałam!

— Cóż to jest, drogie dziecko?—zapytał ojciec głosem bez dźwięku, i stanął osłupiały.

— Regino, bój się Boga!—krzyknęła rozpaczliwie Ewunia, która coś wiedziała, a reszty się domyśliła—bój się Boga, zabijesz ojca... Porzuć te przywidzenia chorągwej duszy i bądź kobietą, jak inne! Któż tam na takie drobne rzeczy zważa? Co powie świat cały! Hańba, plotki i... stare panieństwo!

Podniosłam głowę od nóg ojca i spojrzałam na niego przez łzy.

— Czy ojciec pragnie szczęścia mego, czy ofiary?—wyrzekłam głosem spokojnym.

— Jakięj ofiary? — wpadła Ewunia namiętnie, któż ofiary od ciebie żąda? Szczęścia twego pragnemy szczęścia, jak sobie!

— Szczęścia mi życzysz Ewunio, jak sobie?—zapytałam z tym samym spokojem—takiego szczęścia mi życzysz?... Powiedz mi szczerze, czy jesteś szczęśliwą?... Czy te wszystkie drobnostki życia, za które tak skwapliwie chwytasz, wypełniły próżnię twego serca? Wierżaj mi, do szczęścia prowadzi tylko jedna

droga, którą Bóg nakreślił w sumieniu i sercu; wszystkie inne dróżki i ścieżki są tylko złudnym omamieniem!

.....

Nazajutrz byłam już w domu. Położono mię do łóżka, a lekarz zakazał mówić w mojej obecności o czémkolwiek, coby mój umysł drażnić mogło. Cezaryusz został w mieście.



XLII.

**D**wa tygodnie byłam w dziwnej gorączce. Nic nie wiedziałam, co się ze mną stało; tylko jakieś luźne, rozpierzchłe sny majaczyły po mojej głowie.

Przy łóżku widziałam tylko ojca i starą piastunkę. Czasem przyjeżdżała Ewunia, ale miała twarz zagniewaną, jakby mi kroku mego przebaczyć nie mogła. Stryjenka pogniewała się na dobre i wcale o mnie nie dbała: nieszczęście moje wydawało jej się niczem wobec jej zasad praktycznych.

Zaledwie po dwóch tygodniach mogłam wstać o własnych siłach. Biędny ojciec, jakby tylko na to czekał. Wytrwał przy łóżku mojem, gdy tego była potrzeba; lecz widząc mię przychodzącą do zdrowia, ugiął się nareszcie pod zmartwieniem, które siły jego niszczyło, i położył się do łóżka: tylko miłość dla mnie utrzymywała go dotąd na nogach.

Nieszczęście to wzięłam za dopuszczenie boże. Snadź Bóg nie chciał, abym odrazu ujrzała ogrom nieszczęścia, jakie sobie przez mój krok zgotowałam. Słabość ojca zajęła cały mój umysł, siedziałam teraz całe dni i noce przy jego łóżku, odpłacając dług ojcowskiej miłości.

Wreszcie i ojciec przyszedł do zdrowia; na twarzy jednak jego pozostało niezatarte znamię katastrofy, przed którą przeszło ojcowskie jego serce: on widział dalej i lepiej i bolał stokroć więcej odemnie ze względu na moją przyszłość.

Teraz dopiero zaczęły się okropne rzeczy przedemną odsłaniać. Nie miałam nawet wyobrażenia, jakim jest świat dla tych, którzy idąc za szlachetniejszym popędem, chcą się wyłamać z pod jego praw zgrzybiałych!...

Już samo wspomnienie tego, co było, napawało mi duszę jakąś nieprzyjemną goryczą. Jesień była już późna, a mrozy nocne powarzyły do reszty wszystkie kwiaty; czarne, bezlistne łodygi chwiały się na wietrze: liście na drzewach pożółkły, trawy zwiędły i opadły na ziemi!

Taki widok natury nie mógł w serce moje wlać żadnej pociechy. W ogrodzie każda ścieżka przypominała mi niedawną przeszłość, która wśród zieleniącej, natury wyglądała, jak czarna, świeżo usypana mogiła, nową, świeżą trawą jeszcze nie pokrytą!...

Unikałam tych wspomnień i zamykałam się w izdebce mojej. A tu znowu żałośliwy, jesienny wiatr wciskał się przez wszystkie szpary do mnie i jakby płakał nademną!...

Ale najstraszniejsi z tego wszystkiego byli dla mnie ludzie!... Człowiek wyższy może być na wyobrażenie bożkie stworzony, ale człowiek powszedni ma w sobie naturę szatana! W nieszczęściu widzi się to jasno!

Długo odpędzane zaczęły się teraz całym rojem cisnąć do mnie różne wieści i historyjki, jakie sobie



ludzie z powodu tego zdarzenia pomyśleli, a wszystkie były przeciw mnie wymierzone!

W całym sąsiedztwie opowiadano sobie z rozkoszą, że Cezaryusz zerwał ze mną, poznawszy we mnie istotę, z którą się nikt na świecie zgodzić nie może. Mówiono o mojem despotycznym obchodzeniu się z ojcem, o moich ekscentrycznych rządach w domu. Odmalowano mój charakter tak strasznymi barwami, że i tygrys mógłby uciec odemnie. Zrobiono ze mnie wariatkę, której się zdaje, że jest czémś wyższem, że czytała więcej od innych, a tymczasem jest głupiuteńką gąską, jak tego dowodem, że dobrej partyi nie umiała w ręku utrzymać!... Opowiadano sobie do ucha, że mam chętkę być sawantką, że siedzę w bibliotece mojej po całych nocach i piszę jakieś książkil... Takto każda mierność, każda ciemnota mści się na ludziach, pragnących światła jaśniejszego od kopcanej świeczki łożowej...

W najrozmaitszy sposób objawiała mi się złość i przewrotność serc ludzkich. Sąsiedzi i sąsiadki przyjeżdżali do mnie i z wyrazem współczucia na twarzy dopytywali się o szczegóły tego, co im niewymowną radość sprawiało. Rola moja była nader trudna: nie mogłam im całej rzeczy dokładnie wyświecić, bo o dobrych uczynkach swoich człowiek sam mówić nie może. Musiałam poprzestać na niektórych sprostowaniach co do Haliny, o której miano najgorsze wyobrażenia: ubóstwo bowiem jest przekleństwem człowieka. Ale słowa moje tłumaczono sobie jeszcze gorzej i budowano na nich nadzwyczaj kunsztowne historyjki!...

Świat powszedni nie lubi rzeczy nadzwyczajnej.

Zdarzenie, w którym czynny udział miałam, nosiło wszelkie cechy nadzwyczajności. Oddarto więc tę nadzwyczajność z całego uroku, jaki dla mnie mieć mogła i wystawiono ją w świetle pełnem grozy, awantur i źle użytych intryg.

Z Cezaryusza zrobiono człowieka, jak najgorszego; opowiadano z największymi szczegółami moje zajście z jakąś szwaczką w mieście, która nademną tryumf odniosła i odebrała mi pierścionek Cezaryusza. Innych szlachetniejszych pobudek nikt nie przypuszczał!

Najnieznośniejszém było mi współczucie tych, którzy we mnie widzieli porzuconą przez Cezaryusza narzeczoną. Uśmiech na ich twarzy okazywał mi, że wszelkie moje zaprzeczenia na nic się nie zdadzą! Duma moja kobięca była tutaj boleśniej dotkniętą!...

Za kilka tygodni zajaśniał mi mały promyczek niejakięj rehabilitacyi. Cezaryusz przyjechał do nas i przywiózł mi list od Haliny! Ze łzami wdzięczności pisała do mnie i nie miała słów podzięk, za szczęście, które jej zgotowałam. Wyznała mi, że Cezaryusz w mojej atmosferze tak wyszlachetniał, iż dawnego wspomnienia nie mógł zatrzeć w duszy, które go teraz obowiązywało. Ofiara moja przyszła mu w pomoc, gdy w strasznęj był z sobą walce. Prosiła mię jeszcze o jedną ofiarę, abym Cezaryusza prowadziła do ślubu, który wkrótce miał się odbyć; Cezaryusz ze swojej strony zaklinał mnie, abym Halinie nie odmówiła.

Taka przysługa zrobiona szczęśliwej Halinie byłaby niejako zaprzeczeniem wszystkich złośliwych wieści; zgodziłam się chętnie na to, i przyrzekłam



w umówionym dniu przyjechać w świątecznym stroju do miasta.

Każde większe nieszczęście ma swoją nieubłaganą logikę. I ten jaśniejszy promyczek niejakięj rehabilitacji miał dla mnie zagasnąć. Ojciec mój, złamany mojem niepowodzeniem w opinii publicznej, zanie-mógł znowu i położył się do łóżka. Niepodobna było od jego łóżka odejść wprost na wesele! Uwiadomiłam Halinę, że na ślub nie przybędę.

Stugębna fama rozniosła znowu to zdarzenie po kilku obwodach. Złosliwość ludzka ze świetnym dowcipem i nie małym zasobem wyobraźni objaśniła ten drobny fackik. Opowiadano: że chciałam pewnym efektem scenicznym rehabilitować się i wyprosiłam u Cezaryusza urząd druchny przy ślubie; z tego powodu miałam stoczyć z pocziwym ojcem moim, który podobnemi awanturami brzydził się, domową walkę, w skutek czego ojciec zachorował i tym sposobem wszystkie wyrażinowane moje szyki popsuł!

Gdy mnie tak nieczysta atmosfera zewsząd ogarnęła, gdy najbliżsi krewni kamieniem potępienia na mnie rzucili; gdy nawet w religii trudno mi było znaleźć pociechy i ukojenia: zrezygnowałam z całej przyszłości mojej, i miałam siebie za zgubioną!...

Przekonałam się, że łatwo jest odbyć akt poświęcenia, lecz nader trudno walczyć z tém wszystkiem, co później następuje. Chwila poświęcenia może być nawet rozkoszą, ale ciernie wyrastają dopiero potem, aby nas klóły przez całe życie!...

I dziwna rozpacz mię ogarnęła. Dom nasz osamotniał i wyglądał, jak klasztor trapistów. Ojciec milczał po całych dniach, bo w duszy miał żal do mnie:

Ewunia przestała prawie bywać i rozrywała się wizytami w wesołe sąsiedztwa.

Byłam tak osamotnioną, jak nigdy. Zdawało mi się, że nawet zwierzęta unikały mię i nie przyjmowały jada z mojej ręki. Żebraków nawet brakło, którymbym jałmużnę dawać mogła, tylko dziatki trzymały się mnie jeszcze...

Z tego też powodu rozeszła się wieść po okolicy, że zamysłam wstąpić do zakonu, i że już uczyniłam śluby tereyarki...

Próbowałam na łonie natury, która moję młodocianą wyobraźnię tak słodko niegdyś kołysała, znaleźć niejakię ukojenie. Z rozpaczą na ustach otworzyłam do niej ramiona, aby mnie przycisnęła do siebie i ogrzała moje serce zmarle!...

Lecz, jakże przemawiała teraz do mnie natura?

Oto, gdy wyszła na stromą górę, której ściana skalista prostopadle w przepaść się zagłębiała, słyszałam na dnie przepaści szmer potoku, który dziwnie do mnie przemawiał! Lśniące jego fale, które z czarnej otchłani moje oko uderzały, rwały mię jakoś dziwnie do siebie, obiecywały rozkosz zapomnienia na wieki!... Szum dziwny powstawał wtedy w głowie, nachylałam się coraz więcej do przepaści, z kąd wiały do mnie jakieś dziwne prądy chłodu i spokoju!...

Cofnęłam się z brzegu przepaści, bo na ostatniej gałązce krzaczka, który wisiał na samej krawędzi, ujrzałam małego robaczka, który wszystkiemi siłami ratował się od upadku w przepaść bezdenną! Pomogłam biednemu robaczkowi i sama odeszłam od brzegu otchłani, która mi obiecywała spokój i zapomnienie!...



Drugi raz zasunęło się niebo groźnemi chmurami. Jakby naumyślnie dla mnie, w późnej jesieni rozpoczęły się błyskawice i grzmoty. Wyszłam na wolne powietrze i stanęłam pod wielkiem drzewem na wzgórzu. Była tradycja, że w to drzewo kilka razy piorun uderzał i gałęzie jego łamał!... Tym razem nie uderzył piorun w to drzewo!... Ale za to zawrzała straszna burza wokoło!...

W parę tygodni po Wszystkich Świętych przyjechało do ojca kilku znajomych. Rozmawiano długo w noc. Od tego czasu widziałam, że ojciec żył jakimś życiem gorączkowym. Po całych wieczorach czytywał dzienniki; mówił ze mną o różnych wyprawach do Brazylii, Kochinchiny i t. p. Wielu znajomych odwiedzało nas w przejeździe na jakąś wielką obławę, która się odbyć miała poza górami, na południowym stoku Karpat...

Przerwało to na chwilę moją samotność; rozmawiałam z gośćmi po całych godzinach.

Pewnego razu długo w noc nie mogłam usnąć; jakaś dziwna gorączka drażniła nerwy moje. Usta miałam spragnione, twarz paliła od gorąca, a serce głośno biło w piersi.

Zasłyszałam turkot wózka. Wstałam, zbliżyłam się do okna i ujrzałam przechodzącego służącego. Zapytałam go, kto przyjechał? Odpowiedział mi, że jeden z tych myśliwych, którzy ciągną na drugą stronę Karpat.

Przyzwyczajona do takich wizyt w tej porze, położyłam się do łóżka, dawszy służącemu potrzebne rozkazy.

Nazajutrz rano przy śniadaniu zapytałam ojca:

— Czy wczorajszy gość już odjechał?

— O świetle jeszcze. Kazał cię pozdrowić! — odpowiedział ojciec spokojnie.

— Któż to był?

— Pan Andrzej!

Dziwne, nader dziwne wrażenie sprawiło znowu na mnie to imię! Właśnie puszczałam wodę kipiącą do filiżanki z samowara. W oczach pociemniało mi, w uszach słyszałam szum, jakby tętent szwadronu konnicy, atakującego baterię; serce chciało mi rozbić pierś, dla której oddechu nagle zabrakło... A tymczasem wrzący ukrop biegł spokojnie po mojej ręce i oparzał ciało coraz głębiej.

— Jezus, Marya! Regino! — krzyknął ojciec i odepchnął odemnie samowar.

— Nie czułam, mój ojczy, że mnie woda parzy! — odpowiedziałam i usiadłam na krześle...



XLIII.

**O**d tego dnia weszło moje życie na jakąś inną drogę. Myśli moje i marzenia nawiązały się znowu do owego pamiętnego dnia, w którym po raz pierwszy ujrzałam Andrzeja. Wszystko, co między tym dniem a dzisiejszym było, odkroiło się i wyleciało z życia mego, jak osobny, zakończony epizod.

Marzenia moje były wprawdzie dziecinne. Nie miały żadnego gruntu, żadnej podstawy. Andrzej był dla mnie i teraz zupełnie obojętnym. Na owym krótkim noclegu nie zapytał się nawet o mnie, tylko przypadkiem przy samym odjeździe uklon dla mnie żałaczył.

Cóż więc było w tym człowieku, co wszystkie nerwy życia mego rwało ku niemu? Czy to było przeżucie wielkiej, szlachetnej duszy, za którą daremnie uganiał w marzeniach? Czy był ów tajemniczy pociąg, jaki sprawiają ukryte skarby serca i duszy? Czémże było to dziwne wzruszenie moje? Czy tak poczyną się prawdziwa miłość?

Nie, nie umiem się z tego wytłumaczyć. Ten obojętny dla mnie człowiek, dziwnie zapanował nade-

mnął... Wobec niego, wobec wspomnienia o nim traciłam siły i odwagę, i chętnie stałabym się jego niewolnicą!... Przeczuwałam, że musi być wyższym, potężniejszym, szlachetniejszym odemniel...

Śmiałam się z siebie, ale tych dziwnych marzeń nie mogłam się pozbyć; latały za mną całym rojem, jak komary przy zachodzie słońca: gdziekolwiek się zwróciłam, wszędzie były, zewsząd mnie napadały!...

I dziwnie spędzałam teraz czas wolny od zatrudnień domowych. Wychodziłam za las w dolinę i patrzyłam ztamtąd na góry ku południowej stronie: tam za temi sinemi górami był Andrzej!...

I wypytywałam się każdej ptaszyny, która ztamtąd leciała, czy Andrzej wróci i znowu do nas zawita; pytałam się wiatru, który ztamtąd ciągnął, pytałam się gwiazd, które tamte strony widziały!...

Z pierwszą śnieżną zawieją znikły moje czarne postacie, które mi wieści przynosiły. Wrony i kruki i wszystko ptastwo, które nie samém ziarnem się żywi, opuściło strony nasze i przeniosło się za góry, wietrząc tam żér lepszy dla siebie!...

Dni te przeklęczałam w moim pokoiku z modlitwą na ustach, z westchnieniem w piersiach... a wiele, bardzo wiele czasu upłynęło, nim kruki i wrony znowu w nasze strony z za gór wróciły!.. Andrzej jednak nie wracał.



**T**rzy długie lata upłynęły. Pewnego razu, nad samym wieczorem zajechał przed ganek powóz podróżny; wysiadł z niego Cezaryusz z żoną i — Andrzej.

Andrzej miał twarz ogorzałą i włosy na głowie znacznie przerzedzone. Dla mnie jednak wydał się ten piękniejszym! Zdawało mi się, że wkoło jego głowy widzę jakąś jasną aureolę.

Wieczorem palił się tak samo ogień na kominku, jak przed czterema laty. Ojciec z wielkiem ożywieniem rozmawiał z Andrzejem. Wreszcie Cezaryusz i Halina, jakby się na coś zmówili, wzięli ojca między siebie i pozwolili Andrzejowi zbliżyć się do mnie.

Siedziałam przy fortepianie. Andrzej usiadł przy mnie. Patrzył na mnie czas niejaki dziwnym wzrokiem, a potem rzekł:

— Cezaryusz opowiedział mi wszystko. Widzę w pani kobietę, jakiej nie marzyłem znaleźć na świecie! Cóż pani dało podnieść do tak heroicznego poświęcenia?

— Słowa pańskie — odrzekłam z uśmiechem.

Przypominasz pan sobie, gdyś mi przed czterema laty, tu na tém samym miejscu powiedział, że imię moje „Wiktorya Regina,” obowiązuje mnie do wyższych, mniej powszednich czynów!

Andrzej patrzył na mnie z uroczystym wyrazem na twarzy. Zadrżałam pod jego wzrokiem i rzekłam:

— Pan również prawdopodobnie poświęcałeś się nieraz w życiu; co pana podniecało do tego?

Andrzej wziął mnie za rękę, i odpowiedział na chwilę głosem drżącym od wzruszenia:

— Podniętą do tego, com robił, były słowa pani wyrzeczone do mnie na tém miejscu: że nazwisko moje obowiązuje mnie do wyższych myśli i uczuć... A poczuwałem się tém bardziej do tych obowiązków, im więcej obok siebie widziałem ludzi prawdziwie wyższych, którzy wcale podobnego nazwiska nie mieli!

Co się dalej ze mną działo, tego opisać nie umiem. Mówiłam jeszcze czas niejaki z Andrzejem, ale słów tych już powtórzyć nie potrafię. Wszelkie uczucie, wzniosłe chwile życia znaczą się tylko hieroglifami, zrozumiałymi dla tych, których się tyczą.

Uczuć moich nie rozbierałam w téj chwili żadną myślą, żadną refleksją; ogarniały całą moją istotę, byłam podobną do ptaka, który leci ku słońcu, choć go nie widzi za chmurami...

Za tydzień byłam narzeczoną Andrzejowi; za trzy miesiące klęczałam z nim na stopniach ołtarza... Cała okolica oniemiała z zadziwienia i zazdrości; ojciec prawie nie wierzył szczęściu swemu...

Na tém kończę. Chwile szczęścia należą do nas samych!



...a szczęścia naszego są obowiązki  
którzy naszej pomocy, naszego światła  
potrzebują, aby, jako luźne ogniwa,  
rdzą wieko... wane, napowrót w jeden łańcuch  
się związały...

Cezaryusz i Halina idą razem z nami jedną dro-  
gą szczęścia...

Tylko w oczach Ewuni pojawia się czasem mała  
łezka brylantowa... Nie ma jej czém otrzeć!

— Masz cienką chustkę batystową z koronka-  
mi! — mawia do niej praktyczna stryjenka...

K O N I E C .

|                                 |       |
|---------------------------------|-------|
| BIBLIOTEKA                      |       |
| Polskiego Towarzystwa „Oświata” |       |
| w Poniawie                      |       |
| Katalogowy N°                   | ..... |
| Inwentarzowy N°                 | 156.  |



268801/9

*Kto w ex'mis tę książkę*

